

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 12 (315) • ROK XXVI • GRUDZIEŃ 2021



ŚWIĄTECZNY
CZAS

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

*Wszystkim naszym czytelnikom, autorom, stałym współpracownikom,
koleżankom i kolegom – członkom Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego,
przyjaciołom i sympatykom życzymy, by Święta Bożego Narodzenia były radosnym,
wspólnym przeżywaniem czaru sacrum tych pełnych życzliwości i pokoju dni
oraz rozważnego optymizmu i zdrowia w nadchodzących miesiącach Nowego 2022 Roku.*

*Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
Redakcja miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”*

fot. Regionalny Ośrodek Kultury w Bielsku-Białej



W dawnych czasach okres świąt Bożego Narodzenia, końca roku i karnawału obfitował w szereg zwyczajów i obrzędów ludowych, związanych z zabawą i radością. Na wsiach pojawiali się kolędnicy, barwne orszaki i korowody przebierańców, „dziadów”, „mikołajów”, „połaźników” i innych. Były one połączeniem uroczystości religijnych z ludową zabawą. Wiele z tych tradycji przetrwało w Beskidach. Na zdjęciu tzw. Dziady w Milówce.

Szczegóły str. 30

fot. Stefan Gierlotka



Bożonarodzeniowa szopka w bazylice ojców franciszkanów w Katowicach-Panewnikach to jedna z regionalnych atrakcji związanych z okresem Świąt. Zawsze w grudniu tę skomplikowaną instalację podziwiają tysiące ludzi, jednak dla większości tajemnicą pozostaje, jak działa jej ukryty mechanizm i ile pracy techników przy składaniu betlejki potrzeba, aby podziwiać efekt.

Szczegóły str. 34


fot. Rafał Zduńczyk / Park Śląski



Od kilku tygodni na ulicach panuje wesoła, świąteczna atmosfera. Na placach stanęły bożonarodzeniowe drzewka, ciemność rozświetlają tysiące lampek i lampionów. Władze poszczególnych miast wręcz zdają się prześcigać w zapewnieniu mieszkańcom świątecznych dekoracji. Na zdjęciu rozświetlona choinka w Parku Śląskim.

Szczegóły str. 68

 **KATOWICE**
dla odmiary

 Zadanie współfinansowane z budżetu Miasta Katowice

Nr 12 (315). Rok XXVI. GRUDZIEŃ 2021

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIESŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
MARIAN SWORZEŃ
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WARONSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.pl

DTP: Marcin Gołaszewski, Lechosław Węglorz

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Jan Malicki* WIGILIJNE ZAMYŚLENIE
8 ks. *Henryk Pyka* THEATRUM FAGI
14 *Piotr Skowronek* WYBUCH SOLIDARNOŚCI ROZMOWA Z KS. HENRYKIEM BOLCZYKIEM
18 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* SŁUGA SŁUG MARYI
21 *Andrzej Juchniewicz* STAROŚĆ JAKO ZADANIE. O PÓŻNEJ POEZJI TADEUSZA ŚLIWIAKA
24 *Krzysztof Korwin-Piotrowski* HENRYK KONWIŃSKI – MISTRZ CHOREOGRAFII I ADOPTOWANY
ŚLĄZAK
26 *Janusz Plewniak* DRUGI HAJMAT? ARTYKUŁ DYSKUSYJNY
28 *Małgorzata Moczala* KULTUROWY HURT-DETAL CZY KULTURALNY FAST-FOOD?
30 *Edward Wieczorek* MIKOŁAJE, DZIADY I NIEDŹWIEDZIE, CZYLI O ROZRYWKACH
W ZIMOWY CZAS
34 *Stefan Gierlotka* BUDOWA BETLEJKI BOŻONARODZENIOWEJ
40 *Jacek Okoń* MIESIĘCZNICE „WUJKA” W INTERNOWANIU
44 *Piotr Skowronek* POMYSŁY PRZYCHODZĄ ZNIENACKA. ROZMOWA Z KAROLINĄ
JONDERKO, LAUREATKĄ WORLD PRESS PHOTO 2021
48 *Karol Chwastek* NAJWYTRWALSII
50 *Tomasz Bienek* HURRA, PREZENTY!
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* WYBRAŃCY O WYBRAŃCACH DLA WYBRAŃCÓW
KSIĘGI JUBILEUSZOWE POLONISTÓW
68 *Tomasz Bienek* MIASTA REGIONU W ŚWIĄTECZNEJ ODSŁONIE
74 *Marian Kisiel* ZAPACH FAJKI. MAREK PYTASZ 9 KWIETNIA 1953 – 2 GRUDNIA 2021
76 *Zbigniew Lubowski* BYŁEM INTERNOWANY

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: ŚWIĄTECZNY CZAS NA ŚLĄSKU

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Edward Zyman* WIGILIA '81
12 *Edward Zyman* WIERSZE
54 *Dariusz Gąsior* WIERSZE
58 *Ze'ev Żabotyński* ARIEL I TAMARA. BAJKA (przełożył Marian Kisiel)

FELIETONY

- 17 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* GRUDZIEŃ – ADWENT. I ZAPOMINANE ŚWIĘTA
36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* WYSKAĆ I TYSKAĆ
37 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* KONKURS IM. JANA KIEPURY
W KRYNICY-ZDROJU
38 BŁYSKI I ZAPATRZENIA *Marian Sworzeń* CZY WIESZ KTO TO JEST?
47 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki*: MISTRZ FESTIWALI FILMOWYCH I JEGO UNIKATOWA KOLEKCJA
56 *Michał Sikora* NIEMIECKI KORFANTY
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* WROCŁAWIANIN Z ŁUCKA

KSIĄŻKI

- 62 *Andrzej Juchniewicz* ŻYCIE TRZEBA DOBRZE WYPEŁNIC
63 *Ewa Bartos* „PASJE” CZŁOWIECZE
64 *Tomasz Pyzik* OSTATNI WPIS
65 *Piotr Skowronek* BY NIE PORWAŁY GO RĘCE ŻŁODZIEI
66 *Alicja Wosik* NOTATKI Z ŻYCIA
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE
80 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

Gliwicki rynek w świątecznej odsłonie (fot. R. Neumann / UM Gliwice)

Tyłna strona okładki:

Święta Bożego Narodzenia w Katowicach (fot. Rafał Zduńczyk / Park Śląski)

Kolejny, dwunasty zeszyt miesięcznika zamyka rok **2021**.

Istniejemy dlatego, że mamy wiernych, ciekawych treści naszych artykułów **czytelników**. Czasopismo z typowego periodyku wąskiego środowiska literacko-dziennikarskiego przestaje być miesięcznikiem tylko środowiskowym, udostępniającym swe łamy starannie wyselekcjonowanym autorom, reprezentantom regionalnego establishmentu: artystycznego, naukowego, politycznego, administracyjnego. Rozproszone dziś środowiska twórcze i naukowe, pozbawione swej silnej, zorganizowanej reprezentacji, aktywne i kreatywne przecież w swoich profesjach, nie tworzą już dziś skutecznie działających grup opiniotwórczych poza własnymi mikrośrodkami. Opieranie więc polityki redakcyjnej wyłącznie na komunikacji z tymi ośrodkami byłoby znaczącym zawężeniem grupy potencjalnych czytelników.

Paradoksalnie, owo rozszerzenie perspektyw autorskich, znakomicie sparażowało współpracę redakcji miesięcznika z tradycyjnymi mediami: regionalnym radiem i telewizją, ciągle jeszcze zorientowanymi na owe środowiskowe osoby i mikrogrupy oraz samorządowe instytucje kultury.

Nie zdołaliśmy jako redakcja pokonać tego oporu „materii” medialnej, więc informacji o nas – tam nasi czytelnicy nie znajdują, a nasza obecność w popularnych komunikatorach internetowych jest wysoce niewystarczająca.

Negatywnym efektem tej sytuacji jest utrudniony dostęp naszych czytelników do egzemplarzy miesięcznika, które mimo dostępnej ceny jednostkowej – rzadko, lub nazbyt ostrożnie są kolportowane i oferowane swoim klientom przez współpracujących z nami dystrybutorów.

Niemniej owym pośrednikom między wydawcą a czytelnikiem dziękujemy za ich stałą z nami efektywną współpracę: **Garmondowi Pres sp. z o.o. z Ka-**

towic, Kolporterowi sp. z o.o. z Kielc i największemu naszemu dystrybutorowi Ruchowi SA.

Znakomicie rozwijająca się współpraca z **wieloma doświadczonymi, obecnymi na naszych łamach od lat i nowymi autorami** – co warto podkreślić – pochodzącymi z terenu całego regionu od Bielska-Białej i Cieszyna po Częstochowę i Jurę Krakowsko-Częstochowską, od Rybnika po Olkusz, ustabilizowana obecność **stałych współpracowników**, wreszcie nie tylko deklarowana, ale realna gotowość redakcji do współpracy z oferującymi nam swe teksty ludźmi pióra o zróżnicowanych orientacjach artystycznych i ideowych daje nam wiele szans na stworzenie aktywnego forum, atrakcyjnego dla czytelników.

Warto podkreślić, że w czasach powszechnej komercjalizacji nasi **autorzy i redakcja czasopisma** wykonują swe obowiązki wyłącznie społecznie, są jak kto woli – **wolontariuszami lub społecznikami**.

Żadna działalność gospodarcza nie jest możliwa bez zaplecza finansowego. Chroniąc naszych czytelników przed wzrostem ceny detalicznej egzemplarza i dbając o racjonalne, stabilne i terminowe finansowanie kosztów przygotowania i druku czasopisma korzystamy od kilku lat z ustabilizowanej pomocy finansowej sponsorów czasopisma. To dzięki systematycznej i poważnej kwocie pomocy udzielanej nam przez **Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego** mamy zagwarantowane finansowanie kosztów druku nakładu **1 700 egzemplarzy** każdego miesiąca. Jesteśmy także beneficjentami stałej pomocy, jakiej za pośrednictwem Biblioteki Śląskiej udziela nam **Marszałek i cały Zarząd Województwa Śląskiego**. Swojego wsparcia udziela nam także **Prezydent Miasta Katowic** w ramach corocznych, realizowanych przez **Wydział Kultury** Urzędu Miasta konkursów dotacyjnych. Jesteśmy także bardzo zobowiązani incydentalnym, ale waż-

nym z naszego punktu widzenia reklamodawcom lub darczyńcom, np. **Katowicom Miastu Ogrodów Instytucji Kultury im. Krystyny Bochenek**.

Ta współpraca pozwala nam na wieloletnią już, bezkolizyjną współpracę z poznańską drukarnią **Zakładem Poligraficznym Moś i Łuczak sp.j.** oferującą jak dotychczas najbardziej atrakcyjne warunki finansowe, jakościowe i terminowe realizacji naszych zleceń.

Skomplikowaną logistykę czasopisma, obsługę administracyjną i księgową, magazynową, pocztową realizuje **personel Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”**, poświęcając temu czasopismu wiele uwagi i starań.

Współpraca podmiotu społecznego, organizacji pozarządowej jaką jest wydawca czasopisma **Górnośląskie Towarzystwo Literackie** z podmiotem zaliczanym do przemysłów kultury, działającym na rynku czytelnicy przynosi bardzo dobre efekty organizacyjne i finansowe.

Zamykając kolejny rok szczególne podziękowania należą się współpracującemu ze mną **Zespołowi Redakcji miesięcznika**, który nie bacząc na zasłużoną i czasem niesprawiedliwą krytykę, piętrzące się trudności, poświęca swój czas, wiedzę i kompetencje tworząc to funkcjonujące od **26 lat** na naszym rynku prasowym, jedyne w swoim rodzaju, akceptowane przez naszych czytelników czasopismo regionalne o ogólnopolskim zasięgu.

Wszystkim naszym czytelnikom, autorom, współpracownikom, przyjacielom, darczyńcom, reklamodawcom, życząc Wesołych Świąt, wszelkiej pomyślności w Nowym Roku oraz tak potrzebnego nam zdrowia – serdecznie dziękuję za okazaną nam pomoc, bezinteresowną współpracę, empatię, z nadzieją że w kolejnym 2022 roku w dalszym ciągu będziemy razem, współpracując pomnażać **kapitał kulturowy** naszego pięknego Śląska.

Tadeusz Sierny



WIGILIA '81

Siądźmy przy stole chociaż nie ma
stołu. Mówmy choć między nami
siwy Bóg milczenia. Jego białe ciało
łamiemy skostniałymi dłońmi. Grudzień.
Tak się kończy epoka mówi Jurek B.
i w tej samej chwili dostrzegam
umundurowane oko opatrności
w szczelinie judasza historii.

Grudzień 1981

Wigilijne zamyślenie

JAN MALICKI

Tym razem nie rozpocznę od opisu wigilijnych zwyczajów. Nie będę przypominał ustawianych po wiejskich kątach snopów zboża, kręcenia z nich powróseł, którymi obwiązywano w sadach drzewa owocowe, by lepiej rodziły. Pominę opisy stołów wigilijnych z przestrzeganą od stuleci liczbą wnoszonych potraw – siedmiu wśród ludu, dziewięciu w dworkach szlacheckich i jedenastu na pańskich stołach, a które to potrawy należało wszystkie skosztować, aby poprzez przypadkową nieraz płochosć nie pozbyć się wielu przyjemności w nadchodzącym roku.

Nie będę też rekonstruować dziejów powstających przez stulecia kolęd i pastorałek nierozzerwalnie dziś związanych z bożonarodzeniowymi świętami. Jan Żabczyk, Kasper Miaskowski, Franciszek Karpiński; plejada naśladowców oraz imitatorów od zawsze po dzień dzisiejszy. Zapominamy jednak, że pierwotnie kolędy były pieśniami wiążącymi się od zawsze z obrzędami noworocznymi, ze zwyczajem składania życzeń z okazji godów, w okresie od Bożego Narodzenia po Trzech Króli, za co winszujący – czeladź i „dobrze prowadzące się dziewczęta ze wsi” otrzymywali podarunki – „korzec kołaczy i achemł piwa”. Z kolei obdarowywani zawsze dziękowali, nierzadko frywolnie, jak czytamy w „Ludycjach wieśnych” z 1543 roku:

Darował nas pan gospodarz
Po korcu kołaczy, achemł piwa,
Aby nas tak darował, by łaskę Bożą miał,
Aby się mu waliło kopa na kopę,
Brog na brog, stodoła na stodołę,
Aby nasiał jęczmienia pole,
Aby go nakładł w stóg, aby mu stało jako rog,
Aby syna ukomodził, a nas na krzciny prosił,
A dwanaście achemł piwa wynosił.

Amen.

Z piwem wigilijnym zawsze był zresztą kłopot. W sto lat później w pamiętnikach Albrychta Stanisława Radziwiłła czytamy niezbyt chwalebna opowieść o wiejskich grzesznikach:

„Zdarzyło się, że w wigilię Narodzin Pana chłopci poza północ warzyli piwo. Przed świtem, jak sami zeznali, pojawiły się niewidoczne demony, które ich mocno zbiły; słychać było żałosne głosy, ale nikt ich nie widział, a chłopci pół żywi wyrzuceni na dziedziniec długo jęczeli i cierpieli, a później spędzali dni święte z największą pobożnością. Mój doktor i chirurg, zresztą heretyk, widział to i potwierdzał”.

Jednak z wigilijnym smakowaniem piwa zawsze było utrapienie. Literaci wielokrotnie przywoływali obrazy miłośników tego nie zawsze szlachetnego trunku. Szczególnie w czasie biesiad, barbórkowych karczem piwnych, czy literackich spotkań towarzyskich. Ale wigilia tylko w domu. W „Berach i bojkach śląskich” Stanisław Ligoń zamieścił „Opowiastkę wigilijną”, która tę konwencję przełamuje. A było tak:

„W cichy wiecór wilijny siedziół se jakiś karlus, som i uopuszczony przy stoliku w knajpie „Pod żelaznym koniem”. Nazywoł sie Markotny, a był... zresztom wszystko jedno cym był. Dzisiok jakoś był zły i uozżalony. Nikt z jego codziennych kamratów nie prziszoł do knajpy, musioł som ślepać piwsko, kiere mu jakoś nie podłaziło. To tyż przezywoł na ta cośko wilijo i wszystkie święta. Naroz zjawił sie kole niego Anioł. Był uoblecony w bioło, długo szata, kiero cuć było piernikoma. Anioł schylił sie nad Markotnym i dotknął rękóm jego ramienia. Markotny sie obejrzoł, a ujrzawszy Anioła pedziół grubelacko:

– A idom se idom, jo ta nic nie kupia.

Zdowoła mu sie, że ten Anioł, to jakiś handlyrz, cy tyż domokrążca, a to skiz tego, że trziomoł w gorści malutki goicek, cyli jak sam tyż padajom „kristbaum”. Po chwili zaś Anioł dotknął karlusa i rzekł:

– Markotny, wston i pódz se mnom!

Ale sam Markotny już fest uozgorzony, pado:

– A cößeś to, pierzinie, za jedyn? Cóż to chcesz uode mnie, aże co?

Na to uopedziół Anioł:

– Jestech twoim Aniołem, przyszedech cię napomnieć, ażebyś szoł do dom, a nie siedziół samotny w knajpie i ślepoł w ten święty wiecór, kaj radość wszystkimu stworzyniu. I prawił ów Anioł więcej, słowa pełne dobroci i słodyczy, aż Markotny wdzioł czopka i wyszoł z Aniołem z knajpy na ulica. Idą. Markotny milczał i włókk coraz ciężej swoje nogi. Po chwili z pewną nieśmiałością pyta Anioła:

– Przebocom, cy Anieli znajom tyż przyszłość człowieka?

– Poniekąd znamy, więcej nam bowiem Bóg dał mocy, anizeli wam grzesznym na ziemi.

– Tóż przebocom i bydom tacy do brzy i pedzom mi, jako jest ta moja przyszłość?

– Widzę cię – powiada Anioł – siedzącego w pokoju między swoimi. Boże drzewko świeci się, przystrojone na stole. Oczy twoje pełne dobroci patrzą w światło, a potem pełne wesela na rozradowaną żonę, siedzącą obok ciebie na kanapie...

– Maryjo!... To wszystko widzom?... pado Markotny. Doszli. Anioł chwycił za dzwonek i pociągnął zań z całych sił. Chwila ciszy, potem słychać uotwieranie uokna i jakiś głos kobiecy woła:

– Wto tam?

– To jo, Anioł waszego domu, przywodzi ci twojego chłopca.

– Dockajom chwilka – pado ten sam głos. Markotny chcioł sie Aniołowi wyrwać, ale Anioł trzymoł go fest, nie puścił.

– Raduj sie, człowieku – pado – przeżyjesz zaś jak downiej szczęśliwy wiecór... I zaczon cichutko nucić: „Wśród nocnej ciszy głos sie rozchodzi, wstańcie pasterze...”. Ale nie skończył, bo gwołtem uozdarły się dzwierzce i jakoś mokrą handra chlapnyła mu między uocy, potym zaś pocuł jakoś twardo miotła na plecach i głowie i głos pełen piekielnego jadu:

– Mosz, ty ślimoku diobelski... a mosz, ty chacharze uośkliwy, kolenda... I kibel jakisich pomyji cy cegoś gichnył na głowa Markotnego i jego biednego, przerażonego Anioła”.



Świąteczna choinka w Rybniku



Bożonarodzeniowe dekoracje w Tychach

To też literatura. A jeśli przypomnimy, że powiastka ta pochodzi ze wznowionej przez „klekącego humor” w „jerozolimskim zaułku”, w 1944 roku, tomowi Stanisława Ligonia, a na dodatek z egzemplarza wędrującego od Palestyny, przez Włochy, powojenne zachodnie Niemcy, Poznań, po Katowice, to wówczas nabieramy jeszcze większego szacunku dla samego tekstu, autora i wydawcy. Wszak „nowe wydanie »berów« przeznaczony jest dla żołnierza na froncie i to mnie – pisze Ligoń – do pracy zachęciło, bowiem żołnierzowi naszemu, po trudzie i znoju dnia, należy się w wolnych chwilach trochę pogody i niefrasobliwej wesołości”. A przecież w innym miejscu Europy, w innej odległej rzeczywistości w tym samym czasie powstawały jakże odmienne utwory natrętnie wnikające w głębię ranionego człowieczeństwa. Pełnego smutku po utraconym świecie w innej przestrzeni geograficznej. Rzeczywistości udręczonej, tragicznie groźnej, bez przyszłości, już zaginionej. Jak w „Wierszach wigilijnych” Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

Anielko zacnego serca, która na bliskie już święta
Wybierasz powinszowania urzeczona nimi – zakłeta,
Gdyż barwne są i dziecinne – śniegiem błyszczące, gwiazdziste.
Czy wiesz, że ja do rodziny od lat już nie piszę na „Christmas”
Chociaż ją kocham nad życie, choć o niej pamiętam...
Zdumiona słuchasz, Anielko – iza u rzęs twoich cięży...
Wesołe są wasze „greetings”, niedoścignione w pomysłach,
Lecz ich nie wyślesz do Polski, jak ich nie wyślesz na księżyc
Bo...
(Christmas cards...)

Dwa światy, dwa doświadczenia, dwa różne warsztaty twórcze, a jednak te same odczucia: „dzisiaj na tułaczce w obcym kraju – pisze Stanisław Ligoń – przeżywający od pięciu już lat tragedię swojej Ojczyzny, pełen bezbrzeżnej tęsknoty za umiłowanym krajem rodzinnym i troską w sercu o los najdroższych. Czyż mogą być gorsze jeszcze warunki dla pisarza klekącego humor?”. Czy mogą? W tym jednym jedynym dniu uczucia są bowiem zwielokrotnione, wzbogaczone, skumulowane, wymuszające wręcz aktywność twórczą. Eksplozję, czy tylko chęć kreacji? Jednak każde uogólnienie to bezwiedne ocieranie się o intelektualne fałszerstwo, chociaż przeżycia mieszczą się w doznaniach i doświadczeniach ogółu. I jak każdy człowiek jest nieporównywalną indywidualnością, odczuwającą i przeżywającą chwile dobre i złe, tak i każdy twórca w większym jeszcze stopniu poddaje się nastrojowi chwili

li. Głębiej też i silniej odczuwa niepowtarzalną atmosferę tego jedynego dnia w roku. Zapewne dlatego mocniej ujawnia się u niego potrzeba uchwycenia oraz zatrzymania mijającego czasu. Stąd tak wiele właśnie wtedy powstałych literackich przekazów oddających i utrwalających umykający i zwiewny nastrój Wigilii. Czuwania, oczekiwania, spełnienia. Znak porozumienia między przeszłością a oczekiwaną przyszłością. A przecież każdy z nas przywołuje niemal nawykowo ten właśnie krąg jednodniowej kultury. Wielką i niezwykle bogatą poezję wigilijnej nocy; Andrzej Krzycki, Jan Kochanowski, Stanisław Herakliusz Lubomirski, Konstancja Benisławska, Cyprian Kamil Norwid, Bolesław Leśmian, Konstanty Ildefons Gałczyński... I tylko nie wiem, dlaczego wciąż w uszach brzmi mi słowa Józefa Czechowicza (Wigilia):

kolędo czarujesz a łowisz jak niewód
a rośniesz jedlicznym żywiczny bór
tak radziśmy cackom i świeczkom i drzewu
co z gęstwiny przybyło w zieleni piór
lulajże jezuniu lulajże lulaj
a ty go matuniu w płaczu utulaj
królowie i święci w kamiennych portalach
czuwają noc każę natężyć słuch
muzyką sypnęło z wysoka i z dala
zachrzącał jak perły pierwszy ruch
lulajże jezuniu
widziało śnieżycy wyszłada to świszcz
dłoń trędowatą raniące o głóg
wiesz w łunie wigilii śpiewają chórmistrze
krzewino zaiste zrodził się bóg
lulajże jezuniu lulajże lulaj
ty nigdy nie będziesz chodził o kulach
ach ślepi ach głodni nakryci gazetą
po bramach śpią ludzie centurie chóru
im sianem stajenki jest asfalt i beton
z ciał można ułożyć piękny wzór
lulajże człowieku lulajże lulaj
ulubione pięścielko samotności

Jakże odległy od nas jest ów antykwarjat ludzkiej pamięci; ustereotypowanej, zmitologizowanej, wręcz zmułifikowanej, za którą kryły się już w momencie tworzenia przecież najpospolitsze uczucia; te wzniosłe, radosne, poprzez te trudne, rozbijające harmonię pośród najbliższych; po miazdzące, unicestwiający raz na zawsze szlachetność człowieczeństwa. To doświadczenia jednostek tworzących. Ale czy zbiorowości przyswajającej sobie efekty kreacji twórców i je powtarzające?

Historyk kultury, ów łowiciel niezwykłości literackich, jest w tej szczęśliwej sytuacji, iż poprzez zachowane teksty może dopełniać i rekonstruować to, co pominięte, niedopowiedziane, przez innych nadinterpretowane. Współtworzyć ów świat opowiedziany. To drugi, wyższy stopień kreacji, nierzadko pozbawiony już piętna osobistego, za to uniwersalizujący autorskie przeżycia. A wtedy ten jeden jedyny dzień w roku, zapamiętany

i utrwalony, nabiera innych jeszcze barw; żywych. Ale i ocen. Nierzadko sprzecznych, choć osadzonych w pokładach migotliwie zmiennych relacji świadków i zabójczo groźnego relata refero, „ktoś rzekł”. Czy prawdziwych, czy prawdopodobnych, czy wręcz fałszywych. Siła rekonstruktora sytuacji literackich zasada się więc nie tylko na wyjaśnianiu, lecz współtworzeniu obiegowych wyobrażeń utrwalanych w skrajnych wypadkach w podręcznikach szkolnych, a poprzez nie – w sferze niepodważalnego kanonu wiedzy. Tak, jak to się stało z najślawniejszą bodaj w literaturze polskiej „ostatnią pełną blasku wigilią Mickiewicza” i – dnia następnego, a więc 25 grudnia 1840 roku – z wieczorem literackim oraz kolacją u Eustachego Januszkiewicza z okazji imienin Arcyapoety oraz objęcia katedry w College de France. Kolacji, na której doszło do improwizacji dwóch najwybitniejszych – Mickiewicza i Słowackiego, którzy „jak dwaj bracia ściskali się, chodzili, opowiadając sobie przeszłe zatargi”. I jej niezwykłą kontynuację z pierwszego stycznia 1841 roku, kiedy to Słowacki wręczył Mickiewiczowi słynny puchar z napisem: „Adamowi Mickiewiczowi na pamiątkę dnia 25 grudnia 1840 r.”. Pamiętamy, że zachowało się 37 relacji uczestników wieczoru, nierzadko sprzecznych. To raj dla rekonstruktorów i używka dla pokoleń filologicznych poszukiwaczy.

Jednak dla poznania fenomenu wigilijnej odświętności ważne są też zachowane fragmenty wspomnień ludzi. Tych zwyczajnych, spotykanych na ulicy „W wieczór wigilijny”; ludzi – niczym z wiersza Leonarda Podhorskiego – Okołowa. Ale i wybitnych, cieszących się poważaniem i estymą, będących w swojej dziedzinie niepodważalnymi autorytetami. Zupełnie przypadkowo wpadła mi do ręki niezwykła książeczka wydana w Krakowie w szacownej drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, a zatytułowana „W Wilią Bożego Narodzenia. Pamiątka ostatniej Wilii XIX wieku”. Niezwykła, bo składają się nań trzy studia napisane dokładnie 24 grudnia, ale z różnych lat: 1882, 1883 oraz 1900 roku. Niezwykła, bo jej autorem jest znakomity krakowski uczonek sprzed lat Stanisław Smolka (1854 – 1924), profesor Uniwersytetu a zarazem sekretarz generalny Akademii Umiejętności, autor wielu cennych prac naukowych, by jedynie przypomnieć rozprawę „Mieszko Stary i jego wiek” z 1881 roku. Niezwykła, bo ten ortodoksyjny mediewista w jednej z trzech rozpraw próbuje spojrzeć w przyszłość, postawić pytania o losy Polski i narodu polskiego w XX stuleciu. Próbuje. Jednak nie odpowiada na nie. Pozostawia je ostatecznie bez odpowiedzi, lecz z kandydacką wizją „zgnięcia bliskiego”. Gdy czytałem ów tekst, to obsesyjnie towa-



Święta w Tychach

rzyszyły mi słowa Paula Valery o Historii, która jest „najniebezpieczniejszym produktem jaki wypracowała intelektualna chemia. Dobrze znane są jej właściwości: rozmarza i upaja ludy, wywołuje fałszywe wspomnienia, potęguje odruchy, utrzymuje zablźnione blizny, dręczy ich spokój, prowadzi do manii wielkości lub manii prześladowczej, czyni narody zgorzkniałymi, pysznymi, niezdolnymi, próżnymi”.

Rekonstruując, cofnijmy się zatem w czasie do „ostatniej Wilii XIX wieku”. Wyobraźmy sobie ów pełen odświętności wieczór. Już po wieczerzy. Chłodny gabinet, pełen regałów z książkami. W rogu choinka. Kominiek z tańczącymi wesoło płomykami ognia. I biurko z papierami i z dopiero co zaczytym tekstem. Odłożonym. Przejmująca cisza. Profesor siada przy ogromnym, mahoniowym biurku, sięga po pióro. Pisz: „D oczekaliśmy się ostatniej Wilii XIX wieku. Co będzie za sto lat, gdy nasi i ich wnukowie zasiądą do wigilijnego stołu? Ufajmy, że zasiądą”.

Pokieroszowani zasiadają. I zastanawiali się, jakie to stulecie było. Radosne, bezbarwne, szare, zapewne jednak tragiczne z prześwitami nadziei i optymizmu. Z pewnością rozdarte między Wschodem i Zachodem wraz z Damoklesowym pytaniem powtarzanym ze stulecia w stulecie, wszechobecne we wszystkich możliwych systemach politycznych: „co lepiej – przywołajmy słowa historyka – czy żeby nas Niemcy zjedli czy Moskale?”. Lecz odpowiedź w dawno minionym już stuleciu nie zawsze od nas

zależała. O losach Ojczyzny i naszego narodu decydowano w wielu innych miejscach na świecie: w Wersalu, Jącie, Poczdamie, Moskwie, Londynie, Waszyngtonie. Decydowano na bitewnych polach I wojny światowej, poprzez powstańcze zrywy Wielkopolski i Śląska, krwawą rewolucję sięgającą po dopiero co uwolnioną Warszawę, heroiczne boje 1939 roku: Śląsk, Westerplatte, Gdańsk, Modlin, Bzura i ponownie Warszawa. Decydowano poprzez perfekcyjnie zaplanowane i metodycznie realizowane pogromy Getta, ludobójstwo w Birkenau i Dachau. Zagładę pokolenia Kolumbów, rozproszenia żołnierzy polskich po świecie na wszystkich frontach wojny. A po niej upokarzania, tak tragiczne, jak los generała rozlewającego piwo w Edynburgu. Wreszcie wcale niepewny powrót do kraju. I tych ze Wschodu, i tych z Zachodu. Ale do jakiej Polski? Czy tej odwołującej się do tradycji sprzed Września, pielęgnowanej na obczyźnie a w kraju głęboko skrytej? Czy tej oficjalnej, pełnej hasła o równości i sprawiedliwości społecznej, „walki o pokój”, skutecznie zaś – z analfabetyzmem?

Jakże migotliwe stało się wówczas, ale i dziś, pojęcie Polska, Ojczyzna, Naród. Migotliwe – bo determinowane przez upływający czas: lata czterdzieste, pięćdziesiąte, siedemdziesiąte i osiemdziesiąte z rozsadzającym uczuciem wolności myśli, słowa, czynu, ale nocą grudniową wraz z echem nieodległych strzałów na „Wujku”. Wreszcie zmiany, które dla jednych stały się wybawieniem, dla

drugich przyczyną gorzkich łez. Jaki zatem był ów miniony dziś wiek wraz z jego kontynuacjami w makro wymiarze Domu Historii i codzienności szarego człowieka? Co z niego pozostało dziś, kiedy znowu relatywnie względne staje się dalekie rozdarcie między Wschodem i Zachodem, między Rosją a Niemcami?

„Daj Boże, żeby za sto lat o tematach takich rozmów opowiadano przy Wilii roku 2000, jak się o złych snach opowiada, o zmorach, w których senna fantazja gromadzi i wikła nielogicznie tysiące niemożliwości. To najpierwsze życzenie, które posyłamy rodzinom zebranych dzisiaj u wigilijnego stołu”. Dzisiaj marzenie – życzenie Stanisława Smolki się spełniło. Ale... W przyszłości – daj Boże.

Wigilia jest jedna, wsysająca i kumulująca w sobie refleksje Wielkiej Historii, konwencjonalności naszych upodobań i wielopokoleniowych poczynań, uczuć i nastrojów. Wigilie radosne, wigilie ludzi zamyślonych, wigilie ludzi smutnych. Wszyscy jednak, jak przed laty, w tym zdobionym odświętnością codziennym dniu wracamy „na ulicę zdradzonego dzieciństwa, na ulicę Wielkiej Kolędy”:

Jest cicho. Choinka płonie.
Na szczycie cherubin fruwa.
Na oknach pelargonie
Blask świeczek złotem zasnuwa,
A z kąta, z ust brata, płynie
Kolęda na okarynie:
Lulajże, Jezuniu,
Moja perełko,
Lulajże, Jezuniu,
Me pieśdidełko.

Theatrum fagi

KS. HENRYK PYKA

Enigmatyczny tytuł artykułu nie pozwala mi trzymać czytelnika dłużej w niewiedzy. Czytając ten tekst będzie musiał cofnąć się w czasie o ponad trzysta lat i korzystać także z niemieckiego nazewnictwa miejscowości, które leżąc obecnie na terenie Republiki Czeskiej były częścią Monarchii Habsburgów, do której i Śląsk wówczas należał. Rzeczą dotyczy unikalnego założenia parkowo-pałacowego oddalonego o około trzydzieści kilometrów od uczęszczanego przez Polaków uzdrowiska – Kudowy. Między Jaromierzem a miejscowością Dwůr Králové znajduje się Kuks, cytowany w dawnej literaturze jako Kuckus. To tu w „pięknej dolinie” nad Łabą przepływającej przez Kuks jako niepozorna rzeczna struga, zaistniał ów barokowy, osobliwy w skali europejskiej teatr, którego twórcą był Franciszek Antoni Graf Von Sporck (1662–1738). Uważny czy-

telnik już dostrzegł, że w tytule niniejszego tekstu znajduje się anagram Sporcka. Pojawia się on na wielu rycinach dokumentujących dokonania tego arystokraty. Znajduje się nawet na obroży myśliwskiego psa przedstawionego w reliefie wizji świętego Huberta autorstwa Matthiasa Bernharda Brauna (1684–1738) w Pustelni Nowego Lasu opodal Kuksu. Fagus po łacinie buk, jest w formie F.A.G.V.S. monogramem hrabiego Sporcka, który w lesie bukowym obmyślił i zaaranżował dla swoich gości zaskakujący swoją formą i rozmiarem zespół przedstawień. Nazwany Betlejem, powstał dzięki talentom wybitnych artystów czeskiego baroku. Należy do nich Maciej Braun, którego rzeźby porównywane są z dziełami Michała Anioła i Berniniego.

Niespełna pięćdziesiąt lat temu, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Pragę



Matthias Braun, Kuks/Betlejem, Pokutujący Juan Garinus. Na twarzy widoczne przerażenie. Nad głową herb hrabiego Sporcka

i znalazłem tam gościnę w kręgu przyjaciół arcybiskupa Franciszka Tomaszka, dowiedziałem się, że w czeskiej świadomości do oprawy świąt Bożego Narodzenia nie tylko należy Praskie „Jezulatko”, ale także Msza Bożonarodzeniowa (Česká mše vánoční „Hej mistrze!”) Jana Jakuba Ryby i właśnie obrazowanie tych świąt plastycznym wyobrażeniem „Betlejem” Macieja Brauna z Nowego Lasu pod Kuksem. Zjawiska te mocno wpisały się w czeską kulturę religijną Kościoła Katolickiego. Hrabia Sporck stał wówczas zupełnie z boku, jako nierozpoznany przeze mnie sprawca tych osobliwości.

Niespełna pisać o „Betlejem” Brauna z pominięciem całego kontekstu, w jakim artysta ten działał w Państwie Sporcka od roku 1712 przez ponad dwadzieścia lat.

Bitwa pod Białą Górą, starcie między siłami czeskich protestantów a wojskami koalicyjnymi katolickich Habsburgów, które rozegrało się 8 listopada 1620 r. była największą klęską w historii Czech. Miejscem bitwy było niewielkie wznieśnienie (382 m n.p.m.), które obecnie znajduje się na południowo-zachodnich przedmieściach Pragi. Następstwem bitwy był terror, który rozpętali zwycięscy Habsburgowie: na praskim Rynku Staromiejskim ścięto 27 najwybitniejszych przedstawicieli husyckiej szlachty czeskiej. Następnie planowo zamordowano 600 najważniejszych przedstawicieli czeskiej elity społecznej i kulturalnej. Nadeszła brutalna rekatolicyzacja: przekazanie kościołów katolikom i przymusowa zmiana wyznania; tysiące protestantów czeskich uciekło na Śląsk i do Polski (Leszno) gdzie tworzyli husyckie wspólnoty braci czeskich.

Jan, ojciec Franciszka Sporcka, który pochodził z niezamożnej rodziny w Westfalii od młodości pełnił służbę w wojsku bawarskim. Po bitwie pod Białą Górą



Kuks, Rzeźba Trytona w zwieńczeniu kaskady, dzieło czeskiego rzeźbiarza Kohl-Severa



Matthias Braun, Kuks/Betlejem, wizja św. Huberta. Na obroży psa widoczny anagram hrabiego Sporcka FAGVS

w której uczestniczył po stronie Ligi Katolickiej wykazał się dzielnością w wojnie trzydziestoletniej. Walczył ze Szwedami także w Królestwie Polskim. Wielokrotnie awansowany w służbie Ferdynanda II po zwycięskiej szarży nad jazdą turecką pod Szentgotthárd (Węgry) z pola bitwy zszedł z nadania cesarza jako dziedziczny Hrabia Rzeszy, właściciel czterech zamków i pałacu w Pradze. Siedzibą Sporcków był zamek w Lysá nad Łabą (niem. Lissa) gdzie kondotier wojny trzydziestoletniej generał jazdy cesarskiej, hrabia Jan Sporck został w roku 1679 pochowany. Syn jego Franciszek jako siedemnastolatek przejął ogromny majątek. W latach chłopięcych wychowywany w konwiktach jezuickich do końca życia czuł niechęć do tego Towarzystwa. Skłaniał się natomiast w wieku dojrzałym w kierunku Jansenizmu i Protestantyzmu. Utrzymuje się, że był założycielem pierwszej loży masońskiej w Królestwie Czeskim. Franciszek Sporck był wybitną indywidualnością. Intelktualnie rozbudzony, kiedy przycichły armaty, ustały wojny, oddał siebie na służbę muzom. Po ustaniu wojen religijnych i przewyciężeniu zagrożenia tureckiego barok w kraju Habsburgów staje się wyrazem owej „Felix Austria”, Austrii zasobnej, spokojnej, skutecznie rządzonej, której siłą jest nauka i sztuka.

Jako zasobny osiemnastolatek Franciszek Antonii przykładem innych mło-



Matthias Braun, Grota Betlejem, Relief Bożego Narodzenia

dych arystokratów odbył wielokrotne podróże. Kilkakrotnie odwiedził Paryż. Był w Rzymie, Madrycie i w Londynie. Na dworze Ludwika XIV w Wersalu zachwyił się grą leśnego rogu. Kazał uczyć gry na tym instrumencie dwu swoich przyjaciół. Tak waltornia jako instrument koncertowy trafiła do środkowej Europy, w niedalekiej przyszłości za-

chwycając swoim brzmieniem melomanów dzięki kompozycjom napisanym na róg leśny przez Mozarta. Na dworze Sporcka przyjął się znany wcześniej tylko w Anglii nowy sposób organizacji polowań na jelenie, dziki, zające, lisy – *par force*, konno, z psami gończymi. Z obrazów Wojciecha Kossaka wiemy, że przyjęła się ta angielska, łowiecka maniera

na wielu dworach, tak że z czasem i sam cesarz Franciszek Józef upodobał sobie ten rodzaj polowań.

W roku 1696 fakultet medyczny praskiego uniwersytetu pod egidą profesora Johanna F. Löw von Erlsfeld potwierdził lecznicze właściwości źródła na lewym brzegu Elby. Znajdowały się w malowniczej dolinie, opodal zamku Gradlitz (obecnie Choustnikove Hradiště) należącego do Sprocków. Był to powód by urządzić tu uzdrowisko, które byłoby konkurencją dla sławnego już wtedy Karlsbadu. Od roku 1638 funkcjonowała między Wrocławiem a Pragą stała łączność pocztowych dylizansów. Dlatego Sporck spodziewając się napływu szlachty od Pragi i Śląska postanowił zainwestować w to miejsce, w oparciu o totalną koncepcję jego uporządkowania. Miało powstać dzieło sztuki architektonicznej, ogrodowej, rzeźby, rzemiosła artystycznego z udziałem teatru i muzyki, polowań, uroczystych liturgii, zawodów jeździeckich i wielu innych atrakcji natury duchowej i intelektualnej. Historia sztuki stosuje do takich przedsięwzięć, wykorzystujących wielorakie dyscypliny artystyczne przyjęty ogólnie termin „Gesamtkunstwerk”. Już w roku 1696 powstały tu pierwsze gospody dla kuracjuszy i łazienne pomieszczenia, w których kąpano osobno mężczyzn, osobno kobiety. Przyzwoitość była ważnym kryterium. Z czasem w miarę rozwoju uzdrowiska w opinii gości, którzy tu zaczęli przyjeżdżać utarło się przekonanie, że Bad Kuks przerosło Karlsbad bo tu nie można się nudzić, o co Sporck starannie zabiegał. Zależało mu na prestiżu tego miejsca. Modelem idealnym były dla niego francuskie pałace: Wersal i Vaux-le-Vicomte z dywanowym ogrodem André Le Nôtre’a, które widział podczas swych podróży. Zachowane 52 stopniowe schody prowadzące do Łaby z nie istniejącego już letniego pałacu Sporcka, z dwuspadową kaskadą wód zdrojowych i rzezbami antycznych bogów świadczą, że bliski był elegancją francuskim dokonaniom.

Architektem założenia został włoch Giovanni Battista Alliprandi (1665–1720) znany z wielu wybitnych realizacji architektury pałacowej i obronnej w Czechach, talentem porównywany z Dietzenhoferem, współtwórca pałaców Czerninów i Lobkowiczów w Pradze. Łaba wyznaczała oś architektonicznego projektu. Podług Sporcka na prawym jej brzegu, gdzie powstał kościół projektu Alliprandiego, hospicjum dla stu weteranów wojennych, a w latach 1744–1938 działał szpital Bonifratrów, kuracjusze mogli znaleźć miejsce wyciszenia i refleksji. W Kuks leczono i ciało, i duszę. Tu znajduje się krypta grobowa Sporcków. Tu także Matthias Braun prezentuje w manierze Berniniego rzeźby ośmiu błogosławieństw, alegorię śmierci i cnoty religijności, alegoryczne rzeźby cnót i przywar. W sumie trzydziści cztery rzeźby najwyższej klasy artystycznej o niezwyklej dynamice i ekspresji, okalające kościół świętej Trójcy. Oryginały przechowywane w lapidarium, na zewnątrz reprezentowane są dzisiaj przez ich kopie. Zaś we wnętrzu klasztoru w kościele, w głównym ołtarzu budząca nadzieję scena Wskrzeszenia Łazarza. Na długich klasztornych korytarzach pomiędzy celami – pięćdziesiąt dwie sceny „Tańca Śmierci”. I dzisiaj jest nad czym rozmyślać, bo każdy może tu siebie odnaleźć. Naścienne malowidła wykonano na dziesięć lat przed śmiercią Sporcka podług miedziorytów działającego w Kuksie za jego czasów norymberskiego rytownika Michaela Heinricha Rentza (1698–1758). Dzięki jego rycinom wiemy dzisiaj jak wyglądał Kuks za czasów swojej świetności. Obecnie działa tu „Rentzovo Muzeum” prezentujące prace tego wybitnego artysty doby czeskiego baroku. Czas przejść na lewy brzeg. Tu na wszelkie możliwe sposoby starano się zabawić gości. Życie zmagające się ze śmiercią tu święciło swój tryumf. Czego tu nie było. Kaplicę Wniebowzięcia Maryi Panny i przyległy do niej pałac flankowała

dwustumetrowa kolonada przeznaczona dla gości Sporcka. Przed tą kolonadą odbywały się bale. Kuracjusze na lewym brzegu mogli cieszyć się wieloma atrakcjami. Pieniły się tu cztery źródła, kłębiła się kaskada strzeżona przez Dianę i Akteona, Polifem bulgotał wodą płynącą ze studni. Był tor dla konnych turniejów flankowany galerią czterdziestu karłów – dzieło Brauna – obśmiewających Sporckowych adwersarzy, głównie Jezuitów. Opodal labiryntu i miejsca gry w bilarda stał pawilon ogrodowy – tempietto, miejsce uciech i gołębnik. Był także teatr. Powstały dwa budynki: opera i „Komedienshaus”. Aktorzy przyjeżdżali nawet z Wenecji. Sporck zapraszał ich do Kuksu i do Pragi, gdzie pod jego egidą powstał w tym mieście pierwszy teatr operowy. Głośne było, utrwalone dzięki miedziorytom wykonanie „Orlando Furioso” Ludwika Ariosta podług orkiestracji Antonio Vivaldiego.

Sporck w swojej rodowej siedzibie w Łysej nad Łabą, gdzie zainstalował drukarnię, a także w Kuksie, posiadał liczącą ponad pięćdziesiąt siedem tysięcy tomów bibliotekę. Były tam leksykony, dzieła filozoficzne i teologiczne, książki z zakresu prawa, historii, matematyki, sztuk pięknych, łowiectwa i astronomii, zbiory muzyczne. Podług badań H. Kuchařowej z r. 2013 była ona większa od słynnej biblioteki cystersów na Strahovie w Pradze, która wtedy liczyła tylko osiem tysięcy wolumenów. Biblioteka w Kuksie mieściła się na prawym brzegu Łaby blisko Nowego Lasu w Domu Filozofa. Było to miejsce dyskusji. Jakie to były dyskusje? Ich klimat najlepiej oddają „Prowincjałki” Błażeja Pascala. Eleonora, córka Sporcka, mniszka z klasztoru celestynek w Gradlitz podejmowała się wielu przekładów z języka francuskiego.

Odrzucenie przez Kościół jansenizmu jako herezji, której Sporck był sympatykiem spowodowało, że i Sporcka potraktowano jako herezjarchę. Znane były jego *Hexenlieder* – pamflety, którymi bawił swoich gości w Kuksie skierowane przeciw Jezuitom, swoim sąsiadom, którzy w niedalekim Schurz (dzisiaj Žireč) prowadzili swój nowicjat. Śladem tego nowicjatu jest w tym jezuitskim kościele zachowany barokowy ołtarz ze sceną śmierci świętego Stanisława Kostki patrona nowicjuszy. Wynikiem prześmiewnych inwektyw i sąsiedzkich sporów Sporcka z jezuitami była decyzja biskupa Hradec Kralove o likwidacji biblioteki i tajnej drukarni w Łysej. 26 lipca 1729 roku Sporck, którego oskarżono o herezję i sprowadzanie ksiąg z protestanckiej Świdnicy musiał poddać się rewizji. Zlikwidowano drukarnię. Z Kuksu wywieziono dwanaście wozów ksiąg, sam zaś hrabia został uwięziony w Wieży „Dalibora” na zamku praskim i został zasądzony na wysoką grzywnę. Skromnej satysfakcji doznał dopiero na rok przed śmier-



Kuks, Giovanni Battista Alliprandi, Prospekt założenia szpitalnego na prawym brzegu Łaby



Matthias Braun, Kuks/ Betlejem, Studnia Jakubowa z widocznymi uszkodzeniami sylwetki Chrystusa i Samarytanki

cią, kiedy to dzięki protekcji krewniaka, biskupa praskiego Jana Rudolfa Sporcka część jego biblioteki wróciła do Kuksu. Jest także ślad pogodzenia się z Jezuitami. Na chórze muzycznym kościoła pojezuickiego w Žirči znajduje się „zvonkovy klavír”, czyli dzwinkowe organy – unikatowy w skali światowej instrument muzyczny, dzieło wybitnego organomistrza Johanna Michaela Rödera działającego w Berlinie i na Śląsku. Dzięki zachowanemu miedziorytowi Strachwskiego z roku 1725 znamy projekt monumentalnego instrumentu organowego jaki Röder zbudował dla kościoła świętej Marii Magdaleny we Wrocławiu. Skromny, choć wdzięczny „zvonkovy klavír” Ródera z Žirči został darowany jezuitom w roku 1732. Hrabia Sporck przed śmiercią chętniej odwiedzał swoją pustelnię w Nowym Lesie i jeździł do Lipska, który postrzegał jako miejsce wytchnienia. Tu poznał Picandera, poetę piszącego libretta do wielu utworów Jana Sebastiana Bacha. Poeta i jemu poświęcił swe teksty. Podobno Sporck bywał częstym gościem w domu wielkiego kompozytora. W tym czasie, kiedy był w Lipsku, w roku 1734 powstało słynne bachowskie „Weihnachtsoratorium”.

Hrabia Franciszek Sporck był człowiekiem głęboko religijnym. Jansenizm, który kształtował jego pobożność wyraził się w atmosferze Nowego Lasu. Go-

ście, którzy przybywali do Kuksu wędrując przez ten las podążali w kierunku Betlejem. Pierwsze dzieło, które w tym lesie Maciej Braun wykonał to wizja świętego Huberta powstała w roku 1722. Przemiana, która dokonała się w Hubercie pod wpływem olśnienia wizją, dokonała się także w Franciszku Sporcku pod wpływem teologii Jansena i inspirowanych tą teologią „Prowincjałek” Pascala. Jansen pod wpływem pism świętego Augustyna uważał, że zepsuta przez grzech pierwotny ludzka natura może zostać naprawiona przez Łaskę Bożą, której Bóg udziela tylko wybranym. W lesie, który pełnił funkcje eremu, znajduje się wiele rzeźb pokutników. Mieszkający tu pustelnik witał gości, darzył ich poczęstunkiem i opowiadał historie napisane sugestywnie przez Brauna na kamiennych twarzach. Jedną z postaci jest katalończyk Juan Garinus. Według legendy zgwałcił i zamordował Rikildę, córkę hrabiego Barcelony. Za karę miał pełzać po ziemi jak zwierzę bez prawa podniesienia głowy ku niebu. Braun uchwycił moment, gdy pustelnika wytropiły psy ojca zabitej dziewczyny. Skruszonemu mordercy z łaski Boga została odpuszczona wina, a zamordowana Rikilda została wskrzeszona. Na miejscu grobu legendarnego Garyna powstało opactwo Montserrat, a Rikilda – postać historyczna – została jego pierwszą przełożoną.

Scenariusz całego założenia eremu prowadzi wędrowca ku największej realizacji Brauna opracowanej w monumentalnym skalnym bloku piaskowca. Urok tego reliefu (niestety uszkodzonego) jest bezsporny. Pasterze, królowie i zwierzęta zwracają się ku źródłu Łaski, jakim jest Jezus, nad którym pochyla się Maryja Dziewica. Źródło, które niegdyś wytrysnęło w skalnej grocie Betlejem darmo jest dane każdemu i każdy z niego może czerpać, bo i natura sama z siebie darzy nas z Łaski Boga ze swoich niewyczerpalnych bogactw. To naturalne źródło płynie do dzisiaj z betlejemskiej groty opodal Kuksu i każdy który tu przyjdzie może się napić i napić. W tym miejscu jakby słabła nauka Jansena. Czy Sporck zrozumiał teologię Betlejem? Jako katolik pochowany został w podziemiach kościoła, który poświęcił Trójcy, zdrojo wi Życia i Łaski.

Kto nie widział Betlejem Brauna, ten nie zna czeskiego baroku. Nowy Las przekształcony niegdyś w park pełen fontann, pustelni, kaplic i obrazów obrazuje proces przemiany krajobrazu, w którym natura staje się kulturą. Z Betlejem Brauna droga przez bukowy las prowadzi nas do Kuksu, do ocalałych z powodzi, pożarów i ludzkiej ignorancji, zachowanych pamiątek barokowego „Theatrum Fagi”.

ŚMIERĆ

Pamięci górników kopalni „Wujek”

Ona nie boli; to tylko ktoś z gapiów
przeżywający chwilę grozy na myśl, że to nie wasze
ale jego ciało przysnęło tak nagle w niewygodnej
pozie, maluje ją gorliwie ciemnymi barwami.

Nie bywa straszna: to tylko nam, z zewnątrz,
kojarzy się z krzykiem boleśnie wykrzywionych
ust. W rzeczywistości jest łagodna i czuła. Jej
miękki dotyk nie budzi sprzeciwu.

Pozwala odejść...

Grudzień 1981

SKOŃCZYŁ SIĘ DOBRY CZAS DLA POETÓW

Od dłuższego czasu moje wiersze milczą
we mnie. Nie wypowiedziane mają pewne szanse
przeżycia. Częste rewizje sprawiły, że staliśmy się
mistrzami konspiracji.

One – przyczajone we mnie –
gubią najbardziej wymyślne pogonie,
ja – wczytany w regulamin więzienny,
jedyną poezję naszych dni –
nie budzę podejrzeń. Milczymy.

Skończył się dobry czas dla poetów.
Słowa są groźne. Nawet opis kwiatu
może stać się początkiem tragedii. Wiersz jest
głównym oskarżonym. Jego
dostrzegalny gołym okiem
brak uległości,

wrodzony anarchizm
usprawiedliwiają największą surowość
wojennego prawa.

Skończył się dobry czas dla poetów.
Oddziały podejrzanych słów grożą rebelią.
Inkaust ma kolor krwi
a metafora jest zasłoną dymną
za którą czyha
nieprzekupny wróg.

1982

WIĘZIENNA APOSTROFA

Ojczyzno
nigdy nie zablizniający się ran

każdego trzynastego
składająca
obfitą daninę krwi

Ojczyzno
wędrujących stolic
polskiego sumienia

przedzierająca się
do nas uparcie
przez zasieki
wiarołomnych słów

rozstrzeliwana codziennie
seriami doraźnych
wyroków

obdzierana ze skóry
złudzeń

Ojczyzno
dorodnych kolejek
ruchliwych agentów
powszechnego zmęczenia

głodu prawdy
i nadziei

wiem że ci ciężko
ale – błagam –
wytrwaj razem z nami

Kielce-Piaski 18.7.1982

Nic nie jest pewne; zwłaszcza zawodzi
zbyttnia wiara w słowa. Są krnąbrne. Co jakiś czas
wypowiadają posłuszeństwo sztywnym okładkom
leksykonów. Wymknąwszy się spod ich ścisłej
kontroli fałszują swoje pochodzenie. Ostatnio
celuje w tym małe słówko *u g o d a*. Można by
sądzić, że pochodzi od godzenia się, pokonywania
wzajemnych niechęci, ale to tylko złudzenie.
Wbrew kłamliwym sugestiom etymologów *ugoda*
wywodzi się od *u g o d z i ć*,
trafić szybko i celnie. Najlepiej
pod osłoną nocy.

Rzeszów-Zalęże, 7.7.1982

LIST

Swój długi i serdeczny list
kończysz słowami: „macie tam (tzn. w więzieniu)
wolność, której nie ma Polska”. Czytam te słowa
w przerwie lektury „Biesów”. Aleksy Kiriłow
również zastanawia się nad istotą wolności.
Według niego nastąpi ona „wtedy dopiero,
gdy już będzie wszystko jedno: żyć
czy umierać”.

28.7.1982

Z RUBRYKI: ODPOWIADAMY NASZYM CZYTELNIKOM

Obywatela E. Z. z Katowic
stawiającego w swym liście
interesującą tezę
o konieczności
uzyskania przez Polskę
rzeczywistej
wolności politycznej
prosimy
o podanie
dokładnego adresu

Korespondencja zasługuje
na bardziej wyczerpującą
odpowiedź

1982



SOCJALIZM

„...jest formą przejściową” – ten utarty,
pomijany przez większość zwrot klasyka,
rozbudził niespodzianie powszechne nadzieje:
przywołany w okolicznościowym przemówieniu
w lipcu 1982 roku odsłonił Polakom swą rzeczywistą
treść semantyczną: być przejściowym to znaczy
być w ruchu. Może więc – myśli wielu –
p r z e j d z i e i nie wróci, zniknie w mrocznym
rękawie historii.

24.7.1982

Wybuch „Solidarności”

Z KS. HENRYKIEM BOLCZYKIEM ROZMAWIA PIOTR SKOWRONEK

W tym roku mija 40 lat od wprowadzenia stanu wojennego. Żyją już dwa pokolenia, które nie były świadkami tamtych wydarzeń. O czym powinniśmy dzisiaj pamiętać? Jakie są konsekwencje tamtych wydarzeń?

Przede wszystkim powinna nas cechować pozytywna ocena tamtego czasu. Nie należy przykładać skróconej oceny historii, bo zawsze grozi nam to, że jeśli przeszłość oceniamy w kontekście dzisiejszych naszych doświadczeń i mądrości, to chcielibyśmy być jej cenzo-rami. To nie jest dobrze. Powinniśmy z całą uczciwością ją szanować i w miarę możliwości przestudiować motywy ludzi, którzy takie zawiązki zawierali i taką mobilizację dobra mieli na celu. Bardziej powinna nas cechować uczciwość i szacunek dla tego wielkiego zrywu „Solidarności”owego, a nie kwestionowanie całego szeregu spraw, które z czasem okazały się szeptem podstawionych esbeków, czy innych nieuczciwców. Wyolbrzymienie niewierności kilku zdrajców jest nieuczciwe względem całości. Grozi nam trochę, że się wzajemnie „szczypiemy”: co się z nim stało, z tym dawnym działaczem „Solidarności”? Gdzie on się podział? Z negatywnych „wyjątków” czynimy podstawę oceny wielkiego, społecznego, bardzo pozytywnego zjawiska, jakim był wybuch „Solidarności”. Powszechność tego zjawiska stawia pytanie o jego przyczyny. W mojej ocenie, objawiło się najpierw przekonanie, że system, który nam od wojny został narzucony, jest systemem kłamstwa i przemocy, i absolutnie nie opowiadamy się my, naród polski, za takim rządzeniem i takim traktowaniem ludzi, wbrew ich wolności i poglądów. Po 40 latach od wojny, doszło do upublicznienia w wielkiej skali, swoich przekonań, że mamy dość i wolimy przeciwstawić się nawet ryzykownymi decyzjami, jakimi były wtedy strajki i niepodejmowanie pracy. Jeśli mamy dalej żyć w niewoli, wolimy umrzeć. Będziemy walczyć o swoją godność, o swoje prawo, które jest deptane. To pierwsza przyczyna wybuchu „Solidarności”. Druga przyczyna wskazuje, że w naturze polskiej jest głębokie przeświadcze-

nie związku między prawdą o człowieku, jego wielkości i godności a Bożym Objawieniem. W nim znajdujemy ideał Człowieka, Jezusa Chrystusa i dwutysięcletnią tradycję chrześcijaństwa. To jest fundament. Wybuch tej społecznej świadomości i chrześcijańskiej tożsamości spowodowany był spotkaniem z Ojcem Świętym Polakiem, z jego przemówieniami w czasie pierwszej wizyty w Polsce. Możemy mówić o wyzwalającej prawdzie i towarzyszącej jej odwadze. Ludzie się policzyli i ujrzeli ilu ich jest. Trzecią przyczyną jest charakter Polaków i nasza historia. Możemy być nazwani narodem powstańców, bowiem przeciwstawialiśmy się wszystkim tym, którzy chcieli nas zniewolić. Czy to będzie powstanie listopadowe, stycziowe w XIX wieku, czy to będą wszystkie powstania w wieku XX: wielkopolskie, śląskie, warszawskie. Widzimy, jaka kształtowała nas historia i nie da się tego zlekceważyć. W związku z tym „Solidarność” stała się jakąś syntezą natury i wiary Polaków, pamięcią krzywdy, niesprawiedliwości i przemocy, jakie narzucił nam w okresie powojennym obcy system – ideologia komunistyczna.

Czym wobec tego była „Solidarność”?

„Solidarność” nie była jakąś rzeką, która się nagle wylała i robiła po drodze sprzątanie tego, co się nie kwalifikowało do życia, do zamieszkania... „Solidarność” to związek wolnych osób. Człowiek najpierw sam w sobie był przekonany, że jest oszukiwany, że dzieje się krzywda, że nie pozwala mu się mówić o tym, co jest dla niego święte. To jest sprawa odkrycia wielkości człowieka, ponieważ byliśmy zgnojeni i każdy miał kogoś w klasie, czy w sąsiedztwie, kto o dziwo miał wyższą pseudo-stopę życiową, ale się coraz bardziej izolował i pojawiało się pytanie: z kim on kolaboruje? No tak – pierwszy sekretarz albo ścisła szpica jakiegoś PZPR-u w zakładzie pracy, czy w strukturach administracji, wojewódzkiej, miejskiej. Ci ludzie sami dali się kupić. Sprzedali swoją wewnętrzną godność, wiarę, przynależność. Wschodnia ideologia najpierw niszczyła tradycje ojcowskie, patriotycz-

ne, które są wpisane w serca wszystkich rodaków. Historia ostatnich setek lat pokazuje to na wielu przykładach. Zagrożenie było więc totalne, zagrożenie wspólnoty rodzinnej, parafialnej, jej korzeni: dziadków, pradziadków i tej godności, której oni nas uczyli w swoich trudnych czasach. Na „Solidarność” trzeba zatem popatrzeć nie jak na wielki, anonimowy związek, ale zespół osób, który w zrywie odkrył szansę dla każdego indywidualnego człowieka, bo byliśmy ludźmi, którzy cenili swoją osobistą wolność i szacunek dla swoich osobistych przekonań. Kiedy pomyślimy o literaturze, sztuce, malarstwie, mamy piękne przykłady ludzi, którzy nas uczyli patriotyzmu, przywiązania do tego, co stanowi naszą tożsamość narodową, religijną, osobistą. Komunizm to był walec, który wszystkie te tożsamości bezpardonowo niszczył i nie liczył się z nimi. W dziesiątej klasie w szkole musiałem się uczyć z podręcznika historii Polski autorstwa Jefimowa! Szlag by człowieka trafił! Od dziecka byliśmy nauczani, przynajmniej w mojej rodzinie, żeby mieć ogromny dystans do tego, co się do nas na zewnątrz mówiło. To nie były nasze przekonania, nasze poglądy. (Musisz to trzymać w szkole – słyszałem i nie miałem żadnego dylematu w obrębie tożsamości narodowej czy religijnej.) Zawsze miałem wsparcie swojej rodziny, parafii. To były dla mnie korzenie, które pozwoliły mi przejść przez komunizm „suchą stopą”. Miałem na tableau w średniej szkole zamiast Katowic – Stalinogród i to też mówi o czasach, w których się wychowałem, ale przynajmniej, że ideologia mnie nie skaziła.

Chodziło zatem o pryncypia?

Tak, to nie był problem związków zawodowych. To był rzeczywiście zryw społeczny i dotyczył tożsamości. Taka jest istota tego czasu „Solidarności”, że dotyczył rzeczy najbardziej istotnych, bez których człowiek nie jest sobą i będzie w wiecznym niepokoju. Tam gdzie zagrożona jest moja tożsamość osobista, tam gdzie zagrożona jest moja tożsamość narodowa i religijna, tam pojawia wielki niepokój. Funduje mi się iskrę buntu,

nieposłuszeństwa, oporu i „Solidarność” była właśnie taką godziną „0”. Nic dłużej, nic dalej. Musimy się o swoje prawa upomnieć. Górnicy to czuli, zapraszając księdza w swoje szeregi i prosząc o pomoc. Dotykamy właśnie wprowadzenia stanu wojennego, który dopiero o godzinie 6.00, po przemówieniu Jaruzelskiego, okazał się czytelny. Dowiedzieliśmy się, co się stało tej nocy, bo wszystko zaczęło się kilka godzin wcześniej, między północą a ranem. Oficjalnego komunikatu słuchałem już ciepło ubrany przed wyjściem do kopalni „Wujek”. Jeszcze zdążyłem zrobić notatki z tego przemówienia, z którego wypunktowałem sobie kilka rzeczy: że jest jakiś stan wojenny, że zostali internowani działacze „Solidarności” i niektórzy dostojnicy partyjni. Ponieważ w sąsiedztwie plebanii św. Michała miałem Edwarda Gierka, spojrziałem od strony podwórka i stwierdziłem, że tam palą się wszystkie światła i jego też tej nocy wywieźli. No niby był jakiś nowy porządek, nowa sprawiedliwość. To oczywiście było takie mydlenie oczu. Przeżywaliśmy to już w historii parę razy, więc nie było to absolutnie wiarygodne. Zwróciłem uwagę na życzenia pana Jaruzelskiego, żeby się nie przelała ani jedna kropla krwi. Do mnie między godziną 4.00, a tą 5.30 przyszła trójka przedstawicieli kopalni z prośbą, żebym przyszedł do nich. Mówili, że jest już tam jeden górnik mocno obandażowany, bo go spałowali. Jedynie funkcjonowały telefony zakładowe, więc kiedy górnicy dostali cynk, że wokół domu przewodniczącego Jana Ludwiczaka szykuje się jakaś obława, poszli z odsieczą i niestety natrafili na cały oddział ZOMO, który aresztował i wyprowadził z mieszkania przewodniczącego, a oni po drodze na schodach zostali spałowani. Jeden z nich był już mocno skrwawiony, skonfrontowałem więc życzenie Jaruzelskiego z zakrwawioną głową jednego górnika i pomyślałem, ile tej krwi, już niepolikalnej, przelewa się tej nocy w Ojczyźnie? Oj panie generale, bawi się pan źle z narodem! Jeszcze zaznaczyłem trzeci element informacji generała, że Kościół ma te same prawa, jakie miał przed stanem wojennym. Dobrze, byłem na kopalni przed stanem wojennym i mam prawo w niedzielę 13 grudnia wyjść do górników, bo są bezradni. Jeszcze nie wiedzą, na czym stan wojenny polega, ale już ubolewają nad aresztowaniem tego, którego wybrali w wolnych wyborach. W łaźni łańcuskowej była cała załoga. Zawiesili produkcję i głośno, jeden przez drugiego wymieniali poglądy. Kiedy w tym wszystkim byli bezradni pomyśleli, że był z nimi dwukrotnie w zakładzie pracy, z rekolekcjami, z ewangelizacją, na uczczeniu św. Barbary, na przygotowaniu duchowym – ich proboszcz. Powiedział im wtedy wielkie rzeczy, które budowały i w imię tego



przyszli do mnie, bo byłem pod koniec września i z początkiem grudnia głosicielem rekolekcji ewangelizacyjnych o prawdzie, o wolności, o prawach człowieka. Opierałem się na świeżej encyklice Jana Pawła II *Laborem exercens*, więc był to materiał doskonały na czas tego napięcia i to było powodem, że w tej bezradności nocy stanu wojennego zwrócili się do księdza. Odbyła się Eucharystia poranna z modlitwą i nietypowym słowem przed błogosławieństwem. Stanowiła ona światło, które pozwoliło im rozejść się w pokoju, wyspać się, umyć i pomyśleć, co rozsądnego trzeba podjąć w obliczu stanu wojennego. Powiedziałem im, co zapisałem z przemówienia Jaruzelskiego, ale moim głównym celem było oprzeć się na Słowie Bożym, ono w trzecią niedzielę adwentu pytało: Kto jest naszym Mesjaszem? Ja podjąłem wówczas kwestię: Kto jest zbawicielem człowieka i dlaczego? Nie robiłem wielkich dygresji do tych, co chcą być naszymi „wyzwoliciełami” i wyprowadzili nas ze zniewolenia hitlerowskiego w nowe zniewolenie komunistyczne. Nie mówiłem językiem konfrontacji politycznej, ale na końcu, przed błogosławieństwem wykorzystałem dwa napisy wiszące w łaźni: „Palenie wzbronione” i „Zachowaj czystość”. Pomyślałem, to nie jest tylko BHP, ja je pogłębię. Panowie nikogo nie palcie. Pan Jezus potępia grzech, ale nigdy nie potępiał grzesznika. Zawsze dawał mu szansę. Powiedziałem – zachowajcie czystość myśli. Co myślałeś wczoraj musisz myśleć i dzisiaj. Co było dla ciebie prawdą

wczoraj, musi być prawdą i dzisiaj. Być może ta prawda wyznana dzisiaj, będzie cię więcej kosztować, ale prawda jest nieśmiertelna. Tylko prawda wyzwala. I pobłogosławiłem ich.

Czy był tam krzyż?

Tak, to był krzyż „Solidarności”. Krzyż, który oni zbudowali na pierwszą Mszę Św. dla uczczenia i podziękowania za istnienie „Solidarności” na kopalni „Wujek”. Późna była reakcja religijna górników. Bardzo długo nie umieli się zdecydować na ten akt wiary, na to wołanie z dziękczynieniem do Boga, na prośbę, żeby tego nowego czasu nie zmarnować. Odwołałem się do przykładu zakładów pracy na wybrzeżu, gdzie udekorowano zakłady krzyżem, obrazami świętych, gdzie kapłani chodzili na strajki spowiadać i modlić się. Tu, na „Wujku” dopiero 2 listopada 1980 roku odprawiliśmy wielką Mszę pod przewodnictwem biskupa Czesława Domina za wszystkich górników, którzy kiedykolwiek zginęli na ponad stuletniej kopalni „Wujek”. Msza była na schodach Domu Kultury. Było bardzo mroźno, ale przyszło kilka tysięcy ludzi. Górnicy przynieśli wówczas krzyż z deski dębowej i powiedzieli, że to będzie ich krzyż misyjny. Zastanowiłem się nad nazwą, którą oni dali temu krzyżowi i dzisiaj z perspektywy wielu lat wiem, że było to jakieś prorocze. Ten krzyż miał mieć 7 stacji, ostatnia jest już w stalowych ramionach krzyża-pomnika. To jest krzyż, który mi cały czas towarzyszył w ewangelizacjach, w zmaganiach stanu wojennego. To jest bardzo wymowny krzyż, o którym napisałem

po 20 latach od tych wydarzeń, kiedy już byłem na emeryturze. Napisałem książkę-świadectwo o roli tego krzyża, nazywając go *Krzyż nigdy nie umiera. Siedem stacji krzyża kopalni „Wujek”*.

Czyli stan wojenny rozpoczęli z Krzyżem. Krzyż stanął na swojej drugiej stacji.

Myśli Ksiądz, że to było przygotowanie do ofiary z własnego życia, do śmierci, którą wkrótce dziewięciu z nich poniosło?

Mam nadzieję. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych zaczęły się różne procesy beatyfikacyjne m.in. księdza Popieluszki, ktoś postawił mi pytanie, czy tych dziewięciu z „Wujka” nie mogłoby też być ogłoszonymi świętymi? Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem, że jeśli damy radę udowodnić, że w momencie tuż przed śmiercią i w tym całym strajku trzydniowym nie mieli pogańskich postaw, nie mieli myśli o zemście, jeśli byli wolni od przemocy, a ich walka była szlachetną obroną swojej godności, miejsca pracy, obroną tego, co „Solidarność” utworzyła w swoich zasadach i porozumieniach, to wtedy nie jest to wykluczone. Nie mam takiej wiedzy, żeby ktoś o to zabiegał, rozpoczynając drogę dowodową. Niewątpliwie wolno nam o nich myśleć jako o tych, co utworzali nam drogę do wolności, która niedługo już wróciła.

Ich ofiara stała się niemal natychmiast symbolem.

Tak, obok kopalni prowadziła trasa autobusowa i wszyscy pasażerowie zdejmowali czapki i z wielką czcią odnosili się do tego miejsca. Co z kolei złościło przedstawicieli WRON-y (Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego) i szybko postanowili tę drogę zamknąć i zrobili specjalną, nową, obwodnicę, którą natychmiast ludzie nazwali Zomotrassę. A tu, na miejscu zbrodni, pozostanie wezwanie, dla jednych o sprawiedliwość, dla drugich wyrzut zadanej krzywdy. Tym stałym znakiem pozostanie Krzyż. On nigdy nie milczy, On przemawia, najpierw w imieniu dziewięciu zamordowanych. Krzyż jest ich życiem – pamięcią. Wtedy, w czasie strajku, pytał o sprawiedliwość społeczną: Czy nasze zakłady są naprawdę w rękach naszych samorządów i produkcja idzie tam, gdzie ona się nam najbardziej opłaca? Czy jesteśmy w kraju wolnym, czy niestety przy władzy są ludzie, którzy mają inne interesy niż dobro Polski? To wszystko w tym buncie, w tym strajku, w tej „Solidarności” i w tej ofierze, w tym krzyżu teraz krzyczało. To wszystko, co było wcześniej zamknięciem ust, internowaniem to w krzyżu było głośne. Jeszcze mogę zdradzić, że myśmy upamiętniali na tym drzewcu krzyżowym ważne wydarzenia. Msza z 2 listopada była upamiętniona tabliczką, potem poświęcenie sztandaru „Solidarności” na placu kościółka Świętego Michała. Tabliczek tam przybijało. Pokazywały one historię tego Krzy-

ża, dlatego 28 stycznia 1982 roku „nieznani sprawcy”, którzy przyjechali szarą wołgą o 2.00 w nocy wylamali ten krzyż, wyrwali ze zlodowiałego śniegu i rozpoczął się drugi bunt w kopalni. Górnicy postawili warunek, jeśli nie stanie natychmiast nowy krzyż, nie podejmujemy pracy. Wystraszyli się wszyscy, i ówczesny dyrektor, i komisarz wojskowy, okazuje się, że był nim człowiek, który się pod kopalnią urodził, którego rodzina pracowała na kopalni i robił się „wielkim” Ślązakiem. Więc szybko zbudowano krzyż już nie z deski dębowej tylko z kantówki i ten historyczny krzyż materialnie nie jest tym samym, który stał wtedy na Mszy 2 listopada, ale powstał w duchu tych samych wydarzeń z tym, że tych tabliczek już nikt, nigdy nie znalazł. Podobny los spotkał zresztą sztandar „Solidarności”. Długo szukano, gdzie go związkowcy schowali, a kiedy go znaleźli okazało się, że brakuje drzewca. Ów drzewiec w momencie uroczystego poświęcenia w święto Michała Archanioła patrona parafii leżał na początku Mszy świętej na ołtarzu. Odbyło się uroczyste wbijanie tzw. gwoździ. Swoją gwoździ wbijali m.in. dyrektor kopalni, bp Herbert Bednorz, proboszcz Henryk Bolczyk, a nawet sekretarz PZPR. Pomyślałem wówczas – ludzie to jest za piękne, żeby trwało, bo wszyscy byli solidarni, nawet partyjni. Myślałem, że stał się wielki cud i tryumf w jedności Świętego Michała Archanioła, który jest patronem zwycięskiej walki. Widocznie – mówiłem do solidarnościowców – przyjdzie wam nieraz walczyć o te swoje piękne ideały. Takie prorocstwo wypowiedziałem, nie mając zielonego pojęcia, że już w połowie grudnia nastąpi spełnienie się tych słów i pod tym sztandarem będą ginąć ludzie.

Efektom tych ofiar było rozwścieczenie Golema komunizmu, który jeszcze warczał i kąsał, wyrwijając krzyż.

Tak, zniszczyli krzyż, wylamali go. Zniszczyli drzewiec, ukazujący symboliczną jedność wszystkich urzędujących na kopalni. To wszystko zostało zdeptane przez stan wojenny i wiele mówi nam, jaki duch go wprowadził. Nie duch jedności i budowania, ale duch rujnowania jedności i zaufania. To było i jest jednoznaczne, dlatego wszyscy ci obrońcy stanu wojennego z śp. Jaruzelskim na czele, to albo oszuci, albo tacy, którzy się dali oszukać. Może któryś z nich miał jakąś cząstkę dobrej woli – nie wiem – ale nigdy przemoc nie rodzi pokoju. Przemoc może tylko rodić przemoc.

O złych intencjach może również świadczyć to, jak długo czekaliśmy na ukaranie sprawców pacyfikacji kopalni „Wujek”? Bardzo długo czekaliśmy i to jest też bolesny element naszej historii po 1989 roku, kiedy pozwoliliśmy koegzystować złu z dobrem, ludzi zaufania z ludźmi skompromitowanymi. To jest niezwykle

bolesne, że ktoś pozwolił na taką współegzystencję, która zrujnowała i do dzisiaj jeszcze rujnuje jedność w narodzie polskim. Co prawda można by patrzeć na to z perspektywy ewangelicznej przypowieści Pana Jezusa o pszenicy i kłakolu. Jezus mówił: zostawcie chwasty, byście czasem wyrwijając kłakol nie zniszczyli pszenicy. To jedna z bardzo ciekawych przypowieści, która nam uświadamia, że jak długo jesteśmy na ziemi, tak długo pszenica musi tolerować rzeczywistość kłakolu, jako zła niszczącego ziarno. Może ta ewangeliczna postawa mądrości Chrystusowej pozwala koegzystować, a nie mścić się na tych, którzy uważali, że niekoniecznie byli złymi narzędziami w aparacie partyjnym, że ratowali coś dla Polski, że coś dla niej budowali. Nie jest wykluczone, że niektórzy będąc kłakolem myśleli, że są pszenicą. Ale przyjdzie czas żniwa i wtedy kłakol zostanie wrzucony w ogień, a pszenicę zbiorą do spichlerza i będzie służyła ludziom.

Od tamtych dramatycznych wydarzeń minęło już sporo czasu, jak młodym ludziom przekazać prawdę na ich temat.

Najważniejsze, żeby otrzymali ją z czystych rąk, żeby nie byli to mistrzowie ukrywania prawdy, albo opakowywania zła w celofan ładnych cukierków. Ważne, żeby przekazujący stanowili wiarygodne źródło prawdy historycznej, ideowej, ludzkiej. Wierzę głęboko, że Instytut Pamięci Narodowej taką rolę spełnia. Wielu chętnie utopiłoby go i to dowodzi, że zarówno IPN jest w prawdzie, jak oni są w nieprawdzie, niszcząc pamięć narodową, bo tak się pięknie ta instytucja nazywa. Jednym słowem wspierać IPN, pielęgnować publikacje i to nie tylko solidnie opracowania naukowe, ale także materiały popularne, filmy, opracowania dostępne uczniom, młodzieży, studentom. **Mam przed sobą solidarnościowy plakat i ciepły jeszcze komiks zatytułowany 1981 Kopalnia „Wujek”. Czy to dobry sposób dotarcia do młodych?**

Myślę, że tak, w dzisiaj młodzież reaguje na taką formę lepiej niż na długie teksty, a trzeba sobie uświadomić, że najwyższą cenę stanu wojennego w całej Polsce zapłaciła właśnie kopalnia „Wujek”. Nie ma drugiego miejsca, które poniosłoby taką ofiarę. To powinno być miejsce święte, dobrze przekazane, budujące patriotyzm i szlachetność człowieka. Mogę jeszcze powiedzieć, że po paru latach od stanu wojennego biskup Herbert Bednorz zapytał mnie: czemu to się stało właśnie na kopalni „Wujek”? Odpowiedziałem, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie jednoznacznie, natomiast przychodzi mi do głowy myśl, że kopalnia stała na terenie parafii Świętego Michała Archanioła, a jemu zawsze przychodzi walczyć o prawdę Bożą, o prawdę człowieka. On jest zawsze patronem zwycięskiej walki ze złem.

Bardzo dziękuję za rozmowę. ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

Grudzień – Adwent. I zapomniane święta

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Gdyby próbować oddać sens pojmowania grudnia w tradycyjnej kulturze górnośląskiej – zarówno wiejskiej, jak i plebejsko-miejskiej – można z całą pewnością powiedzieć, iż sprowadza się ono do dwóch słów: *rozmyślanie* i *świętowanie*. Bo przecież w realiach tego miesiąca obecne są dwa znaczące okresy w roku liturgicznym. To czas oczekiwania (z łac. *adventus*) na przybycie kogo? Oczywiście Pana Jezusa Chrystusa, czyli Jego Narodzin, ale też Jego *powtórnego przyjścia na końcu czasów*. A zatem dla wiernych to czas ważny, wręcz niezwykle, który wymusza refleksję, konkretne praktyki religijne, ale i konkretne zachowania społeczne, w tym wstrzeźliwość od zabawy, czy stosowania używek.

Adwent trwa od pierwszych niesporów czwartej z kolei poprzedzającej Święto Bożego Narodzenia niedzieli do zmierzchu 24 grudnia. Czas ten kończy się w Wigilię, a zatem w dzień przed cudem Narodzin. Dodajmy jeszcze, że Adwent dzieli się na dwa okresy; to jest do 16 grudnia, i od 17 grudnia do 24 grudnia.

W tym pierwszym okresie przypadają dni niegdyś znaczące w religijności, kulturze, zwyczajowości – to przecież przypadający 4 dnia tego miesiąca dzień św. Barbary z Nikomedii, dziewicy i męczennicy z III wieku, to górnicza Barbórka.

A z kolei 6 grudnia obchodzi się św. Mikołaja.

Natomiast 8 grudnia świętowano uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. W tym momencie zaznaczmy, iż dogmat Niepokalanego Poczęcia został zawarty w bulli Piusa IX z 1854 roku, konkretnie w bulli *Ineffabilis Deus*. W związku z tym teksty religijne wyjaśniają: *Bóg wybrawszy (...) Maryję na matkę swojego Syna, zachował Ją od wszelkiej zmazy grzechu i obdarzył pełnią łaski. Dzięki temu Maryja stała się godnym przybytkiem Wcielonego Słowa. Dziękując Bogu za wyjątkowy przywilej udzielony Maryi, wypraszamy sobie łaskę do zwalczania grzechu.*

Z kolei dnia 13 przypada wspomnienie liturgiczne św. Łucji z Syrakuz, też dziewicy i męczennicy, zmarłej tragicznie w 304 roku.

Do lat 50. XX wieku owe dni były niezwykle znaczące, dokumentują to prace etnograficzne, a ostatnio antropologiczne. Wyjaśniają zawarte w nich bogactwo dawnych tradycji. A zatem na początku dzień św. Barbary to oczywiście nie tylko skrzętnie opisywane święto zawodowe górników, ale i niezwykle popularny kult tej świętej. Dlatego jej wizerunki gościły w każdym domu, przed nimi się modlono, a w Kościele śpiewano pieśni liturgiczne. Bogata była też sfera opowieści hagiograficznych.

Z kolei dnia 6 grudnia obchodzono św. Mikołaja, kiedy to poza obdarowywaniem dzieci występowała niegdyś tradycja obdarowywania samego świętego różnego rodzaju darami (a to pieniądze, a to żywe kury czy gęsi). Składano je, aby zyskać jego przychylność, ale kult świętego nie był nazbyt rozwinięty.

Natomiast 8 grudnia kobiety przekazywały młodemu pokoleniu, iż Matka Boska jest *narodzona bez grzechu pierwородnego*; jest doskonała i wzorem do naśladowania, zwłaszcza dla niewiast „A wszyscy majom do Panienki rzykać”.

Natomiast dzień 13 grudnia był dniem obecnym praktycznie tylko w życiu religijnym, ale i zwyczajowości kobiet. Była propagowanym wzorem czystości, ale też umiłowania Jezusa. I co ciekawe właśnie od tego dnia następował wzrost w przekazach domowych różnego rodzaju folklorystycznych opowieści hagiograficznych o świętej.

Ten dzień rozpoczynał też czas wróżb, przepowiedni. Dotyczyły one 12 następnych dni; czyli od 13 do 24 grudnia. Owe 12 dni postrzegano jako 12 miesięcy, jakie nastąpią od stycznia do grudnia roku następnego. Tak więc każdy z kolejnych dni „informował” jaka będzie pogoda w danym miesiącu. Tego też dnia organizowano barwne orszaki św. Łucji.

A potem oczywiście następuje Wigilia i Boże Narodzenie, czyli klasycz-

ne przedświęcie, a następnie uroczyste święto upamiętniające: *Cud nad cudy w Betlejem*. Ale te dwa dni, czyli 24 i 25 grudnia są do dziś żywo praktykowane. Lecz czy pamiętamy dawną pieśń i potrafimy odczytać dziś jej sens:

*Chwała na wysokości Bogu,
A na ziemi pokój ludziom,
W których ma upodobanie*

Natomiast kolejne dni – czyli 26, 27 i 28 grudnia – już raczej tkwią dziś coraz bardziej w mrokach zapomnienia o dawnych tradycjach.

Wierni niewiele wiedzą o samym św. Szczepanie. Przypomnijmy zatem, że to apostoł, pierwszy męczennik. Ukamienowany, zginął około 36 roku. Przed śmiercią powiedział: *Panie, nie poczytaj im tego grzechu!*. A słowa te dawniej były znane i były wskazaniem religijnym, ale i moralnym. Dawniej był dzień praktyk religijnych i bogatych zwyczajów. W kościołach na znak ukamienowania świętego obsypywano księdza ziarnami zboża. Był to również dzień godzenia służby i wielu innych tradycji.

Kolejno przypada dzień św. Jana, apostoła i też męczennika. Z tym dniem związane było picie wina na znak próby otrucia apostoła tym napojem. Wino pite tego dnia miało moc niezwykłą, ozdrowieńczą, magiczną.

Z kolei dzień 28 grudnia upamiętnia tajemniczych św. Młodzianków. Byli to pierwsi – lecz niewiadomi z imienia – męczennicy za wiarę. To ofiary mordu nakazanego przez „wielkiego okrutnika Heroda”. Dawne przekazy mówią: *Łon to szukał narodzonego Jezusa i bez to kozoł wszystkie male dzieci pozabijać. To była ta wielka rzeź niewiniątek w tym Betlejem*.

No cóż, to minione dziedzictwo. Ale może warto o nim pamiętać dziś przy suto zastawionym stole świątecznym. Porozmawiać o tym ze starzykami. W tych tradycjach tkwi przecież swoista kondensacja mądrości tak nam dziś potrzebna. ■



Sługa sług Maryi

JAROSŁAW KAPSA

Trudno, nie będąc katolikiem, pisać wspomnienie o Kimś, który całe swoje życie oddał Kościołowi i swemu Jasnogórskiemu Klasztorowi. Odszedł 14 listopada, w wieku 103 lat, Ojciec Jerzy Tomziński, człowiek zasług wielkich i jeszcze większej skromności. Świadek, uczestnik i sprawca wydarzeń historycznych, budujących miejsce Jasnej Góry w najnowszych dziejach Polski. Był przeorem, gdy w sierpniu 1956 r. podczas wielkiej manifestacji wiernych przyjmowano Śluby Jasnogórskie, był Generałem Zakonu, gdy w 1966 r. świętowano Millenium Chrztu Polski, był znów Przeorem, gdy rodząca się wolna Europa środkowo-wschodnia spotkała się z Papieżem podczas VI Światowych Dni... Doświadczenie długiego życia oddać powinna rzetelna książka biograficzna, mnie – jako opisywaczowi losów mojego miasta i regionu – obowiązek podpowiada, by chociaż o epizodzie z Jego życia wspomnieć.

Zacznijmy od kwiatów. Był rok 1950 r., skończył się okres „tolerancji” władzy komunistycznej wobec niezależnego Kościoła. Przejęto „Caritas”, wydane w marcu prawo o dobrach „martwej ręki” pozwalało konfiskować kolejne nierucho-

mości należące do instytucji kościelnych. Wśród nich zażądano oddania miastu ogrodów jasnogórskich, zwanych kwiatowymi. 16 kwietnia przeor o. Kayetan Raczyński wezwał, podczas mszy św., mieszkańców Częstochowy, by wspomogli klasztor, by na święto 3 maja przynieśli kwiaty dla udekorowanie ołtarza. Odzew był, zaskakująco dla władzy, powszechny; klasztor wprost tonął w barwnych, kwiatnych dekoracjach. Dla rządzących bolesnym był kontrast spontanicznie udekorowanej świątyni z martwością tekturowych transparentów na oficjalnym święcie 1-majowym. Pochód, ten oficjalny, kończył się na placu Biegańskiego (wówczas J. Stalina); jak znowągę odebrano widok za „honorową trybuną”: ukwiecone wały klasztoru, wieżę z błękitno-żółtymi flagami papieskimi, dominującą nad „urzędową” czerwienią. Upokorzenia nie zapomniano. 19 czerwca o. Raczyński nie wrócił z przesłuchania UB. Dopiero po czterech miesiącach, po licznych pismach i interwencjach Zakonu i Episkopatu, poinformowano, że siedzi w Warszawie, w areszcie przy ul. Rakowieckiej. Aresztowanie tłumaczono niezaplaceniem przez przeora 150 tys. zł mandatu, nałożonego za wywieszenie

flag papieskich. 30 marca 1952 r. przeora skazano na 3 lata więzienia, po czym – we wrześniu – po cichu zwolniono. Więzienie zniszczyło mu zdrowie, wracał do sił odpoczywając w jurajskim Leśniowie i domu zakonu w Zakopanym; tam zmarł w 1961 r. Represje dotknęły nie tylko przeora, okres 1950–1952 r. to czas nękania większości zakonników przesłuchaniami i krótkotrwałymi zatrzymaniami. UB szantażem i groźbami próbowało łamać braci zakonnych.

Ojciec Jerzy Tomziński był w tym czasie przeorem klasztoru w Leśnej na Podlasiu. Urodzony 24 listopada 1918 r. w Przystajni, w rodzinie chłopskiej, od dzieciństwa przeznaczony był na księdza. Po szkole powszechnej uczył się w gimnazjum krakowskim prowadzonym przez o. Paulinów, w 1935 r., mając 17 lat, wstąpił do nowicjatu, po maturze rozpoczął studia w paulińskim Wyższym Seminarium Duchowym w Krakowie, kończąc je w czasie wojny na Jasnej Górze. Tu także w 1944 r., od biskupa częstochowskiego Teodora Kubiny przyjął święcenia kapłańskie. Przeorem w Leśnej stał się, wykazując się w okresie powojennym umiejętnością organizacyjnymi, zwłaszcza prowadzeniem duszpasterstwa dla mło-

dzieży. Kierowanie podlaskim klasztor-rem było trudnym wyzwaniem; pamiętano czas represji carskiej, siłowe niszczenie religii unickiej, zamianę świątyni na cerkiew prawosławną. Stopniowo wprowadzane ograniczenia ze strony władzy komunistycznej, odbierano jako zapowiedź powrotu „carskich” represji, od młodego przeora oczekiwano heroizmu, na wzór XIX-wiecznych poprzedników. Młody o. Jerzy próbował wyznaczyć swoje „non possumus”; za prowadzenie religii w szkole został w październiku 1951 r. aresztowany, pozbawiony stanowiska przeora i wydalony z Podlasia. Być może ta postawa zdecydowała, że 27 maja 1952 r. kapituła generalna wybrała o. Tomzińskiego przeorem Klasztoru Jasnogórskiego.

Wybór w tych trudnych czasach nie był zaszczytem, lecz ciężkim obowiązkiem; to jakby zostać kapitanem tonącego statku. 3 lipca 1952 r. grupa funkcjonariuszy UB i MO wpała do sali jasnogórskiego seminarium duchownego, ulokowanego w czasie wojny w tzw. Salach Królewskich. Młodych kleryków zatrzymano, rewidowano, zabierano im prywatne zapiski i rzeczy, zastraszano podczas przesłuchań. Była to część ogólnopolskiej akcji likwidacji katolickich seminarium. Dla Jasnej Góry jako „bastionu kleru i wstecznic-twa” przeznaczono także inne działania: uderzono w ruch pielgrzymkowy. Przekształceniu w hutniczy dom robotniczy miał ulec Dom Rekolekcyjny na ul. św. Barbary, wysokimi grzywnami karano mieszkańców za goszczenie pielgrzymów. Wprowadzono zakazy lub administracyjne ograniczenia uniemożliwiające organizowanie pielgrzymek. Nie było to skuteczne, ilość przybywających na Jasną Górę zmniejszyła się z ponad miliona w pierwszych latach powojennych do ok. 900 tys. w 1952 r.; nadal było to więcej niż przed wojną. Nowy przeor o. Jerzy musiał jednak mierzyć się z trud-



ną rzeczywistością. Można w niej było być „lisem”, na wzór biskupa Golińskiego, za cenę drobnych ustępstw uzyskiwać przynajmniej minimalne prawa egzystowania instytucji kościelnych. Trudniejsza i mniej skuteczna była taktyka bycia „lwem”; świadczyły o tym aresztowania w Kurii Częstochowskiej, a także aresztowania i proces duchownych Kurii Krakowskiej, proces bp. Kaczmarka z Kielc. Nowy przeor godzić się musiał z likwidacją paulińskiego seminarium, z zakazem wywieszania flag papieskich, z przyjęciem handlu dewocjonaliami przez prorządowy PAX. Choć tu o. Jerzy postawił swoje weto: odmówił otwarcia na Jasnej Górze sklepu Ars Christiana, twierdząc, że produkowane przez PAX dewocjonalia pochodzą od Antychrysta. Pamiętając o losie o. Raczyńskiego, wiedział po jak kruchym stąpał lodzie, liczył się z ceną, jaką przyjdzie zapłacić za każde słowo sprzeciwu.

We wrześniu 1953 r. Biuro Polityczne PZPR zdecydowało się na aresztowanie kardynała Stefana Wyszyńskiego. Towarzyszyły temu organizowane w całej Polsce „spontaniczne” wiece robotnicze, potępiające antypolską działalność kleru. Zastraszony Episkopat, kierowany przez biskupa łódzkiego M. Klepacza, wydał lojalnościowy wobec władz komunikat. Dla Klasztoru Jasnogórskiego aresztowanie Kardynała było jak uderzenie w osobę najbliższą. Prymas od 1950 r. był w konfraterii o. Paulinów, wielokrotnie podkreślał swój związek ze Świątynią „Czarnej Madonny”, wizerunek Marki Boskiej Częstochowskiej przyjął do swojego herbu biskupięgo. Spontanicznie o. Paulini przyjęli obowiązek odprowadzania codziennych mszy św. w intencji uwolnienia Prymasa. 8 grudnia, w dniu, gdy aresztowany powierzył swoją osobę Matce Boskiej, wprowadzono na Jasnej Górze stały obyczaj – Apel Jasnogórski o godz. 21.00, ze słowami napisanymi przez o. Jerzego: jestem przy Tobie, pamiętam, czuвам... Wiele

lat później o. Jerzy wzruszony słuchał homilii Papieża, gdy w 1983 r., na przekór „nocy stanu wojennego”, Jan Paweł II z tych słów czynił moralne przykazanie dla polskiej młodzieży.

„Non possumus” miało swój wyraz nie tylko w modlitwach. W Salach Królewskich, w miejsce zlikwidowanego seminarium, otwarto kierowany przez Marię Okońską instytut duszpasterski dla młodzieży i inteligencji. Okońska, była jedną z „ósemki”, z grupy dziewcząt, które po Powstaniu Warszawskim, przycgarnęły i otoczyły opieką przyszły Prymas. Zyskały dzięki temu prawo gościny na Jasnej Górze. Nie tylko one zostały tu otoczone azylem, w tych trudnych latach stalinowskich. Zapraszano i pozwalano wygłaszać homilie zwolnionym z aresztu represjonowanym biskupom, w tym bp. Kaczmarkowi, bp. Biernackiemu, bp. Bienkowi.

O. Jerzy, skromnością i kierowanym do wszystkich sympatycznym uśmiechem, określał swoją rolę jako „prostaczka” ze wsi, zwyczajnego sługi Maryi. Ten jednak prostaczek stał się inicjatorem działań przynoszących wielkie zwycięstwo polskiego Kościoła. Syn chłopski z Przystajni trafnie zidentyfikował Mit Jasnej Góry: mit o. Kordeckiego i obrony przed Szwedami; odkurzył zapomnianą opowieść Sienkiewicza i nadał jej współczesny wymiar. Uroczystości 3 maja 1955 r. na Jasnej Górze uczyniono inauguracją obchodów 300-lecia obrony Klasztoru. Wygłaszane kazania mówiły o wartościach symbolizowanych Świątynią Czarnej Madonny i Jej roli w odrodzeniu Polski w czasach wielkiego upadku. Słowa zilustrowane zostały wystawą przygotowaną przez instytut Marii Okońskiej; eksponaty z okresu „potopu” szwedzkiego udostępniło Muzeum Narodowe. Oburzenie władz państwowych wzbudziło umieszczenie na wystawie portretu aresztowanego Prymasa, na polecenie Cyrankiewicza ekspozycję zamknięto, lecz po kilku



dniach, po licznych protestach, otwarto ponownie. Wystawę zwiedziło kilkadziesiąt tysięcy osób, nie tylko z Polski; wśród nich był m.in., 25 września 1955 r., senator z USA John F. Kennedy.

We wrześniu 1955 r. Episkopat zaakceptował inicjatywę Roku Królowej Polski, trwającego od uroczystości 3 maja 1955 r. do 3 maja 1957 r., z kulminacyjnym wydarzeniem 26 sierpnia 1956 r. na Jasnej Górze, podkreślającym 300-lecie Ślubów Jasnogórskich Jana Kazimierza. Komitet organizacyjny tworzyli: biskup częstochowski Goliński wraz z księżmi z Kurii oraz przeor o. Tomziński razem z kustoszem o. Teofilem Krause. Ciężar działań spoczął także na instytucie M. Okońskiej, który przyjął miano Instytutu Ślubów Narodu. Kustosz o. Krause zadbał o właściwe uzupełnienie wnętrza Klasztoru. Brama wejściowa zyskała miano i wizerunek Matki Boskiej, w krużganku wiodącym do Kaplicy Czarnej Madonny, zawieszono kopię obrazu J. Matejki „Śluby Jana Kazimierza” (oryginał znajduje się w lwowskiej Katedrze), w Sali Rycerskiej płaskorzeźba autorstwa Zofii Kamińskiej przekazywała tekst Ślubów z 1656 r. Nie mniej istotne były przygotowania organizacyjne, zwłaszcza, że nadal obowiązywały różnorodne ograniczenia ruchu pielgrzymkowego. Instytut M. Okońskiej rozesłał zaproszenia do wszystkich, 8 tys., polskich parafii. Kuria częstochowska apelując do wierznych stworzyła zaplecze umożliwiające przenocowanie i wyżywienie spodziewanych kilkudziesięciu tysięcy osób.

Władze partyjno-państwowe nie były w stanie przygotować spójnej taktyki w odpowiedzi na inicjatywę Jasnej Góry. Było to po śmierci Stalina, zaczynała się „odwilż”, nie wypadało stosować otwartych represji. Próbowano dać „odpór” ideologiczny. Publikowane były artykuły i książki polemizujące z Mitem Obrony Jasnej Góry, niektóre nawet na wysokim poziomie (np. Olgierda Górki i Adama Kerstena), wznawiano także przedwo-

jenną literaturę antyklerykalną, w tym sięgnięto po mit „tajemnic białego habitu” i o. Macocha. Wzmocniono propagandę antypielgrzymkową, strasząc panującym brakiem higieny, sugerując, że pielgrzymi zjadają zapasy przewidziane na wyżywienie mieszkańców Częstochowy. Po poznańskim buncie robotniczym rodził się w aparacie partyjnym strach, że jasnogórskie spotkanie religijne zmieni się w wielkie zamieszki. Wezwano nawet o. Tomzińskiego do katowickiego UB, grożąc represjami, gdyby doszło do antyrządowych manifestacji. Jednocześnie jednak władze musiały się liczyć z naciskiem społecznym. Z całego kraju płynęły informacje o przygotowanych grupach pielgrzymkowych, zdecydowanych iść na Jasną Górę mimo zakazu. Tysiące listów zbiorowych kierowano do rządu domagając się radiowej transmisji uroczystości 26 sierpnia. Licząc się z takimi opiniami społecznymi władze zdecydowały się nie przeszkadzać, a nawet zapewnić Częstochowie większe zaopatrzenie, by mogła wyżyć przyjezdnych.

Uroczystości jasnogórskie poprzedziła wielka spowiedź, prowadzona w dniach 19–25 sierpnia we wszystkich kościołach Polski. 25 sierpnia miasto zaczęły wypełniać tłumy wierznych. By zapewnić im schronienie otwarto na noc Jasną Górę i wszystkie kościoły w mieście; wyłożono nawet podłogi kobiercami, a nawet zwykłymi kocami, by mogli przenocować. Otwarto prowizoryczne punkty wydawania posiłków, społecznie dyżurowali pracownicy służby zdrowia. Miasto Częstochowa przygotowało 130 ton chleba, 47 ton wędlin, 250 tys. litrów napojów chłodzących. Według relacji o. Tomzińskiego „władze cywilne i MO zrobiły rzetelny wysiłek (...) jedynie elektrownia nie stanęła na wysokości zadania; kilka długotrwałych awarii pogrążyło Jasną Górę w ciemnościach”. W południe 26 sierpnia „pielgrzymi wypełnili szczerze cały plac, przylegające parki, oblepili drzewa. Zwarty tłum stoi w Alei N. M. Pan-ny aż do mostu kolejowego. Powiększa-

ją go wciąż nowe grupy ludzi z nadzieją dzających pociągów. Tłum jest tak zwarty, że nikt nie może uklęknąć”. Według szacunku władz było 300 tys. wierznych, rachunek Jasnej Góry był znacznie wyższy: 500 tys. przyjęło sakrament. Przybyło 28 biskupów, były delegacje z Węgier, Czechosłowacji, liczna grupa Polonii amerykańskiej i angielskiej. Największe wrażenie robił jednak widok pustego tronu Prymasa Polski, złożono na nim wiązanek biało-czerwonych róż. Był to, jak pisał o. Jerzy, „wymowny obraz cierpienia Kościoła”.

Relacje o. Tomzińskiego unikały, częstego u większości uczestników historycznych wydarzeń, podkreślania, sładem Żagłoby, „jam to, nie chwalebny, uczynił”. Przeciwnie o. Jerzy, świadomie pomniejszał swoją rolę, tłumacząc, że robił to z obowiązku, jako sługa sług Maryi. Skromność nie powinna przekreślać pamięci o zasługach. Odnowienie Ślubów na Jasnej Górze wpisane jest w wielkie dzieło Prymasa Tysiąclecia, traktowane jako początek wielkiej Nowenny, chrystianizacji marksistowskiej Polski. Niewątpliwie tak, ale pewnych szczegółów pominąć nie można. To nie kardynał Wyszyński, lecz skromny o. Jerzy, wymyślił „odkurzenie” Mitu Jasnej Góry, to przybyła z Częstochowy do Komańczy Maria Okońska, namówiła aresztowanego Prymasa do napisania tekstu nowych Ślubów Jasnogórskich. „Lawina bieg od tego zmiennia, po jakich toczy się kamieniach” – słowa Miłosza powinny nas uczyć dostrzeżenia znaczenia szczegółów. Mogło być inaczej, mógł polski Episkopat, tak jak Kościół w innych krajach „demokracji ludowej”, pogrążyć się w imię przetrwania, godzić się na coraz dalej idące kompromisy, uznać za słuszną drogę realizm polityczny „Pax-u” i Piaseckiego. Mógł kardynał Wyszyński podzielić los niezłomnego Prymasa Węgier kardynała Józsefa Mindszentego; porzuconego przez wierznych, zdradzonego przez hierarchów. Podobnie w XVII w.: mogła Jasna Góra podzielić los Krakowa, Warszawy, Poznania, poddać się i złożyć hołd Karolowi Gustawowi. Wszak, co dowodzą historycy, nie było tam czego bronić: Cudowny Obraz wywieziono na Śląsk, skarby ukryto... Logika nie rządzi historią, nawet drobny epizod zmienić się może w mit decydujący o zachowaniu ogółu. Warto więc pamiętać o tych drobnych kamieniach, o o. Jerzym Tomzińskim, o Marii Okońskiej, o innych postaciach, dzięki którym wykołysła się marksistowska „lokomotywa dziejów”. ■



Na podstawie: D. Thiriet „Marks czy Maryja? Komuniści i Jasna Góra w apogee stalinizmu (1950–1956)”, Warszawa 2002 oraz artykułów J. Żaryna, O. Zbudniewka i ks. Związka w: „Dzieje Częstochowy i Klasztoru Jasnogórskiego”, t IV. Częstochowa 2008.

Starość jako zadanie

O późnej poezji Tadeusza Śliwiaka

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

„starość to właściwie powolne umieranie”

Ryszard Przybylski, *Baśń zimowa. Esej o starości*

Według Rafała Watrowskiego, autora wstępu do *Nie dokończonego rękopisu*, wyboru wierszy Tadeusza Śliwiaka z 2002 roku, „wiersze ostatniego okresu twórczości (koniec lat osiemdziesiątych), zbiegającego się z jesienią życia poety, właściwie nie zaistniały w sferze świadomości czytelniczej”. Stwierdza on również, że prawdopodobnie dopiero w przygotowanym przez niego tomie większość czytelników znajdzie „późnego” Śliwiaka. W przypadku autora *Chityny* późny okres twórczości nie różnił się zasadniczo od poprzednich etapów pisarskich pod względem predylekcji do konkretnej formy wiersza (obok wierszy *quasi*-poematowych w tomikach z lat osiemdziesiątych pojawiają się również utwory krótkie, lapidarne). Być może wyznacznikiem okresu późnego byłoby tworzenie autorskich antologii w ostatnich tomach poetyckich (w *Dotyku*, tomie wydanym w 1989 roku, znalazły się wiersze z *Wyspy galerników* i *Znaków wyobraźni*), jednak strategię przedrukowywania wierszy zastosował poeta również w *Poemacie o miejskiej rzeźni* z 1965 roku.

Okres późny mógłby być czasem obfitującym w wiersze pesymistyczne, ciemne, pozbawione charakterystycznych dla poezji Śliwiaka nadziei i przeblysków szczęścia, jednak twierdzenie to okazuje się połowicznie prawdziwe. Koda wiersza *Dotyk* z tomu o tym samym tytule brzmi: „kulimy się z zimna / coraz bliżsi nicości”. Poetów charakteryzuje Śliwiak jako zapatrzonych w niebo: „mówią że lot jaskółki / jest frazą pogodnej piosenki / Idą patrząc w ziemię / mówią że robak / jest pełzającą literką nekrologu”. Natomiast w *Znakach ciągłych* deklaruje: „mój ołówek / jest wyznawcą życia / a jego kręgosłup / jest nieelastycz-

ny”. Pisząc o ołówku, Śliwiak na zasadzie *pars pro toto* wskazuje najważniejsze cechy swojej twórczości. W *Słowniku wyrazów światłoczułych* zamieścił lapidarny wiersz o potędze determinacji: „Widzisz człowieka płynącego łodzią? / Wiosłując śpiewa o dalekich portach. / Ani wie o tym że ma łódkę z soli...”. Śliwiak jest poetą chwającym życie we wszystkich jego wymiarach, choć i to twierdzenie można by opatrzyć dodatkowym komentarzem (wystarczy przywołać drugą strofę wiersza *Nie ma przy mnie nikogo*: „Cieszę się własną zuchwałością / mówię szeptem / aby ukryć łęk / aby gromkie słowa / nie stoczyły się razem ze mną w dół / tam gdzie moje miejsce”). Watrowski pisze: „[...] w stronę »barw«, »głosów« i »miłowania« będzie się Śliwiak zwracać w wierszach po *Poemacie*. Uporawszy się z osobistym i pokoleniowym doświadczeniem wojny, mówi głębszym, rozjaśnionym głosem”. Przed publikacją *Poematu o miejskiej rzeźni* również pojawiały się wiersze optymistyczne (*Otwieranie drzwi* i *Nazywanie światła z Wyspy galerników*), dlatego twierdzenie Watrowskiego, noszące znamię uogólnienia, można odnieść do części twórczości rozpiętej między *Poematem...* a *Dotykiem*.

Operowanie określeniami „późny”, „ostatni okres twórczości” mogłoby sugerować, że Watrowski akcentuje nie tyle wiek Śliwiaka, lecz swoiste cechy jego poezji powstałej w odmiennych okolicznościach i różniącej się diametralnie od wcześniejszych realizacji poetyckich. Zasadne byłoby doprecyzowanie przez Watrowskiego, czy dostrzegł w poezji autora *Widnokresu* wyznaczniki stylu późnego, o których pisał m.in. Mieczysław Wallis.

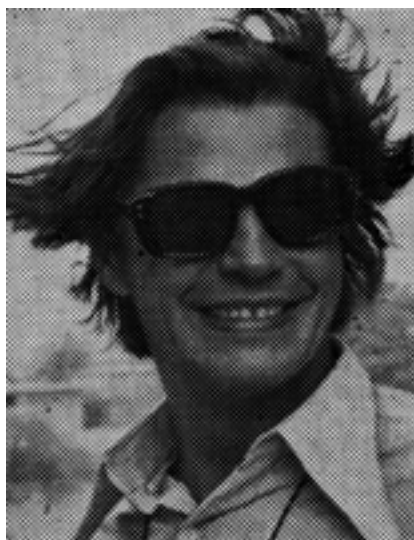
W książce *Późna twórczość wielkich artystów* Wallis dokonał charakterystyki twórczości przedstawicieli kilku dziedzin sztuki w ich ostatnim okresie aktywności (uwzględnił m.in. spuściznę Michała Anioła, Tycjana, Rembrandta, Tomasza Manna i Beethovena). Najważniejszym wyznacznikiem okazała się samoświadomość artystyczna, która pozwala częstokroć na realizację śmiałych projektów i przekraczanie horyzontu oczekiwań publiczności: „Twórca w późnym wieku doskonale wie, czego chce: jest w najwyższym stopniu świadom i zadań, jakie sobie stawia, i środków, jakimi dysponuje do ich pokonania. Niekiedy jednak chciałby te środki przekroczyć i czyni nadludzkie wysiłki w tym kierunku”. Wallis pisze także o ryzyku bycia niedocenionym przez współczesnych, jednak uznanie i dowartościowanie mogą pojawić się wiele lat po śmierci artysty: „Śmiałe licencje, zrywanie z formami tradycyjnymi, nieliczenie się z upodobaniami odbiorców sprawiają, że późne dzieła wielkich artystów są często nierozumiane i niedoceniane przez współczesnych i nie raz również długo przez potomnych”.

Koncepcja „stylu późnego” przedstawiona przez Wallisa w przypadku poezji Śliwiaka może okazać się nieoperatywna, mimo że wiele cech charakteryzujących późną twórczość wybitnych artystów europejskich można dostrzec także w tomach poetyckich z lat osiemdziesiątych (w *Dłużnikach nadziei* i *Słowniku wyrazów światłoczułych*), m.in.: maksymalizm artystyczny, poczucie mistrzostwa, afirmację życia, pojednanie ze światem. Styl późny charakteryzuje zmiana (m.in. środków wyrazu) w stosunku do twórczości z lat młodszych.

Wariant stylu późnego w polskiej poezji bezspornie pojawia się w *Wiklinie i Dziewięciu Muzach* Leopolda Staffa. Jak twierdzi Wallis: „Przypadek Staffa jest czymś zgoła wyjątkowym. Rzadko się zdarza, by jakiś poeta był w ciągu całego swego życia tak uwielbiany jak Staff, i to przez przedstawicieli kilku pokoleń, i by jego późne utwory stały się tak od razu przedmiotem zachwytu, przynajmniej ze strony poetów i krytyków młodszego pokolenia, jak ostatnie dwa zbiory jego wierszy”.

Jeśli więc określenie „styl późny” ma się okazać adekwatne wobec twórczości Śliwiaka, mimo że ta nie podlegała radykalnym woltom artystycznym, należy określić, jaki katalog problemów podejmuje poeta w „jesieni życia” (określenie Watrowskiego). Biorąc pod uwagę fakt, że w chwili wydania *Słownika wyrazów światłoczułych* w 1988 roku poeta miał sześćdziesiąt lat, a więc wkroczył w wiek charakteryzowany przez Wallisa następująco: „Po 60 roku życia rozpoczyna się przejście do trzeciej fazy ludzkiego życia – fazy starości. Popędy, z popędem płciowym na czele, wygasają. Aktywny stosunek do otoczenia słabnie. Szczególnie charakterystycznym rysem tego okresu jest pogrążenie się człowieka w samego siebie, w świat swych myśli i wspomnień, introwersja [...] U jednostek wybitnych dokonuje się »nowe głębokie uduchowienie«. Wreszcie przed osobowością twórczą otwiera się »ostatnie dalekie spojrzenie w obliczu wieczności«, można założyć, że uwaga poety skoncentruje się na problemach odchodzenia (przyjaciół i znajomych), a także ubywania (sił, życia). O ile spadek kondycji i pojawienie się długotrwałych dolegliwości można uznać za główne objawy nadejścia „okresu późnego” w życiu każdego człowieka, o tyle wzmianki o pogrążaniu się w sobie i introwersji wiążą się z charakterem jednostki i nie należy ich łączyć ze starością, ponieważ jej nie zapowiadają; mogą być cechami osobniczymi, które z wiekiem tylko się pogłębiają. W przypadku poety ustalenie stopnia introwertyczności okazuje się niemożliwe, ponieważ w jego działalności wpisana jest pewna doza ekshibicjonizmu i chęć powiadamiania o własnych niepokojach, obawach, nadziejach i lękach.

W późnych tomach Śliwiaka pojawia się kilka tematów, które znamionują wejście w późną fazę twórczości: starość, śmierć, rozrachunkowość i elegijność. Wymienione tematy składają się na poetycki „gest pożegnania”, który poeta konsekwentnie w kolejnych tomach powielał, zmieniając nieznacznie wizerunek. Zastanawiający okazuje się fakt nieobecności Śliwiaka w opracowaniu poezji z lat dziewięćdziesiątych autorstwa Anny Legeżyńskiej, która poddała analizie twórczość kilku autorów o roz-



poznawalnym idiome pod kątem silnie obecnej dykcji elegijno-ironicznej. Decyzję badaczki można wyjaśnić powołując się na okoliczności niepowiązane z ewolucją twórczości autora *Dłużników nadziei*, długoletnią ciszą lub decyzją o wycofaniu z życia literackiego (przerwa między *Odmroczeniami* a *Słownikiem wyrazów światłoczułych* wyniosła sześć lat, lecz nie świadczyła o rezygnacji z publikowania skoro w 1989 roku ukazał się *Dotyk*), lecz związane z metryką poety; jego śmierć w 1994 roku przypadła na czas wzmożonej aktywności „Starych Poetów”: Ewy Lipskiej, Wisławy Szymborskiej, Stanisława Barańczaka, Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosza. Wystarczy przypomnieć, że Legeżyńska zarówno w artykule *Gest pożegnania w liryce lat ostatnich* z 1997 roku, jak i w autorskim projekcie *Gest pożegnania. Szkice o poetyckiej świadomości elegijno-ironicznej* z 1999 roku włączyła do rozważań na temat świadomości elegijnej w poezji polskiej twórczość Mirona Białoszewskiego (autor *Oho* zmarł w 1983 roku). Na fakt przeoczenia przez Legeżyńską poezji Śliwiaka wpłynęło być może niedocenienie spuścizny poetyckiej autora *Znaków wyobraźni* i uznanie jej za niespełniającą reguły, artystycznie poślednią.

Biorąc pod uwagę pojawiające się w twórczości Śliwiaka nastroje i dominanty tematyczne ogniskujące się wokół „gestu pożegnania”, a także czytelne aluzje do kondycji psychosomatycznej samego autora, można uznać go za reprezentanta zrzeszenia Starych Poetów. Niektóre wiersze mimo że przybierają kształt uniwersalnej refleksji, lokują się w polu problemów charakterystycznych dla „stylu późnego”. W *Życiu* pojawia się formuła zbliżona do sentencji: „Piszemy o życiu / więc o umieraniu”. Nie jest ona ani zbyt odkrywczą, ani zbyt finezyjną, jednak poza odwołaniem do *memento mori*, które pojawia się w wierszu ze *Słownika wyrazów światłoczułych*, warto podkreślić gotowość do zmiany perspekty-

wy. Dalsza część wiersza brzmi: „niekiedy zapominamy się / i piszemy o kamieniach / i lodowych górach”. W kodzie wiersza pojawiają się zjawiska opierające się rozkładowi, trwałe i niepodlegające upływowi czasu w tym samym stopniu co człowiek. Ich percypowanie przynosi nie tylko estetyczną satysfakcję i radość z haptycznego kontaktu, lecz również świadczy o możliwościach zawieszenia refleksji o śmierci wyrażanej *explicitie* i przekierowaniu uwagi na te aspekty egzystencji, które nadają życiu inną jakość. Śliwiak jest również autorem tekstu do złudzenia przypominającego jeden z wierszy Anny Świrszczyńskiej: „Przy wszystkich porodach / jedną z akuserek / zawsze jest śmierć” (*Akuszerka*). Refleksja o śmierci została zawężona ze względu na perspektywę kobiecą (to kobieta jest dawczynią życia, narażoną na komplikacje poporodowe i utratę dziecka). Jednak śmierć bywa również personifikowana: „my także kładziemy się spać / coś w nas uwalnia się / pod powieki podchodzi sen / zegar oddala się na palcach / Śmierć rozpoczyna w nas / swoje conocne manewry / Na razie używa jeszcze ślepych naboi / i strzela do tekturowych sylwetek / coraz bardziej do nas podobnych / Śmierć uczy się nas / a my uczymy się jej” (*Dobranoc*). W wierszu *Dom starego poety* pojawia się podobny obraz: „W domu starego Poety / [...] Od kilku lat / jego sublokatorką / jest Śmierć” (*Dom starego poety*). Jako komentarz wyobraźni mortalnej Śliwiaka można wskazać fragment *Baśni zimowej. Eseju o starości* Ryszarda Przybylskiego, który pisząc o starości Immanuela Kanta, podkreślał źródło obrazu personifikowanej śmierci: „Do jego łóżka podchodził morderca. Racjonalny umysł – dodam – najwyraźniej nie przekazał podświadomości konwencjonalnego obrazu śmierci stworzonego przez chrześcijańską Europę. We śnie musiał mieć śmierć za bezlitosnego bandytę”. W wierszu *Dobranoc* śmierć trenuje strzelanie do celu, więc określenie jej bandytą nie byłoby nadużyciem, biorąc pod uwagę skutki spotkania z nią (odebranie bliskim ukochanej osoby, zerwanie relacji) i sposoby, w jakie ingeruje w ludzkie życie.

Obraz śmierci spersonifikowanej ma długą tradycję, o której zaświadcza m.in. Philippe Ariès. W poezji polskiej w sposób najbardziej oryginalny jej wizerunek wykorzystał Białoszewski w *Wywiadzie* nawiązującym do *Rozmowy Mistrza Polikarpa ze Śmiercią*. Jednak to nie wiersze bazujące na upostaciowanym wizerunku śmierci oddziałują najmocniej, lecz te, w których poeta dokonuje wiwsekcji ludzkiego ciała: „Na mój dom / upatrzyłem / własne niepokorne ciało / na zbyt w nie uwierzyłem / w to kłamstwo na glinianych nogach”. W jego zakamarkach czai się odroczonego śmierć; wystarczy,

że któryś z elementów znacznie szwankować lub ulegnie zniszczeniu, a człowiek zostanie skazany na kalectwo lub śmierć: „Moje serce / w maniakalnym uporze / uprawia krew / która łatwo się męczy / i trudno ją w sobie upilnować” (*Za którymś uderzeniem serca*). Najbardziej pożądana jest śmierć nagła, która ze względu na jedną z cech (szybkość), porównana jest do przejścia: „Za którymś jego uderzeniem / roztacza się wielka dolina / gdzie czas ma swoją prywatną posiadłość”. Inny wariant pojawia się w wierszu *O kruchości naczyń*. Mimo że poeta nie rezygnuje z metaforyki (obecnej również w *Za którymś uderzeniem serca*), to jednak zmienia się sytuacja komunikacyjna (w poprzednim wierszu pojawiało się wyznaczenie, które pozwalało na utożsamienie ja z autorem wiersza); uroda adresatki (porównanie „przegub jak gałązka” świadczyłoby o tym, że ty jest kobietą) zasługuje na uniesmiertelnienie, jednak w jej ciele pojawia się siła na tyle potężna, że ewokująca myśl o nieuchronnej śmierci (kruchość to cecha przypisywana przedmiotom cennym, m.in. wykonanym z porcelany): „Krew świeci w tobie / kość się w tobie bieli / rozchyła się w oddechu płuc twych kwiat podwójny / w mięsień twojego serca ściśnięty ocean / pulsuje nieustanną zachłannością życia // Ujmując jak gałązkę przegub twojej ręki / kiedy unosisz na wysokość warg / świeżo zerwaną poziomkę... / Odganiam / natrętne myśli o kruchości naczyń”. Obraz wewnętrznego morza (nawet jeśli tylko ewokowanego przez pracę serca) okazuje się nacechowany ambiwalentnie (budzi podziw i strach). Podobny koncept zastosowała Wisława Szymborska w wierszu *Do serca w niedzielę*, zamieszczonym w *Stu pociechach*: „Masz siedemdziesiąt zasług na minutę. / Każdy twój skurcz / jest jak zepchnięcie łodzi / na pełne morze / w podróż dookoła świata”. Praca układu krwionośnego jest fascynująca niczym podróż dookoła świata, lecz również dzięki koordynacji wszystkich procesów biologicznych możliwe jest podejmowanie wyzwań. Szymborska zamknęła wiersz plastyczną metaforą: „Dziękuję ci, serce moje, / że obudziłam się znowu / i chociaż jest niedziela, / dzień odpoczynania, / pod żebrami / trwa zwykły przedświąteczny ruch”. Choć zarówno Śliwiak, jak i autorka *Chwili* inaczej rozkładają akcenty (u Szymborskiej pochwała serca wygłaszana jest w imieniu właściciela organizmu, natomiast Śliwiak, mimo że sam podległy prawom upływu czasu, koncertuje się na lirycznym ty), to jednak wnętrze ciała okazuje się wzniosłe, a więc obserwowanie reakcji organizmu i groźba zniszczenia homeostazy ustępują miejsca uldze, bo wszelka awaria została odroczone.

W poezji Śliwiaka nie brakuje również fraz świadczących o konieczności

zaakceptowania procesu zmiany wyglądu na skutek upływu czasu: „z wszystkich domowych sprzętów / najmniej wdzięczne jest lustro / im dłużej cię zna / tym szpetniej mówi o tobie”. Temat deficytów i starczych niedogodności bywa akcentowany w sposób niezwykle subtelny, jednak pojawia się coraz częściej. Wierszem, w którym pojawiają się detale dotyczące zmagania z niedomagającym ciałem, jest *Nasz dom ostatni*: „Białe płótno [...] / obleka nas / okrywa naszą spracowaną nędzę / wychudłą i cynową / w białe cienie-czułe płótno / wsiąka cierpienie i ostatnia nadzieja / tracimy grunt pod stopami / a biała rzeka Styks / znosi nas ku nieruchomym brzegom / domu ostrych dyżurów / ostrych skalpeli / i tępego bólu”. Przybylski pisze: „Stare, schorwane i zmęczone ciało przypomina więc człowiekowi, że wszedł w okres ciągłego lęku. Był czas radości. Jest czas udręczenia. Św. Augustyn, kiedy znalazł się dokładnie w takiej sytuacji, pocieszał się wiarą w transfigurację materii, która po »zwinieniu niebios« zostanie uświęcona i stanie się niezniszczalna”. W wierszu *** *Mój ból...* poeta pisze: „Mój ból jest moim wiernym psem / Wiecznie głodny patrzy na mnie wielkimi oczyma / Śpi w moim cieniu / Budzi się w moim krzyku / Łasi się jak ogień”.

W *Baśni zimowej* Przybylskiego znajduje się fragment charakteryzujący artystów wkraczających w okres późny: „Starość jest więc czasem żalosego tułactwa umysłu między znużeniem i aktywnością. To czas chorobliwych złotów i gwałtownych upadków. Tylko nieliczni starcy, raz wzleciawszy w niebo, szybują długo na wysokościach niby radosne jaskółki. Większość doświadcza bolesnych zapaści, co nie oznacza wcale, iż nie próbuje podnieść się z prochu. Bliżej nie wiadomo dlaczego, ale niektórzy starcy nie chcą się czolgać w kurzu”. Można uznać, że odzwierciedla on również kondycję poetycką Śliwiaka, który w ostatnich tomach prezentował całkiem dobrą formę. Wypracował, własny, niepowtarzalny idiom odróżniający go od innych poetów. Wśród późnych tomów, do których należą *Dłużnicy nadziei*, *Solizman*, *Chityna*, *Odmroczenia*, *Słownik wyrazów światłoczułych* i *Dotyk*, trudno wskazać nieudany artystycznie. Wraz z upływem lat zmieniła się katalog problemów, jednak nie zmieniały się sposoby ujmowania tego, co najważniejsze. Pod tym względem okres późny okazał się czasem projektów satysfakcjonujących, a także literacko dopracowanych.

Wallis pisze, że stary artysta: „Bolesnie odczuwa rozbieżność między wciąż żywymi aspiracjami twórczymi a słabnącymi coraz bardziej siłami cielesnymi. Wie, że ma już niewiele czasu przed sobą i że każdy jego utwór – obraz, wiersz, dzieło muzyczne może być jego utwo-

rem ostatnim”. Mimo że w ostatnich tomach Śliwiaka wierszy osnutych wokół pożegnań i rozliczeń jest znacznie mniej niż w *Epilogu burzy* Zbigniewa Herberta, warto podkreślić, że wyobraźnia mortualna przejawia się w sposób bardziej zakamuflowany niż w późnej twórczości wspomnianego Herberta lub Białoszewskiego. Śmierć bywa nie tylko przeczuwana w zakamarkach ciała (*O kruchości ciała*), lecz również przedstawiana jako snująca się: „chodzi po domach / siada nad rzekami / kręci się po lotniczych portach / [...] bezdomna / i wiecznie sama jedna jak palec / jak palec Boży / ona / ta chodząca śmierć”. Równie wiele strategii wykorzystuje pisząc o postępującej degradacji zdrowia (jak choćby w wierszu *Stara kobieta ze Słownika wyrazów światłoczułych*): „pamięta swoje dzieciństwo / jak tabliczkę mnożenia / ale kiedy przychodzi listonosz / dziękuję mu za mleko przed progami”.

Być może najważniejszym zadaniem, jakie postawił przed sobą Śliwiak w późnych tomach poetyckich było „wodzenie na pokuszenie wyobraźni” (*Znaki ciągłe*), „drażnienie własnej wyobraźni”, czyli kreowanie sytuacji, które mogą mieć miejsce w przyszłości. Antycypacja to strategia pozwalająca Śliwiakowi na poetyckie opracowywanie tematu starości w miarę ubywania sił. Nie ma ona charakteru długofalowego, poeta rozpisuje starcze scenariusze w ostatnich tomach poetyckich, a nie w pierwszych. W *Sztuce marzeń* poeta wyraził swoje credo poetyckie: „Wyobraźnia / to sztuka marzeń / przy jej bramie / nie ma budki strażnika / ani żadnych napisów”. Można by dodać, że wyobraźnia to sztuka pokonywania barier i przygotowywania na najgorsze. W poezji Śliwiaka wychylenie w przyszłość widoczne jest w wielu tomach i wierszach.

Watrowski pisze we wstępie do *Nie dokończonego rękopisu* o wierszach z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych: „Ten okres to »odsłonięcie twarzy«, niespotykana dotychczas liczba wierszy o tematyce osobistej i liryki refleksyjnej, to dążenie do jak największej zawartości wypowiedzi (nieuchronna u tłumacza literatury japońskiej inspiracja haiku), oscylacja między pogodną metafizyką a chłodną goryczą osobistego doświadczenia”. Można by polemizować z formułą „odsłonięcie twarzy”, ponieważ w późnych wierszach Śliwiak wykorzystuje spetryfikowane konwencje, jednak sam projekt pomyślenia o starości w trybie przypuszczającym okazał się genialny. Szesnaście lat przed śmiercią Śliwiak konfrontował się z prawdą o starości. Przybylski pisał o niej, że „Ponad wszelką wątpliwość jest to z reguły czas chorób i lęku, niepokoju i próby wiary”. Śliwiak ten okres zinterioryzował za sprawą poezji znacznie wcześniej w sposób charakterystyczny dla arcypoety. ■

Henryk Konwiński – mistrz choreografii i adoptowany Ślązak

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Wybitny choreograf, reżyser, inscenizator, a wcześniej także znakomity solista baletu Henryk Konwiński mówi o sobie, że jest „urodzonym poznaniakiem i adaptowanym Ślązakiem”. W jego salonie w katowickim mieszkaniu można poczuć się jak w innej epoce: meble, obrazy, porcelana – wszystko eleganckie i starannie dobrane. Jest to człowiek wysokiej kultury – nawet gdy się denerwuje, zawsze zachowuje klasę. Od 50 lat jego ulubionym teatrem stała się Opera Śląska. Zrealizował w całej Polsce ponad 200 spektakli baletowych, operowych, operetkowych, musicalowych, dramatycznych, lalkowych i offowych, ale wiele z nich powstało w Bytomiu.

Urodził się w Poznaniu 19 listopada 1936 roku. To miasto pozostało bardzo bliskie jego sercu do dziś. W rozmowie, którą nagrałem w siedzibie **Fundacji ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego** (do obejrzenia na kanale Orfeo.TV na YouTube), mówił: „Z Poznaniem jestem związany emocjonalnie pod każdym względem, zawsze jestem tam również u siebie”. Ojciec chciał, aby Henryk miał jakiś konkretny zawód, więc skłonił go do nauki w technikum, ale chłopiec był od wczesnych lat zafascynowany tańcem. Chodził na lekcje w ognisku baletowym, a później w Kościerninie występował w **Zespole Pieśni i Tańca Ziemi Kaszubskiej**.

Następnie trafił do baletu Opery Poznańskiej, gdzie pracował pod kierunkiem najwybitniejszych artystów, m.in.: **Teresy Kujawy, Feliksa Parnella, Jerzego Gogóla, Witolda Borkowskiego, Conrada Drzewieckiego, Stanisława Miszczyka, Eugeniusza Papliń-**

skiego. Tańczył na scenie z: **Anną Dęrgowską, Barbarą Karczmarewicz, Olgą Sawicką, Edmundem Koprucim, Władysławem Milonem**. Poważna kontuzja i długotrwała rehabilitacja sprawiły jednak, że miał czas na przemyślenia i zaczął przestawiać się na zawód choreografa. W 1971 roku był już współtwórcą takich spektakli jak: „Król Edyp” Sofoklesa, „Wesele” Wyspiańskiego i „Apetyt na czereśnię” Osieckiej w **Lubuskim Teatrze w Zielonej Górze**, „Goplana” Żeleńskiego w **Operze Bałtyckiej**, „Faust” Gounoda w reżyserii **Mieczysława Daszewskiego** w **Operze Śląskiej w Bytomiu**, „Roxy” Connorsa w **Operetce Poznańskiej** oraz „Carmen” Bizeta w **Operze Poznańskiej**.

W 1972 roku zrealizował jako choreograf w studenckim **Teatrze Nurt w Poznaniu** polską prapremierę „Operetki” Witolda Gombrowicza z reżyserem **Januszem Nyczakiem** (jako scenograf debiutował tam **Jacek Zagajewski**, który przez wiele lat współpracował później z chorzowskim Teatrem Rozrywki, m.in. przy „Dzisiaj wielki bal w Operze”, „Huśtawce”, „Kramie z piosenkami” i „Ani z Zielonego Wzgórza”). Dopiero 3 lata później **Kazimierz Dejmek** przygotował oficjalną prapremierę „Operetki” w **Teatrze Nowym w Łodzi**.

Opera Śląska stała się dla Henryka Konwińskiego drugim domem na kilkadziesiąt lat. Wspomina: „*Don Kichot* był moim wejściem tanecznym na scenę Opery Śląskiej, ponieważ tam jako Espada ukazałem się miastu i światu śląskiemu”. W kwietniu 2019 roku zrealizował w Bytomiu nowe przedstawienie „Don Kichota” jako inscenizator i choreograf, więc w pewnym sensie historia zatoczy-

ła koło. „Mam poczucie, że jestem u siebie i w Poznaniu, i na Śląsku. Wreszcie, kiedy nastąpiła sytuacja, że musiałem zdecydować, gdzie ostatecznie zamieszkać, wybrałem Śląsk i jestem tu wśród swoich ludzi, bardzo kochanych i bardzo mnie lubiących. Czuję się z nimi wyjątkowo dobrze i mam pewność, że nie jestem sam. Bardzo lubię Ślązaków – mają w sobie coś wspaniałego, są pracowici i dbają o czystość, a ich akcent jest dla mnie muzyką”.

Ze wzruszeniem przywołuje w pamięci początki współpracy z Operą Śląską, kiedy wybitny artysta – dyrygent i dyrektor artystyczny tej sceny (1971–1986) **Napoleon Siess** zaproponował mu choreografię do sceny „**Noc Walpurgii**” w „**Fauście**” **Gounoda**. Powstało wybitne dzieło, pełne pasji, na wskroś oryginalne i nowatorskie, którym zachwycili się recenzenci i widzowie. Ogromne emocje wzbudziła także jego realizacja „**Aidy**” **Verdiego**. Pierwszym autorskim przedstawieniem baletowym Konwińskiego w Bytomiu było „**Stworzenie Świata**” z muzyką **Andrieja Pietrowa (prapremiera polska)**. Stał się szybko również oryginalnym reżyserem operowym, realizując premiery „**Traviaty**” **Verdiego** czy „**Salome**” **Richarda Straussa**.

Kształcił się pod okiem mistrzów światowego formatu. Był stypendystą **Het Nationale Ballet w Amsterdamie, Nederlands Dans Theater w Hadze** i **Baletu XX Wieku Maurice’a Bójarta w Brukseli**. „W Polsce byliśmy w tamtych czasach izolowani. Kiedy wyjeżdżałem za granicę, na własne oczy – ale także za pośrednictwem swoich nóg i ciała – doświadczałem wszystkiego, a багаż ar-

tystyczny powiększał się i przetwarzał we mnie. Nie wzięłam się znikąd”. Doskonalił się także w **Petersburgu** i w **Indiach**. Bardzo ciekawe były dla niego również egzotyczne podróże artystyczne do **Addis Abeby** w **Etiopii** i **Hawany**, gdzie zetknął się z **Alicją Alonso** (1920–2019), słynną kubańską prymabaleriną, choreografem i pedagogiem.

Pełnił funkcję kierownika zespołu baletowego w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Jest laureatem Złotych Masek oraz Teatralnej Nagrody Muzycznej im. Jana Kiepury w kategorii Najlepszy Choreograf (2010, 2017); otrzymał Srebrny Medal Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” (2011), Statuetkę Terpsychory – nagrodę Sekcji Tańca i Baletu ZASP (2014), Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (2005) i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (2018). Był również pedagogiem w szkołach baletowych w Poznaniu, Bytomiu (tutaj także jako kierownik artystyczny) i Warszawie. Gdziekolwiek się pojawia i cokolwiek realizuje, zawsze jest witany z wielkim szacunkiem i serdecznością. Wystarczy wymienić miasta, w których pracował, aby zorientować się w rozmachu jego artystycznej działalności: **Poznań, Bytom, Gdańsk, Zielona Góra, Sosnowiec, Katowice, Zabrze, Kraków, Warszawa, Gliwice, Częstochowa, Słupsk, Jelenia Góra, Rzeszów, Opole, Wrocław, Chorzów, Bydgoszcz, Będzin, Gdynia, Olsztyn, Gniezno, Kielce, Łódź**. Na Śląsku oczywiście największy związek ma ze **sceną operową w Bytomiu**, ale realizował spektakle również wielokrotnie w **Teatrze Śląskim** i „**Ate-neum**”, w **Teatrze Zagłębia** w **Sosnowcu**, **Dzieci Zagłębia** w **Będzinie** i **Nowym w Zabrzu**, a także w **Operetce Śląskiej** i **Gliwickim Teatrze Muzycznym** oraz w **Teatrze A**.

Miałem przyjemność i zaszczyt współpracować z Henrykiem jako szef artystyczny Gliwickiego Teatru Muzycznego. Wyreżyserował wtedy musical „**Okłahoma!**” **Rodgersa** i „**Hrabinę Maricę**” **Kalmana** (za jej pierwszą wersję zrealizowaną w Operetce Śląskiej w 1990 roku otrzymał Złotą Maskę), a także stworzył rozbudowane choreografie do spektakli reżyserowanych przez **Marcina Sławińskiego** – „**Krainy uśmiechu**” **Lehara** i „**Nocy w Wenecji**” **Straussa** (z zachwycającymi kostiumami **Barbary Ptak**). Wspomina: „To był bardzo dobry czas, cudowny czas. Ogromnie żał mi tego teatru i tych ludzi. Niektórzy znaleźli pracę i zaczęli inny etap w życiu, ale wielu z nich zostało okaleczonych. To bolesny temat, ale mówmy o tym, że życie toczy się i trzeba się w nim jakoś odnajdywać. Cieszę się, gdy tych ludzi – miłych i kochanych – spotykam. To są pasjonaci. Istotą sztuki jest kochać to, co się robi i nie osiądać na laurach”.

W Teatrze Wielkim w Łodzi za dyrekcji **Pawła Gabary** wyreżyserował wspólnie spektakl „**Krzesany / Siwa mgła**” z muzyką **Wojciecha Kilara** i za tę pracę otrzymał **Teatralną Nagrodę Muzyczną im. Jana Kiepury** jako najlepszy polski choreograf, którą odebrał na estradzie **Filharmonii Narodowej w Warszawie** w czerwcu 2017 roku.

Od dzieciństwa lubił rysować i malować. Uważa, że pomaga mu to często w pracy choreograficznej i w rozmowach ze scenografami. Kiedy chce coś wytłumaczyć, zamiast długo opowiadać, szkicuje coś na kartce papieru i pokazuje, o co mu chodzi. **Jego reżysersko-choreograficzne premiery w ostatnich latach w Operze Śląskiej to: „Madama Butterfly” Pucciniego, „Pan Twardowski” Różyckiego, „Cyrukil sewilski” Rossiniego, „Baron cygański” Straussa, „Na kwaterunku” i „Verbum nobile” Moniuszki, „Orfeusz i Eurydyka” Glucka**. Stworzył też choreografię do „**Księżniczki czardasza**” **Kalmana** w reżyserii **Pii Partum**. Kiedy więc patrzy się na repertuar bytomskiej sceny, nazwisko Henryka Konwińskiego wciąż się przewija i jest to wspaniałe, ponieważ niewielu można znaleźć w Polsce tak wybitnych, profesjonalnych, a przy tym kulturalnych realizatorów, przy których dyrektor teatru czuje się bezpiecznie, a widzowie są zachwyceni. **W 2016 roku Sala Baletowa Opery Śląskiej otrzymała imię Henryka Konwińskiego**. Pamiętam tę wspaniałą uroczystość, na której byłem razem z dziennikarzem i filmowcem **Pawłem Grucą**, z którym realizuję film dokumentalny o naszym mistrzu choreografii.

Kiedy mówi o swoich najważniejszych realizacjach choreograficznych, wymienia: wspomniane już „**Stworzenie Świata**” **Pietрова** (Opera Śląska 1974), „**Romea i Julię**” **Prokofiewa** (Opera Poznańska 1979), „**Wariacje na temat Franka Bridge’a**” **Brittena** (Bytom 1977 i Teatr Wielki w Warszawie 1978), „**Epitafium na śmierć Szymanowskiego**” (Opera Poznańska 1980), „**W górę – w dół**” (Teatr Wielki w Warszawie 1978) i „**Ad Montes – Balety Tatrzańskie**” (Opera Śląska 1994) do muzyki **Wojciecha Kilara** oraz „**Romea i Julię**” **Berlioza** (2009) z baletem Opery Śląskiej i najlepszymi uczniami bytomskiej Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. **Ludomira Różyckiego** w rolach tytułowych.

20 listopada 2021 roku dyrektor **Łukasz Goik** zorganizował w Operze Śląskiej jubileuszową galę z okazji 65-lecia pracy artystycznej oraz 85. urodzin **Henryka Konwińskiego**. Podczas koncertu zaprezentowane zostały fragmenty jego wybitnych choreografii do spektakli baletowych i operowych. Wystąpili: soliści, chór, balet i orkiestra pod dyrekcją mistrza batuty **Tadeusza Kozłowskiego**. Gościnnie zaprezentowali się: królowa operetki **Grażyna Brodzińska**, soliści

baletu **Teatru Wielkiego w Łodzi** i **Teatru Wielkiego w Poznaniu** oraz młodzi artyści **Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Ludomira Różyckiego w Bytomiu**. O **Grażynie Brodzińskiej** tak mówił mi Jubilat: „**Dzięki Bogusławowi Kaczyńskiemu** spotkałem się z **Grażyną** podczas pracy nad **Czarodziejskim fletem** w Teatrze ROMA w wersji **Ryszarda Karczykowskiego**, młodzieżowej, ale bardzo pięknej. Wtedy cudownie mi się pracowało i to pozostaje. Po latach spotkałem się z nią podczas pracy nad premierą **Wesołej wdówki** w **Mazowieckim Teatrze Muzycznym**. To jest niesamowite, ile można zyskiwać od wykonawcy, który przylega do muzyki i wyciąga ze mnie dodatkowe uwagi, aby się doskonalić. Zawsze była pierwsza na próbie i ostatnia wychodziła. **Grażyna** również emanuje na zespół. Jest nieprawdopodobnie uroczą, miłą osobą. Także dzięki niej w zespole panowała harmonia”.

Podczas jubileuszowej gali na scenie Opery Śląskiej powiedział: „**Proszę Państwa, najważniejsza jest pasja i najważniejsza jest wierność w przyjaźni... Wszystko, co człowiek daje z siebie, także otrzymuje. Do dzisiaj jestem tym szczęśliwcem, który robi to, co lubi, czyli nie powinienem w ogóle narzekać. Bardzo dziękuję, tłumię w sobie wielkie emocje, aby się nie rozpaść na kawałki**”. Pierwszą część gali **Mistrz** poprowadził z **Joanną Sibilską**, a drugą – z **Violettą Rotter-Kozera** i **Joanną Kściuczyk-Jędrusik**, która wprowadziła wiele elementów humorystycznych. Zabrzmiała muzyka **Mascagniego, Berlioza, Minkusa, Czajkowskiego, Pucciniego, Kilara, Verdiego, Glucka, Lehara, Bizeta, Noskowskiego, Delibes’a, Offenbacha** i **Johanna Straussa**. Wystąpili śpiewacy Opery Śląskiej: **Anna Borucka, Gabriela Gołaszewska, Joanna Kściuczyk-Jędrusik, Ewelina Szybilska, Anna Wiśniewska-Schoppa, Adam Sobierajski i Feliks Widera**, a gościnnie – oprócz wspomnianej **Grażyny Brodzińskiej** – **Elżbieta Wróblewska** występująca na scenach Teatru Wielkiego – Opery Narodowej i Warszawskiej Opery Kameralnej oraz ceniony baryton **Szymon Mechliński**.

Na koniec w obecności wszystkich artystów na scenie dyrektor **Łukasz Goik** uhonorował Jubilat **Statuetką Opery Śląskiej**. **Henryk Konwiński** otrzymał też **Medal Senatu RP** i tytuł **Ambasadora Łódka-Zdroju**. Ma również zostać **Honorowym Obywatelem Bytomia**. Dziennikarka i kulturoznawca **Magdalena Mikrut-Majeranek** kończy pisać książkę o tym wspaniałym artyście, a publikacją zainteresowało się **Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”**, którego prezesem jest **dr Tadeusz Sierny**. Mam więc nadzieję, że już niedługo będziemy mogli przeczytać fascynującą historię życia i twórczości tego „adoptowanego Ślązaka”. ■

Drugi Hajmat?

JANUSZ PLEWNIAK

Pamiętacie taki dowcip z czasów słusznie minionych? Pytanie: jakie są trzy największe śląskie święta na literę „G”? Odpowiedź: *Geburtstag*, *Geldtag* i *groß Paket z Rajchu* (urodziny, wypłata i wielka paczka z Niemiec). By takie paczki przychodziły, musieli być nadawcy. I tu rodzi się pytanie, ilu Ślązaków wyemigrowało za zachodnią granicę? Pierwsi, kiedy Polski na mapach nie było, za chlebem w XIX wieku, ostatni „za chlebem” dwa wieki później, po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Po drodze było sporo takich, których przymuszano do wyjazdu, którzy uciekali przed restrykcjami, których Gierk przetargował za kredyty, byli też tacy, którzy szukali chleba z dwóch stron posmarowanego i inni, tacy, którzy chcieli po prostu być blisko z rodziną.

Jakie są ich losy, czy i jakie porobili kariery, czy jak nisko upadli, jak bardzo nadal czują się związani z ojczyzną, którą opuścili? Czy żyją w diasporze? Czy się zintegrowali, a jeżeli, to czy w pierwszym, czy drugim pokoleniu? Czy wcale? Czy zamierzają kiedykolwiek wrócić? Gdzie umiejscawiają swój *Hajmat* (ojcowiznę), jak pojmują *Vaterland* (ojczyznę)?

Satelickie Neviges na przedmieściach miasta Velbert. Niewielka miejscowość w Północnej Nadrenii Westfalii jest miejscem pielgrzymek już od XVII wieku. Tutaj każdego roku w czerwcu spotykają się polscy pielgrzymi. Matkę Boską Królową Pokoju, w betonowym schronie – tak trochę jak wojenna betonowa forteca wygląda ta świątynia – odwiedza rocznie ponad 300 000 pielgrzymów. Jako swoją Maryję na emigracji przyjęli ją także wychodźcy z Polski. W trzeciej dekadzie czerwca słychać głośne modlitewne śpiewy, jakby to było w Piekarach Śląskich. Około dwóch tysięcy polskojęzycznych pielgrzymów z całego landu (województwa) przyszło tu pieszo, przyjechało autobusami, dotarło swoimi samochodami. Przepytałem brata, uczestnika tych corocznych pielgrzymek od lat ponad trzydziestu; jaki jest procentowo udział Ślązaków w tych dwudniowych spotkaniach? – Co najmniej osiemdziesiąt, może więcej procent. W każdym razie w przerwach między mszą a nieszporami, na okolicznych łąkach, posilając się krupniokiem, bigosem a zapijając piwem, słyszy się najczęściej rozmawiających po śląsku.

Parafrazując piosenkę powiem, że „dziś prawdziwych Niemców już nie ma”. Może niewiele wie, że dwadzieścia procent obywateli Niemiec ma pochodzenie poza niemieckie. Wyobraźcie sobie klasę szkolną w kraju, niech ma 30 uczniów, a z tego rdzennych krajan jedynie 24. Pozostali to Turcy, Włoch, Chińczyk, Hiszpan, Arab, Rosjanin... Tak tu jest. Przed jeszcze dwudziestu kilkoma laty napływowi starali się wtopić w niemiecką społeczność. Wstydzili się języka pochodzenia. Z latami, także wskutek coraz beczelniej akcentowanej inności i prób narzucania swoich poglądów przez przybyszów z krajów muzułmańskich, nastąpiło otrzeźwienie. I niejaki olśnienie: w pierwszym pokoleniu emigracyjnym nigdy prawdziwymi Niemcami – co by to nie znaczyło – nie będziemy. To pokażemy, że my też nie gęsi...

Pomijam nieliczne stany graniczne, osoby, które w karierze szły bardzo wysoko i zintegrowały się tak dalece, że nie ma znaczenia pochodzenie (przykładowy casus kanclerz Angela Merkel), a także lumpów, którzy zapewne także w kraju przodków większość życia spędziliby przed budką z piwem.

Ślązaków w Niemczech, którzy najczęściej osiedli w Północnej Nadrenii Westfalii, ale których też sporo w południowych landach, a także w wielkich aglomeracjach jak Hamburg czy Monachium, na co dzień nie sposób odróżnić od innych mieszkańców Germanii. Wstają rano i pędzą swymi szybkimi samochodami do pracy, zjadają takie same, jak otoczenie, obiady z gotowych półproduktów, w weekendy odpoczywają w ogrodzie przy grillu, popijając smacznym niemieckim *browarkiem*. Na balkonach mają anteny satelitarne skierowane na polską TV. W zaciszu domowym na internetowym radiu nastawione kilka programów ze śląskiego *Hajmatu*. W sobotni wieczór pogadają na Skype z kolegami pozostałymi w kraju. Czasem są autentycznie zadowoleni, czasem stroją dobrą minę do niełatwego życia w diasporze.



Düsseldorf – stolica Nadrenii Północnej-Westfalii (autor Ingo Valentin / Wikimedia Commons)

W diasporze? Trochę tak, trochę nie. Bo nie są wyobcowani, bo są przychylniej przyjmowani przez otoczenie aniżeli przybysze z innych części globu. Zazwyczaj mają pracę, opanowali język niedawnego sąsiada, nawet idą do wyborów. Nie wyróżnia ich ani kolor skóry, ani rysy twarzy, ani religia. Czyli są *swoimi* wśród nowych sąsiadów mocniej niż Afrykanie, Azjaci i ci inni bardziej „obcy”. Co by nie powiedzieć (Adolf w grobie się przewraca) Niemcy są krajem *multikulti* i w tej masie różnorodnej, przybysze z Polski dobrze się usadowili. Także, a może nawet nieco bardziej, wychodźcy ze Śląska.

Niedawno, odwiedził mnie kolega z Panewnik. Po niedzielnej sumie w naszej niemieckiej parafii, jak zwykle na placu kościelnym potworzyły się rozmawiające grupki towarzyskie. Tu zacytuję spostrzeżenie przyjaciela: *Jak słyszę, Polonia niemiecka rozmawia głównie po śląsku.*

Otrzymałem pytanie o coś, co niełatwo postrzec. O drugie pokolenie Ślązaków w Niemczech? O dzieci tych, którzy opuszczali Polskę w ostatniej fazie XX wieku.

Przehandlowani przez Gierka w latach siedemdziesiątych – a nie mieli mu tego wcale za złe – oraz ci następni, przybyli do RFN, *Richtig Fajnych Niemiec*, na fali post „Solidarności”.

Rodzice, to było pokolenie trzydziestu – i czterdziestolatków. A dzieci?

Zapytano mnie – *Som lone jeszcze nasze?*

Małe dzieci opuszczały *Hajmat*, nie zdając sobie sprawy ze zmian, jakie ich czekały. Ich rodzice zazwyczaj także nie.



Panorama Kolonii, największego miasta kraju związkowego Nadrenia Północna-Westfalia (autor: Raimond Spekking / Wikimedia Commons)

Przeszli szybko przez lager, potem kurs językowy, bo mało w tych latach było przesiedleńców, którzy sprawnie posługiwali się językiem nowej ojczyzny. Większość załapała się do roboty. Z żalem muszę przyznać z obserwacji, że większość tej większości poszła do pracy poniżej swych kwalifikacji. A i tak codziennie musieli udowadniać swoją fachowość.

Pan Georg, skąd wie, że trzeba do chemii dodać tego właśnie specyfiku? – po wysłuchaniu po raz n-ty tak durnego pytania szefowej, bywało, że odpowiadał:

A bo tak robią w Pernambuco i im wychodzi.

Natomiast dzieci? Te przywleczone z sobą i bagażem i te już tutaj narodzone?

Dzieci śląskich przybyszy zazwyczaj absolutnie zintegrowały się z niemieckim otoczeniem. Wiele z nich nie mówi na co dzień po polsku, mają niemieckich kolegów i tylko w odwiedzinach u rodziców próbują podtrzymać tradycję. To już następne pokolenie, wtopione w niemiecki dobrobyt, płynniej gadające po angielsku, a często z trudem dukające po polsku, jeżeli to w niewielkim bardzo zakresie śląską gwarą. Także często w odróżnieniu od rodziców ambivalentne religijnie. Czyli, czy jest ta śląska mniejszość w drugim pokoleniu postrzegalna? Zależy gdzie i kiedy.

Może bardziej postrzegalna z zewnątrz, przez otoczenie niemieckie. Za fachowość, za wielostronność, za wigor i pełnię życia.

Wiele dzieci śląskich emigrantów porobiło kariery, w różnym oczywiście zakresie. Znam takich w otoczeniu, którzy pozakładali własne firmy, inni zatrudnieni najemnie, zwykle dość szybko zajmują kierownicze stanowiska. Są bardziej elastyczni, bardziej innowacyjni niż ich rozleniwieni dobrobytem rówie-

śnicy stąd – od zawsze. Mają pozytywny handicap dzieci wielojęzycznych. To już stwierdzili naukowcy, że ludzie posługujący się w dzieciństwie dwoma lub więcej językami, szybciej robią kariery, łatwiej nawiązują kontakty, są bardziej kreatywni. Niech to będzie pocieszeniem dla naszych, którzy pozostali w śląskiej ojczyźnie. Skoro te dzieci już zapomniały polskiego, a tyż nie poradzom po ślonsku, to przynajmniej dobrze im się wiedzie.

Czy były, czy są prowadzone badania tego tematu? Z polskiej strony zapewne nie, bo politycznie ryzykowne. Z niemieckiej tym bardziej. Ukazują się co pewien czas artykuły prasowe o tym, jak dają sobie radę potomkowie polskich emigrantów, bez rozróżnienia na podziały pochodzenia dzielnicowego. Z obserwacji prywatnych widzę, że jest jednak pewna różnica, te wszystkie inne „gorole” wpisawszy się w niemiecką rzeczywistość, próbują w drugim pokoleniu organizować się w grupy, jakieś takie pokolenia emigracyjne bis, tworzyć sekcje kulturalne wspomagane przez państwo niemieckie. Taki polonijny teatrzyk zaspakajający ambicje. Ba, w Berlinie powstała nawet grupa „Polskich Nieudaczników” i miała swoje wejścia antenowe w niszowym radiu Funkhaus Europa.

O takich działaniach potomków ze Śląska, z Warmii, z Mazur, z Wielkopolski raczej nie słychać. Być może łatwiej im było wejść w niemieckość językową i kulturową. Bez podpadającego akcentu wymowy. Może od zawsze bardziej dla nich ważne były własne osiągnięcia, dobre szkoły, sensowne prace, szybkie kariery niż jakieś tam sentymenty odnoszące się do ojcowizny rodziców?

Pamiętacie powiedzenie sprzed lat, o tym, że „do szranku cisnom się mole, a na Ślonsk gorole?”. I co zostało po tych „goralach”, co niekoniecznie się na Śląsk wcisnęli, ale raczej ich ściągano?

Miszung, misz masz w drugim pokoleniu, ba, nawet startują w organizowaniu autonomii śląskiej. Także i w Niemczech.

Drugie pokolenie, pomijając bardzo tradycyjne rodziny, to jest pokolenie miejscowe. Wśród najbliższej mi znanych, byłych dzieciaków, które gdy wjeżdżały do „Rajchu” były bebikami lub bajtłami w wieku przedszkolnym, wymienię jednym tchem: jeden jest szefem marketingu olbrzymiej firmy komputerowej, drugi jest architektem programowania w niemieckiej filii potężnego konsorcjum amerykańskiego w Niemczech, kolejny uwierzył w boskie przesłanie i z polecenia sekty amerykańskiej wędruje po świecie, nauczając swoiście pojętego słowa bożego. Jeszcze inna, dzięki staraniom ojca, jak ona, też fotografa i swojemu talentowi, ma liczące się w Europie studio fotografii reklamowej. Mam przyjaciela na południu Niemiec nad Jeziorem Bodeńskim. Wszystkie jego trzy córki awansują w rankingu branżowym w regionalnych mediach.

Nie wszyscy przyjeżdżający przed laty ze Śląska do Niemiec mieli wysokie wykształcenie, ale prawie wszyscy zadbali o to, by takie miały ich dzieci. Dzisiaj nie odróżnicie dziecka emigranta ze Śląska od dziecka urodzonego z niemieckich autochtonów. Szybko złapali, że skoro nie różni się kolorem skóry, skosem oczu, religią i tym podobnymi natychmiast wychwytywanymi atrybutami, że raczej są tacy sami, jak niemieccy sąsiedzi, to przecież są faktycznie tacy sami. Albo i lepsi.

Kulturowy *hurt-detal* czy kulturalny *fast-food*?

MAŁGORZATA MOCZAŁA

Jak pisze Marcin Brzostowski w „I tak skończymy w więzieniu! czyli Tryptyk Polski (bez trzeciej części)”: *spytałem koleżanki, czy nie słyszała czegoś o Akademii Sztuk Pięknych, ale odpowiedziała mi, że nie zna takiego serialu*. Ten dość prześmiewczy cytat dobitnie pokazuje moment dziejowy, w którym obecnie się znajdujemy.

Oprócz epidemii covid-19, wśród naszych społeczeństw panuje inna, równie groźna choroba, zbierająca równie obfite żniwa – epidemia zapaści kulturowej. Pojęcie to rozumieć należy dosłownie. Tak jak dzikie wysypiska zalewane są przez tony śmieci, tak i dzisiejsza kultura wyższa przykrywana jest grubą warstwą niechlubnych odpadków ludzkiej egzystencji – wytworami kultury masowej. Wytwory te cechuje wątpliwa jakość, lecz co ciekawe ponadprzeciętna trwałość. Sprytnie wkradają się do naszych umysłów, świecące billboardy pochłaniają naszą uwagę, pragną uwagi i pokłasku. Nieustraszone krążą między ludźmi, lubią być kopiowane, *shazamowane* i udostępniane jak najczęściej i w jak największych ilościach. Dostępne są dla wszystkich, bez wyjątku – każdy może ich dosięgnąć, dotknąć i przywłaszczyć. Od swojego odbiorcy nie wymagają głębszej refleksji – po prostu są obecne, 24h na dobę. Emitują niebieskie światło, które pobudza nas w dzień i straszy w nocy. Można je zdobyć szybko, na już. W dobie internetu mamy swoisty *fast-culture*.

Dwight Macdonald w „Teorii kultury masowej” przyrównuje kulturę masową do „gumy do żucia”, wskazując, że jest ona niczym więcej jak „artykułem masowego spożycia”.

Człowiek żyje szybko, a wraz z nim równie szybko galopuje kultura, napędzana mechanicznie. „Artyści” tworzą piosenki z wykorzystaniem *autotune’a*, bo muzyka ma jedynie bawić – towarzyszyć nam na weselach, rozkręcać klubowe imprezy. Na ścianach w modernistycznych loftach wisi marna replika „Słoneczników” Vincenta van Gogha, o losie, wykonana w sepii, by lepiej pasowała do wnętrza. To kultura ma się przystosować do nas, a nie my do niej.

Wyszkoliliśmy ją, zdeptaliśmy i dopasowaliśmy do swoich preferencji.

Jak pisze Macdonald, w dzisiejszych czasach kultura została nastawiona jedynie na „zaspokojenie kulturalnych potrzeb świeżo przebudzonych mas”. Cały proces jej wytworzenia opiera się na pozyskaniu jak największego zysku. Kultura nie rodzi się już z idei, potrzeby wyrażenia siebie, chęci zmiany świata, intymnej refleksji. Jest produkowana taśmowo, bezrefleksyjnie, szybko i tanio. Karmią nas bezpłciowym, wielorazowym kiczem, który większości w zasadzie nawet za specjalnie nie smakuje, ale być może nigdy wcześniej nie było im dane zaznać niczego innego. Łatwiej jest wybrać to, do czego mamy dostęp na wyciągnięcie ręki, a ponadto bywa tanie, po przecenie albo w gratisie.

Przeczytałam kiedyś, że dobry tatuażysta nigdy nie wykonana dwóch identycznych tatuży. Co więcej, mając na względzie między innymi prawa autorskie, nawet nie może tego zrobić. Zdaniem znanej polskiej tatużystki – Moniki Ochman: „kopiowanie czy wykorzystywanie w jakikolwiek sposób danej pracy bez zezwolenia autora jest karalne, a przede wszystkim podłe”. Dlaczego jednak artystom specjalizującym się w tym fachu zależy na podkreśleniu aż takiej autonomii? Czy nie powinno chodzić przede wszystkim o zgarnięcie jak największej kasy? Przecież to niezły biznes – wykonując jeden projekt, a następnie kopiując go 1500 razy oszczędza się czas, energię, a zyskuje dobre pieniądze... 1500 osób z tym samym tatużem, w tym samym miejscu, w jednej miejscowości. Brzmi strasznie? Nawet zwierzęta chlewne, tatuowane są indywidualnymi, zupełnie odrębnymi numerami, aby można było je od siebie odróżnić. Przez umasowienie kultury odbieramy tożsamość jednostce ludzkiej.

To co modne, powszechne i dostępne dla wszystkich tak naprawdę nie ma z p r a w d z i w ą kulturą nic wspólnego. A czym ona tak naprawdę jest?

Niegdyś proces powstawania kultury (wyższej) był traktowany ze swego rodzaju namaszczeniem. Mnisi skrupulat-

nie stawiali literę po literze, z wycuciem, cierpliwością, pokorą. Dzieła powstawały latami. Już samo tworzenie było oczekiwaniem, a powstałe w rezultacie utwory stanowiły coś absolutnie unikalnego. Kilka pojedynczych sztuk starannie przechowywano, by przypadkowo nie dosięgnęło ich oko kogoś nieuprawnionego. Chociaż i to było nie do końca uzasadnione, bo kultura budziła respekt, granicyła ze sferą *sacrum*, stanowiła coś magicznego – nie każdy był godzien jej sięgnąć, ona sama również nikogo nie atakowała. Obcowanie z nią wymagało odpowiedniego przygotowania duchowego. Kultura była przede wszystkim doceniana, stanowiła wielki skarb, dbano o to, by przekazywać ją z pokolenia na pokolenie, w niezmienionym kształcie.

Obecnie zaś, zdaniem Josteina Gardera: „należymy do gatunku składającego słowa jak ryba ikrę, produkuje więcej kultury, niż jesteśmy w stanie przetrawić”. Nie sposób nie zgodzić się z autorem w tym przypadku. Od siebie dodałabym tylko, że to już nawet nie człowiek trawi kulturę, a to ona trawi człowieka – kultura masowa wysysa resztki historycznych podwalin kultur dawnych epok. Nie ma skrupułów. Ignoruje cały dotychczasowy dorobek ludzkości, nie przestrzega żadnych zasad. Platon obecnie postrzegany jest jedynie jako odrębny gatunek *Tyrannosaurus rex* – wyginął, a wraz z nim wyginęła jego filozofia. I co ciekawe, nikt nawet specjalnie tego dinozaura nie opłakuje.

Andy Warhol stwierdził z kolei: „kiedy większość banalnych i ordynarnych przedmiotów związanych ze współczesną cywilizacją przeniesie się na płótno, mogą się one stać Sztuką”. Ja obojętnie zgodzę się z autorem tych słów co do tego, że być może jest to możliwe, ale czy naprawdę warto próbować? Koczaryj mi się to z bylejakością, a czy takie określenie powinno być w jakikolwiek sposób utożsamiane z kulturą? Kultura zdecydowanie powinna być jakaś, ale na pewno nie byle jaka, nie może być kreowana przypadkowo, „po łebkach”, dla żartów, dla ilości. Powołując się zaś



ponownie na Dwighta Macdonalda – tak naprawdę „kultura masowa powstała – a w pewnej mierze jest tym do dzisiaj – jako pasożytnicza, rakowata narośl na wyższej kulturze” – i moim zdaniem tak właśnie powinna być postrzegana. Choć poglądy te mogą być uznawane za zbyt konserwatywne przez niektórych, to jeśli społeczeństwo XXI wieku ma być identyfikowane jedynie z kulturą masową, to już lepiej, aby nie posiadało żadnej kultury. Kultura wysoka to złoto; masowa jest tombakiem, chytą podróbką. Nie można dać się nabrać na jej fałszywy blask.

Równie niepokojące, zarówno w odczuciu cytowanego uprzednio autora, jak i moim, jest zjawisko „homogenizacji” kultury masowej z kulturą wyższą. Tak naprawdę nie ma możliwości, by te dwa światy mogły harmonijnie ze sobą „współpracować”, czy też wymieszać się w niesmaczny, tępy, słodko-gorzki kit. Łatwość przekazu ponad jego jakością jest w moim odczuciu czymś niepokojącym i takie dylematy powinny być w stanowczy i szybki sposób plewione.

Cytując profesora Tadeusza Gadacza: „Pustka i zagubienie są nieusuwalną częścią kultury prawego kciuka. Do tego, co w tej kulturze stało się najważniejsze, nawet całej dłoni nie trzeba. Prawy kciuk wystarczy do wciskania klawiszy pilota i telefonu. Zapewne od początku

ewolucji ludzie nie mieli tak sprawnych kciuków jak teraz. I również nigdy nie byli tak bezradni wobec własnego życia. Kiedy zaczynam rozmawiać ze studentami o najbardziej klasycznych dylematach, o których pisał już Platon okazuje się, że są jak dzieci we mgle. Mając 20 lat nie potrafią zrozumieć, że w kulturze, czyli rzeczywistości duchowej, emocjonalnej czy intelektualnej, która jest naszą prawdziwą rzeczywistością, obowiązują zupełnie inne prawa niż w świecie prawego kciuka. Materia, technologia narzuciły im sposób myślenia, który nie pasuje do ludzi”.

Rodzi się zatem pytanie, czy to postęp technologiczny odpowiada za zbezczeszczenie kultury, za jej umasowienie? Bezpośrednio z pewnością nie. Ewolucja jest niezaprzeczalnie dobra i potrzebna, ludzkość musi się rozwijać, musi kreować nowe wynalazki, a stare wizje zastępować nowymi. Jednak nie należy robić tego na ślepo. Ludzie zachłysłni się intuicyjnością dzisiejszych możliwości technologicznych, ale pewnych fundamentalnych wartości nie powinno się przy tym defraudować. To właśnie kultura jest taką wartością nadrzędną. Można próbować ją unowocześnić – niech cieszy oko w interaktywnych muzeach, niech powstają doskonale udźwiękowione sale ope-

rowe, niech bilet do teatru będzie dostępny w formie kodu QR, ale zostawmy przy tym w spokoju wielkie dzieła średniowiecznych malarzy. Dostrzeżmy ich zalety właśnie w tej unikalności, w tym że powstały w dawnych czasach i są bezcennym spadkiem. Warto zrozumieć, że to właśnie one opowiadają piękną historię o nas samych. Trzeba na każdym kroku z dumą zaznaczać to, że rzeźba została stworzona ręką ludzką – prawdziwego artysty, a nie jedynie zaprogramowana w drukarce 3D. Maszyna nie jest w stanie stworzyć dzieła, jakiś trybik sterowany kombinacjami tysięcy różnych kodów, może jedynie je odtworzyć. Ale to, co powstanie będzie puste – duchowo czy symbolicznie, wypełnione jedynie głuchą materią. To przecież właśnie człowiek różni się od innych stworzeń, że jest w stanie tę kulturę świadomie kształtować. Nie odbierajmy sobie tego przywileju.

Chciałabym by ten tekst stał się swego rodzaju apelem do „pokolenia prawego kciuka”, mojego pokolenia, bo być może nie jest jeszcze za późno na ratunek. Nie lubię poczucia naiwności, dobrze było by się mylić.

Świat jest imprezą masową, z masową kulturą. Jeśli tego nie zmienimy, to znikniemy w masowym grobie, człowiek obok człowieka. ■

Mikołaje, Dziady i Niedźwiedzie, czyli o rozrywkach w zimowy czas

EDWARD WIECZOREK

Bożonarodzeniowe święta, koniec roku i karnawał w tradycji ludowej zawsze były czasem radości i zabawy, ale też i czynności magicznych, wyrażonych gestem, słowem, muzyką i rekwizytami. Niegdyś stanowiły one część roku obrzędowego, kultuwanego zwłaszcza na wsiach. Współcześnie są one najczęściej rekonstrukcją, mającą przybliżyć widzom dawne tradycje, a przy okazji dać trochę beztrudnej zabawy. Bo Święta i karnawał zawsze były okazją do zabawy. We wsiach beskidzkich trafimy jeszcze na kolędników, „dziadów” i innych przebierańców, którzy są raczej atrakcją turystyczną, niż autentyczną ludową potrzebą zabawy. Częściej spotkamy ich jednak na przeglądach grup folklorystycznych.

Preludium czyli Mikołaje

W adwencie poprzedzającym Święta Bożego Narodzenia (*Godni Świynta*) religia i zwyczaj nakazywały ciszę, zadumę, duchowe przygotowanie do świąt, ale było kilka wyjątków. Jednym z nich były „Mikołaje”, będące połączeniem uroczystości religijnych z ludową zabawą. Są trzy takie miejsca, gdzie tradycja ta obchodzona jest szczególnie: Łąka koło Pszczyny, beskidzka Trójwieś i Pierściec.

Kult św. Mikołaja – patrona bydła – rozpowszechniony dawniej na całym Śląsku, przetrwał jedynie w kilku miejscach.

W Łące koło Pszczyny, w tamtejszym drewnianym kościele św. Mikołaja z 1660 r. (obiekt na Szlaku Architektury Drewnianej województwa śląskiego) w pierwszą niedzielę po 6 grudnia odbywa się odpust, któremu od wcześniejszych godzin popołudniowych towarzyszy „chodzenie po mikołajstwie” (jak powiadają sami mieszkańcy Łąki). Jest to jeden z ciekawszych obrzędów naszego regionu, chociaż przebieg, wewnętrzna struktura oraz ściśle przestrzegany tradycyjny skład osobowy grup mikołajowych (uczestnikami są wyłącznie młodzi mężczyźni) czyni „Mikołaje” podobnym do większości obrzędów kolędniczych.

Dziesięcioosobowe grupy mikołajowe, zwane „bandami” (w ostatnich latach 5–6 grup), poruszające się po z góry ustalonych rejonach Łąki, zachowują stały porządek odwiedzin. Jako pierw-



Przedstawiciele regionalne „Mikołajów” wzięli udział w corocznym konkursie O. S. P. w Łące koło Pszczyny w r. 1930.

Mikołaje w Istebnej na zdjęciu z 1930 r. (źródło: Gminny Ośrodek Kultury, Promocji, Informacji Turystycznej i Biblioteka Publiczna w Istebnej)

si do domostw wchodzi „Święci”, z wagą pozdrawiając domowników, intonując pieśni religijne, odmawiając modlitwy do św. Mikołaja. „Ksiądz” zbiera drobne datki, Mikołaj rozdaje dzieciom prezenty, które zawczasu dla swych pociech przygotowali rodzice. Następnie do akcji wkracza reszta przebierańców, czyniąc przy tym mnóstwo hałasu i zamieszania. Diabły uganiają się za dziewczynami, Śmierć wymachując kosą przeganiana domowników, muzykanci żywiołowo przygrywiają do tańca, a Żyd z Babą dokonują w tym czasie obrzędowej kradzieży, podbierając z obejścia np. kury. Trofeum to muszą później wykupić od Żyda gospodarze, rzecz jasna za sutą zapłatę. Na zakończenie wizyty gospodarz dziękuje za wizytę, częstując przebierańców alkoholem. Zwyczajowo nie wolno podawać go Świętym. Wraz z upływem czasu obchody mikołajowe przybierają coraz bardziej wesoły i pełen animuszu charakter.

Niektóre „bandy”, gdy dobrze zarobiły po „Mikołajostwie”, na zakończenie zamawiały gościnę w miejscowej gospodzie.

Podobnie dzieje się w beskidzkiej Trójwsi. Tu z kolei „Mikołaje” dzielą się na 2 grupy: *białych* i *czornych*, realizując for-

mę ludowego teatru, którego sceną są odwiedzone domy. Z wyprzedzeniem rozchodziła się po wsi wieść, w której *chalupie będąc puszczają Mikołaja*. Grupa mężczyzn powyżej 18 roku życia dokonuje podziału na *białych* i *czornych*. W grupie *czornych* są: „Medula” – matka Niedźwiedzi (dwóch lub czterech – zawsze liczba parzysta), dwa Diabły, Kominiorz, Żyd, Cygan, Cyganka. Do grupy *białych* należą m.in. Biskup, Kościelnny, „Paterek” (ksiądz wikary), „Żoczko wie” (ucznio wie), „Baba z koszyczkom”, „Dochtór”, Pan Młody i Pani Młoda, Drużka z Druzbą, „Gojny” (gajowy), Planetnik i Koń, któremu towarzyszył kiedyś Poganiacz z biczem. Łącznie około 15 osób (czasami – zgodnie z życzeniem gospodarzy – do domów wchodziła tylko grupa *białych*).

Spektakl rozpoczynał „Wojok” dźwiękiem dzwoneczka, a zaczynały ją *czorni*. „Debły” i niedźwiedzie porywają „dziewki”, a „Medula” daje zezwolenie na *pokulani sie z dziywczatkami po delinach* (czyli tańce). W czasie wesołej zabawy Kominiorz smaruje sadzą czy mazią do kół domowników, zaś Żyd dużymi drewnianymi nozycami obcina na niby długie piękne warkoczki góralskich dziew-



„Polaźnicy” z zespołu Mała Jetelinka w Jaworzynki w Gminnym Ośrodku Kultury w Istebnej, fot. Jacek Kohut Gminny Ośrodek Kultury, Promocji, Informacji Turystycznej i Biblioteka Publiczna w Istebnej.



Mikołaje w Łące, fot. Edward Kaniewski



Mikołaje w Łące, fot. Edward Kaniewski

cząt. Po chwili „Wojok” wypędza *czornych* z izby i oznajmia dzwoneczkiem nadejście nowej grupy *białych* czyli dobrych. *Bioli* wprowadzają nastrój zadumy, który Biskup wspomaga dobrym słowem i „błogosławieństwem”. Panny siedzące na ławach przygotowują się szybko do spowiedzi u „Paterka”, „Baba

z koszyczkom” rozdaje dary (marchewkę, suszone jabłka, orzechy), a „Dochtór” stawia diagnozę, że pacjent do śmierci będzie żył. Na to konto daje swoim pacjentom „cekliczki” (kamyczki), które zastąpić mają tabletki. W tej grupie pojawiali się też „Gojny”, wróżący z gwiazd „Płaneciorz” z klatką, w której nosił kota

oraz gruby „Błachor” (blacharz) lub Druciarz nitujący na niby dziurawe garnki. Pod koniec „Wojok” dzwoneczkiem wprowadzał całą grupę z izby.

Grupy obchodziły tylko własną część wsi lub przysiółek, a następnie spotykały się w karczmie, zarezerwowanej w tym dniu wyłącznie dla Mikołajów. Zebrane dary dzielono według wykonywanej pracy i ważności postaci w obrzędzie. Zdarzało się, że w karczmie spotykały się różne grupy Mikołajów i zazwyczaj dochodziło wtedy do bójki, wcale nie traktowanej żartobliwie.

Zupełnie serio traktowano dzień św. Mikołaja w Pierścucu (gmina Skoczów), gdzie znajduje się największe polskie sanktuarium św. Mikołaja. Tu przychodzi wielu pielgrzymi, by modlić się u stóp słynącej z łask figury św. Mikołaja z XVI w. Historia tej miejscowości związała się z kultem figury św. Mikołaja, któremu pierwszą kaplicę postawiono już w XIV w. W 1616 r. pożar strawił całą wieś. Z żywiołu uratowano jedynie figurę św. Mikołaja, co uznano za cudowny znak. W 1618 r. protestanci wybudowali nowy kościółek św. Mikołaja, co jest ewenementem w historii reformacji na Śląsku Cieszyńskim, gdyż luteranie nie dedykują swych świątyń świętym.

W 1718 r. kościółek przeszedł z powrotem w ręce katolików. Wkrótce postanowiono wybudować nowy, większy kościół. Relikwie świętego z Bari przywiózł do Pierścucca w 1964 r. bp Bolesław Kominek, wracający z obrad II Soboru Watykańskiego.

Pielgrzymi pocierają plecy figury chusteczkami i przykładają na chore części ciała, prosząc o wstawiennictwo świętego i uzdrowienie bliskich.

W Krzanowicach w pow. raciborskim z kolei ma miejsce konna procesja podążająca do *Mikołaszka* – kościółka św. Mikołaja.

Pastuszkowie, kołędnicy, dziady

Święta Bożego Narodzenia rozpoczynają obchód kołędników i pastuszków. Od św. Szczepana (26 grudnia) do Trzech Króli (6 stycznia) m.in. w Koniakowie, Istebnej i Jaworzynce chodzą „Pastuszkowie” – trzech mali chłopcy (obecnie również dziewczęta), wygłaszający słowne oracje i przedstawiający sceny z życia pasterzy, którzy udają się oddać pokłon małemu Jezuskowi.

Ten zwyczaj, żywy jeszcze do niedawna w Trójwsi, stał się jedynie tematem występów grup obrzędowych. Natomiast żywe jest kołędowanie Zespołu Regionalnego Istebna oraz Mała Istebna w ramach Koncertu Kołęd i Pastorałek. Tegoroczny odbędzie się 26 grudnia o godz. 18.00 w kościele św. Bartłomieja w Koniakowie.

W Jaworzynce, Koniakowie i Istebnej, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, członków najbliższej rodziny oraz sąsia-



„Szkubaczki” w Milówce, fot. Regionalny Ośrodek Kultury w Bielsku-Białej

dów odwiedzają „połaźnicy”. Na „połaży” wcześniej rano wyruszają dzieci. Winszują i wręczają gospodarzom *połaźniczkę* – jodłową lub świerkową gałązkę ustrojoną kwiatami z bibuły, bombkami, cukierkami lub orzechami. *Połaźniczkę* wieszają w widocznym miejscu na ścianie w pokoju gościnnym lub nad drzwiami wejściowymi.

W Sylwestra i Nowy Rok w Żywcu-Zabłociu odprawiany jest zwyczaj „dzia-dów” żywieckich, „jukacy” (jukocy), te-rytorialnie ograniczony do tej dzielnicy, której nieprzekraczalną granicą był most na Sole.

Poprzebierani w dziwaczne maski kolędnicy składają napotkanym przechodniom życzenia i wyczyniają różne psikusy. Zapłatą za kolędę bywa najczęściej drobna kwota pieniężna, która szczególnie w Zabłociu jest przeznaczana na organizację zabawy „dzia-dowskiej”.

Zwyczaj ten jednak z roku na rok zanika. Jest podtrzymywany jedynie w cyklicznie organizowanym Przeglądzie Zespołów Kolędniczych i Obrzędowych Gody Żywieckie (50-te z kolei odbędą się 12–13 stycznia 2019 r.) Kolędowanie dziadów noworocznych na Żywiecczyźnie („Jukace”) w 2017 został wpisany na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego.

„Banda jukacy” składa się z kilkunastu do kilkudziesięciu (czasem nawet do 70 osób). „Jukacem” może być tylko kawaler. Ubranie dziada jest wykonane według własnego pomysłu. „Gonienie dziadów” rozpoczyna się w wieczór sylwestrowy od placu przed dworcem kolejowym w Żywcu, skąd udają się na odbywające się w Zabłociu zabawy sylwestrowe. Obecnie łamano tradycję nieprzekraczania mostu na Sole i „jukace” wędrują również do centrum miasta. Po przybyciu na zabawę wpadają na salę, składają uczestnikom zabawy życzenia noworoczne. Potem jest taniec dla „dziadów”, którzy proszą do niego wybrane panny i mężatki.

Podobne grupy „dziadów” występują też w żywieckich wioskach. Sam tego kiedyś doświadczyłem, gdy skacowa-nych po upojnym sylwestrze w Milówce, obudziły nas rankiem „dziady” i bez okupienia się „drobną” kwotą pieniężną nie było mowy o dalszym odpoczynku.

Współcześnie, na potrzeby przeglądów folklorystycznych, wizyty „dzia-dów” przybrały formę spektaklu, z licznymi przebierańcami: Koniem, Niedź-wiedziem, Żołnierzem, Żydem, Młodą Parą, parą Cyganów, „Dziechiorzem” (wędrownym handlarzem dziegciem) i Śmiercią, o scenariuszu podobnym do opisywanych wcześniej Mikołajów.

Od święta Trzech Króli do wtorku przed Popielcem trwa okres zimowych balów, maskarad, pochodów i zabaw. Jedną z nich jest tradycyjny istebniański Bal Góralski, organizowany przez zespół „Koniaków” (19 stycznia 2019). Odby-wają się też różne zabawy quasi sporto-we. Wielu czytelników zapewne słysza-ło o wycścigach „kumoterek” w Bukowi-nie Tatrzańskiej, ale nie wszyscy wiedzą, że w Istebnej odbywają się Zawody Fur-manów (w 2019 r. – 17 lutego). Dla tu-rystów jest to atrakcja, dla furmanów możliwość sprawdzenia się, porówna-nia swoich umiejętności i dobrej zabawy. Ważne jest zgranie załogi, a same zawo-dy są bardzo widowiskowe. Podczas za-wodów zakazane jest poganianie konia batem, czapką czy jakąkolwiek inną czę-ścią garderoby. W walce o zwycięstwo li-czy się każda sekunda, każdy najmniej-szy szczegół. Podczas zawodów ocenia się m.in. precyzję w danej konkurencji, umiejętność pokonywania przeszkód i czas przejazdu.

Niegdyś w okresie karnawału prakty-kowało się wspólne „szkubki”, czyli dar-cie pierza na pościel do wyprawy panny młodej, bądź „prządki”, czyli przędze-nie wełny. Zrazu „poważne” kobiece za-jęcie, urozmaicone opowieściami, czę-sto niesamowitymi (sam pamiętam tak-ie, po których nie można było zasnąć) i śpiewami, kończyło się najściem męż-czyzn i wspólnymi tańcami przy muzyce.

Mięsopust, Ostatki, Pogrzeb basa i Bab-ski comber

Kulminacyjnym momentem okresu wszelkich swawoli i zabaw jest Mięso-pust, czyli ostatnie trzy dni przed Popielcem, zaś najbardziej charakter-ystycznym przykładem zapustnych bre-werii na Górnym Śląsku jest „wodze-nie niedźwiedzia” (wodzenie bera). Nie wszędzie na Śląsku obrzęd ten przebiega identycznie, różne też występują regio-nalne nazwy: „Bery” czy „Misie”, wszę-dzie jednak centralnym punktem obrzęd-owej struktury jest Niedźwiedź. Postać tę odgrywa mężczyzna odziany w cha-rakterystyczny strój wykonany ze słomy (dawniej grochowin), ważący do 40 ki-logramów (w przypadku deszczu strój mógł podwoić swoją wagę).

Korowód postaci towarzyszących niedź-wiedziowi różni się w zależności od re-gionu, czy miejscowości. I tak w niektó-rych, niedźwiedzia prowadzi na łańcu-chu „Gajowy”, gdzie indziej na sznurku – „Poganiacz”. W większości przypad-

ków w grupie przebierańców występuje Kominarz, smarujący napotykanego oso-by sadzą, choć zdarza się, że za zadanie to odpowiedzialne są np. Małpice. Po-nadto spotkać można w towarzystwie Niedźwiedzia Parę Młodą, Doktora, Stra-żaka, Masarza, Babę, Cyganki czy Żyda. W kilku miejscowościach górnośląskich wodzi się Niedźwiedzia we wtorek przed Środą Popielcową. W innych miejscowo-ściach obchody te zostały przeniesione na ostatnią sobotę karnawału, jeszcze gdzie indziej, spotkać go można na kil-ka tygodni przed Popielcem.

Wszędzie jednak Niedźwiedzia opro-wadza się od gospodarstwa do gospo-darstwa, gdzie tańczy on z gospodynią lub gospodarzem w takt muzyki, przy-grywanej przez asystujących grupie mu-zykantów. Po swawolnym tańcu, w któ-rym często uczestniczą pozostałe posta-cie, gospodarze ofiarowują przebierań-com drobne datki. Jeszcze dziś płaci się jajkami, chociaż coraz częściej zastępo-wane są one pieniędzmi.

„Pogrzeb basa” to praktykowany na Ślą-sku zwyczaj kończący karnawał. W jego ramach odbywa się żartobliwie odgry-wany kondukt żałobny, podczas którego w asyście księdza-przebierańca urzą-dza się pogrzeb instrumentów muzycznych. Pierwotnie miał on miejsce we wtorek przed Popielcem, jednak możliwość prze-ciągnięcia się zabawy do środy, w którą już obowiązywał Wielki Post, powodo-wała przesunięcie pogrzebu na ponie-działek. Pozostawał wówczas cały dzień na wytrzeźwienie.

Ważnym elementem karnawału na Gór-nym Śląsku jest też tzw. „babski comber”. We wtorek przed środą popielcową zbiera-rają się kobiety, by wspólnie świętować. Starsze kobiety zasiadają na widłach, miot-łach, zgrzeblach czy przeróżnych przed-miotach, które mogą za sobą ciągnąć. Idąc w korowodzie odwiedzają domy młodych mężatek, które niedawno zmieniły stan cywilny, zapraszając je na biesiadę. Tam doświadczone mężatki wprowadzają mło-de w tajniki stanu małżeńskiego. Młode za te „nauki” muszą się wykupić wódką oraz wykonać szereg zadań, np. wypić określoną ilość alkoholu. Dzięki temu są oficjalnie wprowadzane do grupy mężatek. Początkowo mężczyźni nie mieli pra-wa wstępu na kobiece spotkania. W mia-rę upływu czasu się to zmieniło. Kobie-ty robią różne psikusy mężczyznom i po-rywają im np. elementy garderoby, które trzeba wykupić. Dopiero wówczas pano-wie mogą dołączyć do zabawy.

„Szkubki” (szkubaczki), „babskie com-bry” czy „pogrzeb basa” – to tylko nie-kóre z dawnych zwyczajów kultywowa-nych w okresie karnawału. Dziś stop-niowo odchodzą one do lamusa. Choć pamięć o niektórych obrzędach prze-trwała, to zatracony został ich wymiar symboliczny. ■



Inscenizacja orszaku Trzech Króli w Istebnej, foto Jacek Kohut Gminny Ośrodek Kultury, Promocji, Informacji Turystycznej i Biblioteka Publiczna w Istebnej.



Dziady w Miłówe, foto Regionalny Ośrodek Kultury w Bielsku-Białej.



Budowa betlejki bożonarodzeniowej

STEFAN GIERLOTKA

Bazylika Ojców Franciszkanów w Katowicach-Panewnikach jest miejscem pielgrzymkowym od ponad 110 lat. Neoromańska bazylika poprzez swoją indywidualność jest monumentem należącym do najwspanialszych budowli Górnego Śląska. Piękny kompleks kalwaryjno-klasztorny stwarza nastrój pobożności i radosnej zadumy. Pielgrzymi przybywają tutaj przez cały rok. Jednak najczęściej odwiedza bazylikę w okresie bożonarodzeniowym. Budowany w bazylice bożonarodzeniowy żłobek jest nie tylko atrakcyjny ze względów artystycznych, ale jest największym na świecie budowanym wewnątrz świątyni. Można spotkać w Europie duże żłobki bożonarodzeniowe, ale są one budowane na zewnątrz, poza wnętrzem obiektów sakralnych. Przykładem może być słynna hiszpańska szopka objazdowa „Belén Bancaja” zawierająca 1200 figur i budowana na otwartej powierzchni 300 m². Nie są to jednak liturgiczne żłobki budowane w kościołach, a na wolnym powietrzu i często posiadają charakter komercyjny.

Pierwszy, jeszcze bardzo skromny żłobek bożonarodzeniowy w kościele klasztorным ojców franciszkanów w Panewnikach, został wykonany na pierwszą pasterkę po konsekracji w 1908 roku. W 1913 roku **brat Ubald Miera** – mistrz stolarski, zbudował już szopkę bardziej okazałą, która co roku była rozbudowywana i powiększana. Początkowo żłobki betlejemskie urządzało w prawym bocznym ołtarzu św. Antoniego w transepcie bazyliki. W 1926 roku budowany żłobek bożonarodzeniowy posiada już duże tło krajobrazowe przedstawiające panoramę Jerozolimy. Od 1927 roku, żłobki bożonarodzeniowe budowano w części lewej transepcie bazyliki, przy bocznym ołtarzu św. Franciszka.

Żłobek budowany w prezbiterium, przed ołtarzem głównym wykonano pierwszy raz w Boże Narodzenie 1949 roku. Budowę żłobka w tamtych latach wykonywali bracia zakonnicy. Przez 53 lata, do 2006 roku budowę żłobka bożonarodzeniowego wykonywał **Franciszek Falkus**. Od 1995 roku szopkę panewnicką buduje i urządza artysta rzeźbiarz **Paweł Jałowiczor** z Jaworzynki-Trzycatka.

Budowany żłobek w prezbiterium bazyliki ma **11 m** szerokości i **17 m** wysokości. Sceneria przestrzeni zagłębiona jest w prezbiterium na **12 m**. W scenerii żłobka ustawiono ponad 150 figur

postaci wykonanych z drewna, gipsu oraz z tworzywa sztucznego. Największa figura anioła z skrzydłami jest wysoka na 160 cm. Przednie figury w żłobku mają 140 cm wysokości, figura wielbłąda ma 150 cm, a figury Trzech Króli 130 cm, figury Matki Boskiej klęczącej i św. Józefa – 95 cm, a Dzieciątko Jezus 44 cm. Scenerię betlejemskiego krajobrazu wzbogacają różne ustawione budowle wśród których są wiatraki, młyn, studnie, płonące ogniska oraz domy z drewnianym ogrodzeniem i zagospodarowaniem. Nad figurami i scenerią betlejemskiej panoramy znajduje się nocne niebo z aktualną do tej pory konstelacją gwiazd. Gwiazdozbiory periodycznie rozświecają się i zmieniają swą luminancję. Przeróżne żłobka wzbogaca ustawienie około 100 różnej wysokości naturalnych choinek, ściółka leśna, wypchane zwierzęta i inne dekoracje.

Budowa żłobka trwa przez cały okres adwentowy. Jednak niektóre jego elementy przygotowuje się przez cały rok. Prace budowlane przy wznoszeniu żłobka wykonuje zazwyczaj od dziesięciu do dwunastu ludzi pracując codziennie w tygodniu od godz. 10:00 do 16:00 oraz od godziny 20:00 do 2:00 w nocy. Po 2 lutego, gdy zakończy się już czas bożonarodzeniowy, żłobek rozbierany jest w ciągu czterech dni.

Budowę żłobka rozpoczyna się od rozwieszenia nieba w prezbiterium, jeszcze nie wciągając go do góry. Panorama sklepienia niebieskiego ma 5,2 m, a długość jego łuku wynosi 12,5 m. Następnie montuje się instalację elektryczną i iluminację nieba. Każda gwiazda na niebie stanowi elektryczne źródło światła. Dla wykonania instalacji elektrycznej żłobka stosuje się około 3 km przewodów, a iluminacja oświetlenia wykonana jest z kilkuset żarówek i innych źródeł światła. Po wykonaniu gwieździstego nieba i połączenia jego instalacji elektrycznej rozpoczyna się budowa głównej konstrukcji nośnej żłobka. Całość urządzeń i elementów dekoracyjnych żłobka spoczywa na skręconej konstrukcji stalowej. Po wykonaniu konstrukcji nośnej wznosi się poziomą drewnianą belkę o szerokości prezbiterium do której mocuje się górne elementy wiszące wystroju. Belka zawieszona jest na wysokości horyzontu nieba i podtrzymuje tło oraz makietę z panoramą dawną Jerozolimy. Zwieszana pa-



norama Jerozolimy z tłem jest wysoka na 6 m. Całość wyciągana jest do góry kilkoma linowymi kołowrotami zabudowanymi na strychu nad sklepieniem prezbiterium. Po wciągnięciu i zamocowaniu do belki horyzontu nieba z częścią górną, buduje się część dolną panoramy z niektórymi dekoracjami. Kolejną czynnością jest odeskowanie części dolnej żłobka. Elementy drewniane łączone są wkrętami. Po zmontowaniu części tylnej panoramy buduje się panoramy boczne. Przygotowane płócienne panoramy boczne z zabudowanymi dekoracjami są wyciągane w górę kołowrotami na strychu ponad sklepieniem prezbiterium. Obie boczne panoramy mają 8 m wysokości i 6 m szerokości. Boczne dekoracje czynią głębię optyczną przestrzeni żłobka. Po takim przygotowaniu dopiero buduje się z drewna konstrukcję stajenki. Ponad budynkiem stajenki umieszcza się dekorację gór z skałami i inne obiekty jak domy, młyn, wiatrak, studnie, ogniska. Tak przygotowaną dekorację scenarii upiększa się przez rozmieszczenie ponad 100 naturalnych choinek. Świerkowe i sosnowe choinki o wysokości od 0,5 m do 8 m są przywożone z beskidzkiej Jaworzynki. Ostatnią czynnością to wniesienie i rozmieszczenie figur w scenarii żłobka. Budowę i urządzenie żłobka kończy się ułożeniem na sianie figurki Dzieciątka Jezus.



ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

Wyskać i tyskać

JAN MIODEK

W niezwykłej interesującej korespondencji Pan Bogusław Kniszcza przywołał bardzo archaiczne czasowniki znane w jego rodzinnej ziemi gorzkiej, a mianowicie *wyskać* i *tyskać*, występujące obok siebie w sentencji *jak mosz – niy wyskej, jak niy mosz – niy tyskej*, znaczącej tyle, co „jak masz, nie krzycz, nie chwal się, jak nie masz – nie utyskuj, nie narzekaj”.

W „Słowniku etymologicznym” Aleksandra Brücknera z roku 1927 znajduję czasownik *wyskać*. Oto na str. 637 czytamy przy haśle *wyc*: *Wilkowyja, wyskać (wysk)*, u Czechów *wysk, wyskati, wyskot* o radosnych okrzykach; tak samo w Ezo pie Biernatowym: „nie uczyni nic swym *wyskiem*”. Prasłowo; cerkiewne *wyti* i tak u wszystkich Słowian; z inną samogłoską serbskie *ukati, uka* „krzyk”, łotewska *auka* „burza”, litewska *ukas* „sowa”.

W „Podręcznym słowniku dawnej polszczyzny” Stefana Reczka z roku 1968 też mamy *wysk* „krzyk” – z tym samym cytatem co u Brücknera, pochodzącym z „Żywota Ezopa Fryga, mędrca obyczajnego, z przypowieściami jego” Biernata z Lublina (I wydanie w Krakowie 1522) oraz *wyskanie* „Irzyczenie”: „Częste płkanie przez sen, lękanie, *wyskanie*” (Marcin Siennik XVI wiek).

Czasownik *wyskać* – „pisać, śpiewać piskliwie” – rejestruje także „Słownik gwary śląskiej” Ilony i Andrzeja Czajkowskich oraz Doroty i Andrzeja Klukowskich z roku 1996.

Nie ma w tych leksykonach *tyskania*, znajdujemy za to w słowniku Recz-

ka hasła: *styskać sobie* „mierzić sobie, przykrzyć sobie” („Począł sobie *styskać* Izrael” – Biblia królowej Zofii z r. 1455), *styskliwy* „lamentliwy, narzekający, żaloszny” („Z ich chat się wznoszą płacze i *styskliwe* biada” Wacław Potocki 1626–1696), *styskować* „narzekać, mierzić sobie, przykrzyć sobie” („Iżby ty w ubóstwie nie *styskował*” Kazania świętokrzyskie XIII w., „Gdy sobie *styskowało* sierce moje” Psalterz floriański XIV/XV w.), „*utyskiwać, zrzędzić, uskarżać się, narzekać*” („Rozgniewał się i *styskował* na Labana” Szymon Budny ok. 1536-ok.1596, „Niejedyn nań *styskuje*” Polska fraszka mieszczańska z XVII w.) oraz *styskować się* „mierzić się, przykrzyć się, sprzykrzyć się, zmierzić się” („A dla tego *styskowało* mi się w żywocie mem” Ecclesiastes, księgi Salomonowe, Kraków 1522, „Tak się nam już *styskowało* żywo być” Biblia Leopoldy z r. 1561).

Te wszystkie archaiczne postacie z przedrostkiem „s-” – pod hasłem ze współczesnym brzmieniem *utyskiwać* – przywołuje również „Słownik etymologiczny języka polskiego” Wiesława Borysia z roku 2005. Co najważniejsze jednak, w konkluzji pisze prof. Boryś: „Przypuszczalną podstawę stanowił niezachowany czasownik *tyskać* z dawn. *tyskati* od *tsknąti* „odczuwać głęboki smutek, przygnębienie (zwłaszcza z powodu braku kogoś, czegoś), smuć się, frasować się” (por. *tęsknuić*)”. Powtórzmy: „niezachowany czasownik *tyskać*”.

Tymczasem śląskie *tyskanie*, o którym napisał do mnie Bogusław Knisz-

ka, jest bezdyskusyjnym potwierdzeniem, że taka bezprzedrostkowa postać funkcjonowała! A ja po raz kolejny wyrażam w tym momencie swą wielką fascynację mową naszego regionu, kryjącą w sobie prawdziwe perły historycznojęzykowe.

Korespondent przytoczoną na początku sentencję z *wyskaniem* i *tyskaniem* dopełnił wraz z żoną i znajomymi jeszcze paroma innymi konstrukcjami. Oto np. w pracy, gdy się ktoś czymś zanadto chwalił, to go starsi upominali słowami: „Niy wyskej, niy wyskej, niy podskakuj za bardzo, bo Pónbóczek skorz”. Gdy z kolei ktoś narzekał i narzekał, że np. przy pracy bolą ręce, nogi, plecy, to mógł usłyszeć: „Yno *tyskosz*, już tego przesłuchać niy idzie. Przeston *tyskać*, narzykać, bo gorzy było, a rynce i nogi bolom, bo roboty sie łod końca chytosz”, „Niy *tyskej*, bo jedzyny mosz, oblyczy tyż, sagi (czyli „nagi”) niy chodzisz, głodny tyż niy”. A jeśli ktoś mocno krzyczał, głośno śpiewał i jeszcze w dodatku fałszował, karcono go upomnieniem: „Przeston *wyskać*, bo głowa boli”. A kiedy jakiś człowiek zgromadził spory majątek, a spadkobierca go roztrwonił, ludzie komentowali: „Ścisaka ścisokoł, *wyskała* rozwysokoł”. Mamy więc w ostatnim cytacie również derywaty od czasownika *wyskać*: *wyskała* i *rozwyskać*.

A ja Panu Bogusławowi Kniszczce wyrażam przeogromną wdzięczność za ten przesłany bezcenny materiał językowy. ■

Konkurs im. Jana Kiepury w Krynicy-Zdroju

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Zawsze chętnie przyjeżdżam do Krynicy-Zdroju. Przez wiele lat odwiedzałem tam siostrę Dorotę, a mama Barbara Penderecka-Piotrowska kilka razy w roku jest kuracjuszką w Nowym Domu Zdrojowym. Miasto pięknie – zwłaszcza centrum, deptak i jego okolice. Zawsze wchodzi na Górę Parkową, mijając leśne sanktuarium, które odwiedzała babcia Zofia Penderecka. Co roku przyjeżdżam na sierpniowy Festiwal im. Jana Kiepury, zainicjowany przez Stefana Póchlópka. Najdłużej – 28 lat – jego dyrektorem był Bogusław Kaczyński, również pomysłodawca założenia Krynickiego Towarzystwa Kulturalnego im. Jana Kiepury (1986). Pierwszym prezesem stowarzyszenia został Andrzej Piasek, a od 2004 roku na jego czele stoi Małgorzata Miecznikowska-Gurgul, śpiewaczka i pedagog, od 2013 organizatorka Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Jana Kiepury, który w tym roku odbył się po raz ósmy w dniach 25–27 listopada 2021 (w ubiegłym roku został odwołany z powodu pandemii).

Jego dyrektorem artystycznym jest prof. dr hab. Tadeusz Pszonka, wykładowca w Akademii Muzycznej we Wrocławiu, wcześniej solista teatrów operowych we Wrocławiu, Warszawie i Łodzi, Teatru ROMA za dyrekcji Bogusława Kaczyńskiego, Wiedeńskiej Opery Kameralnej i Operhaus w Lipsku. Występował na tak renomowanych estradach jak: Gewandhaus w Lipsku, Filharmonia w Monachium, wiedeński Konzerthaus i Hofburg, Tonhalle w Zurichu, Kurhaus w Wiesbaden, Filharmonia w Brnie i Filharmonia Narodowa w Warszawie. Śpiewał także w Japonii i Australii. Od 2019 roku jest dyrektorem artystycznym Festiwalu im. Jana Kiepury.

Konkurs Śpiewaków Operowych im. Jana Kiepury odbył się w Krynicy-Zdroju trzykrotnie w latach 80-tych XX wieku i jego dyrektorem artystycznym był wówczas Bogusław Kaczyński. W 1984 roku nagrodzono Barbarę Rusin-Knap (Grand Prix Kiepury), Marka Torzewskiego i Jolantę Bibel (w jury m.in.: W. Wermińska, B. Kaczyński, D. Ambroziak, M. Fołtyn, A. Hiolski, B. Ładysz, B. Kostrzewska, S. Pietras, N. Siess). W 1986 roku nagrody otrzymali: Piotr Nowacki, Roma Ambroziewicz-Owsińska, Zenon Kowalski, Agnieszka Kurowska-Janeczka i Ryszard Morka (w jury m.in.: W. Wermińska, B. Kaczyński, M. Fołtyn, B. Paprocki, J. Kański, B. Zagórzanka).

Wyjątkowy był rok 1988, kiedy honorowymi przewodniczącymi jury zostali Wanda Wermińska i jeden z najwybitniejszych tenorów na świecie – Giuseppe di Stefano. Bogusław Kaczyński wybrał na członków jury: Delfinę Ambroziak, Setę del Grande (gwiazdę La Scali), wybitnego krytyka muzycznego Józefa Kańskiego, Teresę Kubiak, Bernarda Ładysza, Jerzego Marchwińskiego, Helenę Oliveirę (dyrektor Międzynarodowych Konkursów Operowych w Rio de Janeiro), Bohdana Paprockiego, Hannę Rumowską-Machnikowską, Gianniego Tanguacciego (dyrektora Teatro La Fenice w Wenecji) i Barbarę Zagórzankę. Laureatami zostali: Adam Kruszewski (Grand Prix Kiepury), Eugenia Rezler, Beata Morawska i Sylwester Kosteki.

Po 25 latach reaktywowali konkurs Małgorzata Miecznikowska-Gurgul i prof. Tadeusz Pszonka. Przesłuchania wraz z koncertem laureatów odbywają się co roku w pięknej, eleganckiej sali Starego Domu Zdrojowego, zarządzanego przez spółkę Uzdrowisko Krynica-Żegiestów. Do VIII konkursu przystąpiły 33 osoby, a do II etapu jury zakwalifikowało 11 młodych osób, utalentowanych i pełnych pasji. W związku z bardzo wysokim poziomem trudno było wybrać laureatów, więc obrady jury trwały do pierwszej w nocy. O nagrodach decydowali w tym roku: prof. dr RYSZARD KARCZYKOWSKI – przewodniczący jury, prof. dr hab. TADEUSZ PSZONKA – wiceprzewodniczący jury, Dyrektor Artystyczny, prof. EVA BLAHOVA (Słowacja), WIKTOR BOCKMAN (Szwajcaria) i MAŁGORZATA MIECZNIKOWSKA-GURGUL.

I miejsce i 7 tys. zł otrzymała Rosjanka, mieszkająca obecnie w Bratysławie – Zoya PETROVA, dysponująca pięknym sopranem. Ma delikatny głos, świetnie sprawdza się w pieśniach (otrzymała w tym roku również główną nagrodę w tej kategorii podczas Międzynarodowego Konkursu Sztuki Wokalnej im. Ady Sari w Nowym Sączu, wręczoną przez Małgorzatę Walewską). Zasłużenie wyróżniono ją też za wspaniałe zaśpiewaną Pieśń Roksany z „Króla Rogera” Szymanowskiego oraz wyciskające łzy wykonanie pieśni Karłowicza „Pamiętam ciche, jasne, złote dni”. Ja natomiast wręczyłem jej nagrodę Fundacji ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego w Warszawie w postaci zaproszenia na IV Festiwal im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej we wrześniu 2022 roku. Artystka czasami bierze na warsztat zbyt

„ciężki” repertuar (np. aria Zerbinetty z opery Richarda Straussa „Ariadna na Naxos”), ale ma wielki talent i zadatki na charyzmatyczną gwiazdę. Występowała już we Włoszech, Francji, Szwajcarii, Czechach, na Słowacji, w Słowenii, Chorwacji, Rosji, USA, Japonii, Korei Południowej i Chinach. Jest laureatką Międzynarodowego Konkursu Muzycznego im. Rossiniego we Włoszech, a także konkursów w Rosji, na Słowacji i w USA.

II miejsce przyznano tenorowi z Akademii Muzycznej im. K. Pendereckiego w Krakowie Adrianowi DOMARECKIEMU, którego głos ma piękną barwę, ale warto, by zadbął o repertuar i wykonywał na razie lżejsze partie, by mógł śpiewać przez wiele lat. Idealnie wykonał arię Nemorina z „Napoju miłosnego” Donizettiego i przyjemnie brzmiała aria Janka z opery Żeleńskiego. Od razu stał się ulubieńcem publiczności, posyłając na widownię całusy. Już wiosną można go będzie słuchać i oglądać w Operze Krakowskiej w partii Panga w „Turandot” Pucciniego. Trzymam kciuki za jego karierę.

III miejsce uzyskała Ewa MENASZEK z Krakowa. Poruszyła mnie szczególnie wzruszającym i wspaniałym wokalnie wykonaniem arii Charlotte z opery „Werther” Masseneta.

Do nagrody mogło aspirować więcej śpiewaków, między innymi: Marta Miła, która zaczyna robić już karierę w Komische Oper w Berlinie i Magdalena Urbanowicz, występująca w Teatro Lirico w Spoleto we Włoszech (Magdalena w „Rigoletto” Verdiego i Suzuki w „Madame Butterfly” Pucciniego). Obie otrzymały tu zaledwie wyróżnienia. Na uwagę zasługują również

Wioleta Sędzik, studiująca w warszawskim Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w klasie prof. Ewy Łzykowskiej-Lipińskiej, która urzekła mnie arią królowej Bony z opery „Zygmunt August” Jotejki.

Na inaugurację IV Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej planuję razem z prezydentem Michałem Litwiniukiem i dyrektorem BCK Zbigniewem Kapelą realizację wielkiej Gali Kiepurowskiej z udziałem wspaniałych artystów śpiewaków (Anny Barskiej, Kamili Lenzion, Eweliny Szybilskiej, Łukasza Gaja, Sławomira Naborczyka), baletu i orkiestry Teatru Muzycznego Lublinie pod dyrekcją Przemysława Fiugajskiego, z finalistami Konkursu im. Jana Kiepury: Zoyą Petrową, Wioletą Sędzik, Adrianem Domareckim i Karolem Skwarą. W ten sposób tworzymy most kulturalny między Krynica-Zdrojem i Białą Podlaską. ■

Czy wiesz kto to jest?

MARIAN SWORZEŃ



„Ileż to razy, mając do czynienia z jakąś osobą lub nawiązując z nią stosunki, chcielibyśmy mieć o niej bliższe dane, które w wielu wypadkach pozwoliłyby nam obrać właściwą linię postępowania” – to jedno ze zdań wstępu do tej użytecznej książki. Mam ją zawsze na podorędziu, sięgam do niej poszukując danych o osobach z okresu przedwojennego. Biogramy w niej zawarte są zazwyczaj obszernie i z dodaniem fotografii, ułożone wedle zasad znanych z encyklopedii, a co więcej – obecnie jest to rzecz niezwykła – z podaniem adresu i numeru telefonu. Celem wydawnictwa, jak czytamy, była „możliwie wyczerpująca informacja biograficzna, bez wdawania się w ocenę dzieł czy zasług”. W czasie wydania książki opisy w niej zawarte odnosiły się wyłącznie do osób żyjących – teraz, po trzech czwartych wieku, gdy nikogo z nich nie ma na świecie, jest to wciąż rzetelny słownik biograficzny, tyle że doprowadzony do drugiej połowy lat 30. XX wieku. Szczęściem w 1983 r. ukazał się reprint tej pozycji w nakładzie tysiąca egzemplarzy, tak więc książka jest dostępna, i to nawet w wersji obszerniejszej, bo wzbogacona o „Uzupełnienia i sprostowania”, których wydanie uniemożliwił wybuch wojny.

Aby uzmysłowić czytelnikom zarówno kształt i charakter omawianego dzieła, a w szczególności przedstawić jego liczne śląskie odniesienia, odwołałem się do prostego zabiegu. Zdając się wyłącznie na przypadek, wybrałem dwie sąsiadujące strony – 322 i 323. Przeważają tu biogramy z Warszawy, jest także Poznań, Kraków oraz Wilno, ale dostrzegam również hasło Jana Karkoszki, ur. 1889 r. w Nowym Bytomiu, powstańca, oficera policji, posła na Sejm Śląski, re-

daktora naczelnego „Inwalidy”, zamieszkałego w Piotrowicach przy ul. Matejki 5, nr tel. 2-51-84. A teraz doliczam sto stron, otwieram i patrzę – mamy tu 13 biogramów, prawie sama Warszawa, po jednym – Lublin i Kraków, są i Katowice reprezentowane przez Stanisława Lewickiego, ur. 1910 r. w Czerniowcach, dziennikarza, literata, poetę, z adresem przy ul. Marszałka Piłsudskiego 58 m. 18. I rozdanie ostatnie, trzecie – kolejne sto stron... Na stronach 522 i 533 wydrukowano 15 biogramów, w tym dwa katowickie: Romana Niklewskiego, ur. 1889 r. we Wrocławiu, doktora ekonomii, działacza Polskiego Związku Zachodniego, bankowca, zam. przy ul. Gliwickiej 3, tel. 3-47-68 oraz Stanisława Nogaja, ur. 1897 r. w Poznaniu, powstańca wielkopolskiego, działacza sportowego, dziennikarza szeregu gazet, w tym „Polonii”. Zaraz za Niklewskim jest kolejny śląski „przeblysk”, ukryty pośrodku biogramu prof. Kazimierza Nitscha – na liście dzieł naukowych jego autorstwa figurują „Dialekty polskie Śląska” (1909). Skoro już jesteśmy na niwie biograficznej, dodam, że córka tegoż wybitnego profesora UJ, Wanda, po odzyskaniu aplikacji w Mysłowicach i otrzymaniu nominacji sędziowskiej w 1937 r., pracowała w katowickim Sądzie Grodzkim; była wówczas jedyną kobietą wykonującą ten zawód na Górnym Śląsku (w całym kraju było ich... cztery).

Zliczając biogramy powiązane ze Śląskiem, znalazłem ich około 150. Dotyczą nie tylko osób zamieszkałych w Katowicach, lecz również i w Chorzowie, Cieszynie, Lublińcu, Mikołowie, Mysłowicach, Piotrowicach (były wtedy osobną gminą), Michałkowicach (jak obok), Pszczynie, Siemianowicach i Świętochł-

wicach. Przeważają w nich postaci związane z przemysłem, zwłaszcza z zarządami spółek w górnictwie, hutnictwie i przemyśle ciężkim, jest też wielu dziennikarzy, prawników – sędziów i adwokatów, duchownych, lekarzy, twórców kultury, także polityków i samorządowców. Topografia ich miejsc zamieszkania obejmuje szerokie centrum Katowic, ze znanymi ulicami: Francuską, Jordana, Mickiewicza, Słowackiego, Lompy, Powstańców, Kościuszki, Rybnicką, Żwirki i Wigury, Zajączka, Stawową, Kopernika, Ligonia.

Lektura tych życiorysów uświadamia nam ulotność ludzkiej pamięci. Ta oczywistość, mimo melancholijnej pieczęci, jest również wymowną zachętą do dbania o zapisanie przeszłości, zarówno wydarzeń, jak ich uczestników, i to nie tylko tych z pomnika. Bo cóż dzisiaj wiemy o katowickich współmieszkańcach z tamtego czasu, takich jak Aleksander Brachocki (muzyk, zam. Jordana 19), Leon Fall (dziennikarz, zam. Powstańców 5), Jarosław Leszczyński (kompozytor, zam. św. Jacka 4), Stanisław Spun-da-Kostrzewski (aktor, zam. Krakowska 141), Marian Sobolewski – Cyrus (muzyk i prawnik, zam. Reymonta 10), Piotr Stach (literat i dramaturg, zam. Plebiscytowa 13)? Czy społeczność dziennikarska Katowic Anno Domini 2021 wie cokolwiek o dziennikarzach tamtego czasu: o Anastazym Goldblumie-Gilczewskim, Edmundzie Karasiu, Janie Jakubie Kowalczyku, Jerzym Klodnickim, Stanisławie Lewickim, Marianie Tarłowskim? To samo dotyczy ludzi związanych z górnośląskim przemysłem, wielkim i średnich rozmiarów – oto ich lista: Jerzy Buzek (ur. 1884), Tadeusz Borkowski (ur. 1898), Aleksander Ciszewski (ur. 1878),

Józef Dangel (ur. 1883), Marian Drodowski (ur. 1898), Ludwik Dembiński (ur. 1903), Alfred Falter (ur. 1880), Kazimierz Gluźniński (ur. 1900), Jerzy Gośiewski (ur. 1886), Bolesław Grodziecki (ur. 1875), Jerzy Kramsztyk (ur. 1888), Jerzy Łaszcz (ur. 1887), Eryk Kołłontay (ur. 1895), Stanisław Niewiadomski (ur. 1880), Alfons Poklewski-Kozieliński (ur. 1891), Leopold Szefer (ur. 1881), Robert Sznapka (ur. 1890), Tadeusz Stadnikiewicz (ur. 1887, Witold Umiastowski (ur. 1906), Franciszek Waniek (ur. 1895), Stanisław Wachowiak (ur. 1890). W przypadku tej grupy dodałem celowo daty urodzenia, a to dla łatwiejszej identyfikacji osób, jak i stworzenia elementarnego zarysu o znaczeniu socjologicznym (brak kobiet jest ewidentnym znakiem czasu).

Odnotowani zostali aktorzy związani podówczas z Katowicami – Stefan Martyka (ur. 1909), Wanda Siemiaszkowa (ur. 1867), wspomniany wcześniej Stanisław Spunda-Kostrzewski. Adwokatka jest upamiętniona w osobach: Mieczysława Chmielewskiego, Teodora Glenska, Jakuba Kanarka, Pawła Kopocza, Leonarda Tchórzewskiego i Kazimierza Zienkiewicza. Osoby związane z sądownictwem i prokuraturą to: Feliks Bocheński, Adam Brzostyński, Jan Handzel, Kazimierz Wierzchowski; można tam również znaleźć hasło Witolda Sahanka, szefa katowickiego oddziału Prokuratury Generalnej, reprezentującej Skarb Państwa. W zbiorze umieszczone są biografie lekarzy, u których najpewniej leczyli się nasi dziadkowie i babcie – Ferdynand Adamczyk, Adam Butrym, Maksymilian Cichy, Edward Cienciała, Józef Gluch, Kazimierz Golonka, Kazimierz Kujawski, Maria Kujawska, Zbigniew Kukulski, Ignacy Nowak, Karol Sęczyk, Maksymilian Wilimowski. Górny Śląsk, jak wiadomo, miał silnie rozbudowaną sieć kolejową, stanowiącą około trzech czwartych sieci ogólnokrajowej, stąd oczywiste było zamieszczenie osób za nią odpowiedzialnych, w tym Aleksandra Iżyckiego-Hermana, Adama Wyleżyńskiego i Jakuba Wąsika (notabene ojca Aleksandry Śląskiej). Z architektów mamy: Stanisława Mielnickiego, Tadeusza Michejdę, Karola Schayera, Leona Dietza d' Armę, Tadeusza Sasa-Kozłowskiego. Duchowieństwo jest reprezentowane przez biskupów: Stanisława Adamskiego, Teofila Bromboszcza i Juliusza Bienka, także przez księży: Pawła Brandysa, Jana Brandysa, Józefa Gawlinę, Stanisława Wilczewskiego, pioniera higieny fonetycznej i Alojzego Siemienika, redaktora „Gościa Niedzielnego”. Władze województwa śląskiego są w całości: wojewoda Michał Grażyński, wicewojewództwo: Leon Malhomme, Tadeusz Saloni, Mieczysław Bilski, docho- dzą nadto szefowie niektórych wydziałów Urzędu Wojewódzkiego: Włodzimierz Dąbrowski, Rajmund Buławski, Stefan

filozofii Hegla w polskim czasopiśmie- niestwie (Arch. kom. do bad. hist. fil. w Polsce, Kraków 1933); Kryzys współ- czesnej kultury (Przegląd Powsz., Kra- ków 1934); Słownik pseudonimów i kryp- tonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących (Kraków 1936); szereg roz- praw w Pam. Lit. (Lwów), Ruchu Lit. (Warszawa), Silwa Rerum (Kraków), Przegl. Współcz. (Kraków). Kraków, Sienna 5.

BARABASZ STANISŁAW. Art.-mał. * 1857 w Bochni. Uk. polit. i szk. przem. art. w Wiedniu, 1884—1901 prof. Szk. Przemysł. w Krakowie, 1901—1922 dyr. Państw. Szk. Przem. Drzewa, w Zako- panem. Ogl.: Ornam. płaski na po- mnikach krakowskich z 15 i 16 w. (1893). Sztuka ludowa na Podhalu oraz art. w czasop. Ponadto prace: kilkadziesiąt akwa- rel, krajoz. m. in.: Ogrójce przed kościo- łem św. Barbary (1883), Kościół św. Bar- bary w Krakowie (1884), Ambona w ko- ściele Panny Marii w Krakowie (1886); Z plantacji (1888) oraz przedm. sztukiost. i projekty: lampy str. przed trumną św. Stanisława, relikw. str. i lampy W. Kadłubka (1901), antepedium str. w katedrze na Wa- wele, mebli, haftów orzobnych. Zako- pane, Polana 30.

BARAŃSKI ALEKSANDER. Dr med. * 11. 9. 1902 w Zagórzach, woj. kra- kowskie, S. Michała i Celiny. Oz. 30. 6. 1934 z Bolesława Pol. Uk. gimn. w N. Sa- czu i wydz. lek. Uniw. J. Kar. W 1920 słu. ochotn. w 5 p. a. c. Ciel. Zw. Of. Rez., czł. Zw. Gosp. Lek. Polaków na Śląsku. Ogl. art. w prasie lek. Odn. M. za W. Katowice, Wojewódzka 28, tel. 3-34-06.

BARAŃSKI JERZY. Dr fil. * 22. 4. 1884 w Nietulisku, pow. opatowski, Uk. gimn. w Radomiu w 1903, nast. stud. na uniw. w Dorpacie 1904 i na wydz. fil. Uniw. Jag. (drat w 1911). Od 1911 do 1914 naucz. w Suwałkach. Z chwilą wy- bachu wojny czł. Suwałsk. Kom. Obywat. ewak. do Wilna, nast. do Petersburg. Do 1917 szef biura Centr. Kom. Obyw. i wykł. w szk. żeńsk.; od 1917 kier. gimn. polsk. w Mohylewie. W 1918 insp. szk. na pow. łom. i koln., nast. w Min. Roln. org. wydz. oświaty roln.; w 1920 och. w p. W 1922—30 poseł do Sejmu. Od 1930 senator R.P., wicemarszałek Senatu. Czł. zarz. Stow. Urz. Min. Roln., czł. Kom. Pom. Jednoc. Centr. Zw. Kółek Roln., Tow. Przyj. W. W. P., Tow. Polsko-Bulg. Ogl. art. treści społ. w redag. przez siebie Tyg. Suwałskim. Warszawa, Wiejska 8 st. 28.

BARAŃSKI LEON JÓZEF. Dr praw. * 18. 3. 1865 w Chranzowie, woj. krakow- skie. S. Władysława i Zofii z Zubrzyckich.

24

Oz. 6. 11. 1920 z Zofią Zawadzką. Uk. gimn. w Krakowie w 1913 r. Stud. na uniw. w Krakowie i Wiedniu, uk. w 1918. Od 1919 w sl. państw. W 1924 kier. wydz. dewiz. w dep. obr. pieniężn. Min. Skarba. W 1926 dyr. tegez. depart. Od 1930 czł. rady Banku Polskiego. W 1935 nacj. dyr. Banku Polsk. Uczest. liczących mający zagr. (m. in. konf. finans.-gospod. w Had- dzie 1930, kom. przygotow. ekspertów na międzyzn. konf. gospod. w Londynie w 1933). Ogl. liczne art. w prasie gospod. oraz studium: Uwagi o obiegu pieniężnym w Polsce. Odn.: O. P. 5. 4. 3; K. Z. z. 2. fr. L. H. 3.; belg. Leopolda 3. War- szawa, Kaszyńska 23, tel. 8-76-18.

BARAŃSKI WŁADYSŁAW ANDRZEJ. Inżynier. * 16. 10. 1898 w Krośniczkach, pow. Nowy Targ. S. Władysława i Zofii z Zubrzyckich. Oz. 4. 6. 1912 z Janiną Zawadzką. Uk. wydz. leśny Szk. Gł. Gosp. Wiejsk. w Warszawie. Dyr. Izby Przem.-Handl. w Wilnie. Udział w powst. wlkp. Od 2. 1919 do zawiesz. broni sl. w 3 p. strz. wlkp. Udział w dział. na fr. pola- wach. (Mińsk, Bobrujsk). Ranny 23. 7. 1920 pod Berezą Kartuską. Czł. zarz. różnych org., jak: Kasa Fund. Pracy, Zw. Zawod. Leśników, Tow. Oświaty Zawod. Ogl. Kwestia drzewna w Polsce (1928), Akcja gospodarcza na ziemiach płn.-wschodn. (1934) i wiele artyku- łów w pismach ekonomicz. i prasie codz. Odn.: V. M. 5. K. W., M. N., M. za W., M. 10-1. O. N., Jini Biał. Róży, fr. Mérite Agricole. Wilno, Mickiewicza 32, tel. 65.

BARCIKOWSKI JANUSZ. Inż. * 17. 9. 1893 w Warszawie. S. Jana i Haliny z Piechowskich. Oz. z Ireną Doborzyn- ską. Uk. gimn. Ko- nospoczyńskiego w Warszawie, stud. w wyższ. szk. roln. w Warszawie, uk. wydz. inż. uniw. w Cambridge (Bache- lor of Arts). Dyr. techn. Sp. Akc. Lag- noza w Katowicach. Od 1918-1922 sl. w lotn. wojsk. Uk. szk. lotn. w Łomży. Ppor.-pol. rez. Czł. zarz. Aeroklubu. Ogl. art. z dziedz. mat. wybuch. i środków zapaln. w pismach fach. Odn.: K. W., K. Z. sr. Katowice, Wandy 40, tel. 3-53-38.



BARCIKOWSKI WACŁAW. Adwokat. * 10. 10. 1887. S. Damazego Adama i Marii. Oz. 22. 7. 1921 z Janiną Sylwanowicz. Uk. wydz. prawny uniw. w Moskwie. Do 4. 1924

Cwojdziniński, Alfred Popper, Jan Wier- biański, także starosta powiatu katowic- kiego – Wilhelm Seidler. Z innych grup zawodowych są muzealnicy: Tadeusz Do- browolski i jego żona Agnieszka, muzycy: Zygmunt Szeller, Bolesław Szabelski, Ste- fan Ślązak, historyk Konstanty Prus, ar- tyści plastycy: malarz Czesław Kuryatto oraz grafik Paweł Steller, bankowcy: Jan Kędzior, Stefan Jarnutowski i Karol Świ- stun, jak również Roman Lutman – dy- rektor Instytutu Śląskiego i biblioteki Sej- mu Śląskiego. Pośród działaczy politycz- nych, związkowych i samorządowych mają swoje hasła: Józef Adamek, Józef Binisz- kiewicz, Michał Grajek, Alojzy Kot, Jan Ligoń, Jan Piechulek. Z pisarzy odnala- złem tylko Kazimierza Gołbę.

Jest w książce biogram Konstantego Wolnego, marszałka Sejmu Śląskiego, ale brakuje w niej hasła Wojciecha Korfante- go, przebywającego wówczas na emigra- cji. Nie odpowiedział na ankietę wydaw- cy czy też został rozmyślnie pominięty?

Zastanawiałem się, czy w takim ra- zie nie rozpocząć opisu książki od po- wyższego akapitu. Sądzę jednak, że jego miejsce jest na końcu. Niech moim usprawiedliwienie będą słowa T.S.Elio- ta: „U mego kresu mój początek” zamy- kające wiersz rozpoczęty wersem: „Czas obecny i czas miniony / Obecne bodaj są zarazem w przyszłym czasie, / A przy- szłość zawiera się w czasie minionym”.

Tak, wszystko się zgadza. ■

* cytat z wiersza „Burnt Norton” w przekła- dzie Adama Pomorskiego

„Czy wiesz kto to jest”, pod red. Sta- nisława Łoży, Warszawa 1938 (re- print 1983), str. 858 oraz „Uzupeł- nienia i sprostowania”, str. 368 (re- print 1983). O Śląsku: (przykładowo) str. 2, 13, 24, 41, 43, 44, 47, 48, 52, 53, 62, 68, 73, 80, 81, 85, 86, 89, 90, 109, 112, 114, 130, 135, 137, 144, 145 i wiele innych.



Z przemówienia gen. Wojciecha Jaruzelskiego z 13 grudnia 1981 roku: „Tamta tragedia [z grudnia 1970 r.] powtórzyć się nie może. (...) Jedno chciałbym osiągnąć – spokój. (...) Nasze działania nie zagrażają nikomu. (...) Niechaj w tym uciążonym kraju, który zasnął już tyle kłósk, tyle cierpień, nie popłynie ani jedna kropla polskiej krwi”.

Pierwsze trzy dni stanu wojennego, choć pełne grózb i pouczeń, straszenia konsekwencjami „do kary śmierci włącznie”, nie przyniosły ofiar śmiertelnych, mimo utrzymywania się sprzeciwu społecznego. A wieść o ranach postrzałowych w kop. „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu-Zdroju z trudem dopiero torowała sobie drogę do społeczeństwa.

Za murami obozów internowania, gdzie w nocy z 12 na 13 grudnia osadzono działaczy struktur krajowych, regionalnych i zakładowych „Solidarności”, internowanie jawiło się jeszcze wówczas szczytem tego, do czego może posunąć się reżim komunistyczny w Polsce (rzekomo podobny rzodkiewce: „z zewnątrz czerwony, wewnątrz biały”). Wydawało się tak jakoś *a priori* niemożliwe, by po prostu władza powtórzyła to, co zostało już definitywnie potępione również przez nią samą: strzelanie do robotników. Mijał przecież dopiero rok od dnia, gdy w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie odsłonięto Pomniki Poległych Stoczniovców, ofiar Grudnia 1970. Taką nadzieją karmili się internowani.

Od początku był wśród nich **Jan Ludwiczak**, przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w kopalni „Wujek”, internowany tuż przed godziną wprowadzenia stanu wojennego.

Jeszcze w przeddzień tragedii, 15 grudnia, w obozie dla internowanych w Jastrzębiu-Szerokiej w prostych, serdecz-

Miesięcznice „Wujka” w internowaniu

JACEK OKOŃ

nych, niepewnych, intuicyjnych strofach pieśni, ułożonej wówczas spontanicznie przez grupę jedenastu internowanych, głównie robotników, osadzonych w tej samej celi, pojawiło się przekonanie, że nie dojdzie do bratobójczych walk i wszystko dobrze się skończy:

*Siedzimy, siedzimy, a bracia strajkują.
Mamy tę nadzieję, że się krew nie leje.
Krew się nie poleje, my i tak wyjdziemy,
Od nowa tę Polskę z biedy wyciągniemy.
(*** Trzynastego grudnia)*

Rachuby takie nie uwzględniały doświadczeń trudnej przeszłości. Choć internowanie było formą rzeczywistej izolacji od świata zewnętrznego, wieść o wydarzeniach na „Wujku” dotarła do osadzonych w obozach tymi samymi kanałami i w tym samym czasie, co do całego społeczeństwa. Pomijając bezpośrednio i bezzwłoczne przenoszenie informacji o tragedii przez jej świadków lub uczestników, co siłą rzeczy miało zrazu ograniczony zasięg, mieszkańcy Śląska i Zagłębia zostali o tym poinformowani przez radio, telewizję i prasę już w dniu następnym, tj. 17 grudnia.

Stracone złudzenia

W obozach dla internowanych funkcjonowała z reguły więzienna infrastruktura, służąca wcześniej więźniom kryminalnym, na którą składały się kolchozniki, czyli głośniki nad drzwiami cel, dalej – telewizor w tzw. sali telewizyjnej i zaprenumerowana wcześniej przez zarząd więzienia prasa, o ile nie należała do tytułów zawieszonych. Wobec braku w tych pierwszych dniach regulaminu internowania – władze więzienne stosowały procedury przewidziane uprzednio dla osób skazanych wyrokami, ale zarazem umożliwiały dostęp do wspomnianej infrastruktury.

Kolchozniki nadawały swój program od pierwszego dnia internowania. Była to transmisja programu radiowego, tego samego, co „na wolności”. Służyły też do przekazywania informacji „porządkowych”, ale szybko stały się bronią psychologiczną, wykorzystywaną przez SB. Natomiast dostęp do telewizji był reglamentowany stopniowo. W obozie w Ja-

strzębiu-Szerokiej komendantura już 14 grudnia 1981 roku zezwoliła internowanemu na obejrzenie w „światlicy” Dziennika Telewizyjnego. Takimi drogami docierała wieść o tragedii w kop. „Wujek”.

W dzienniku prowadzonym przez internowanego **Józefa Kulę** (ZWUS Żory) pod datą 17 grudnia znajduje się wpis: *Podał RP [tj. Radio Polskie] o akcji KWK „Wujek” – 7 ofiar śmiertelnych – ranni po stronie górników i milicji.*

W podobny sposób informacja dotarła do kobiet osadzonych w obozie w Sosnowcu-Radosze, siejąc tam grozę, współczucie i powodując natłok myśli.

Internowana dziennikarka Tygodnika „Solidarność Jastrzębie”, **Stefania Kamieniecka**, zapisała we wspomnieniach: *Zarówka była tak ciemna, że nie sposób byłoby przy niej czytać. Zresztą i tak nie miałyśmy niczego do czytania. Jedyne nasz kontakt ze światem zewnętrznym stanowił głośnik, włączany na godzinę przed ciszą nocną. Stąd dowiedziałyśmy się o strajkach na kopalniach. Zastanawialiśmy się, kto je zorganizował. Wszak internowano wszystkich, zdawałoby się, zdolnych do tego ludzi. W kopalni „Wujek” górnicy zabarykadowali się, żądając uwolnienia internowanych i przywrócenia do życia „Solidarności”. Do głębi poruszone słuchałyśmy, jak ich żony błagały, by zrezygnowali, bowiem uprzedzono je, że grozi im rozstrzelanie. I tak się też stało. Dziewięciu górników oddało życie. „Błogosławieni, błogosławieni, błogosławieni...” – powtarzałam w myśli, a łzy cisnęły mi się do oczu.*

Tak więc złudzenia co do intencji władz – jeśli doszły gdzieś do głosu – przysły, historia powtórzyła się – stało się to samo, co w Czerwcu 1956 i Grudniu 1970 r.





Z pierwszej ręki

Wkrótce potem o przebiegu wydarzeń na „Wujku” internowani mogli dowiedzieć się już z pierwszej ręki od bezpośrednich uczestników. 20 grudnia internowano 13 pracowników kopalni, w większości górników. Osadzono ich w Komendzie Miejskiej MO w Katowicach („na Kilińskiego”), Komendzie Wojewódzkiej MO i w obozach w Jastrzębiu-Szerokiej, Kokotku i Zabrzu-Zaborzu (Jan Ludwiczak zaliczył w swej tułaczce ponadto obozy w Uhercach, Nowym Łupkowie i Rzeszowie-Załężu. W ciągu następnego miesiąca podobny los spotkał jeszcze kilka dalszych osób z tej kopalni.

Wokół tych niezwykłych świadków gromadzili się w obozach żądni wiadomości internowani. Była to niepowtarzalna możliwość poznania prawdy niezafałszowanej i nieprzerobionej na propagandową papkę – u samego źródła. A czasu, jak się okazało, było niewiele: już po kilku dniach dziewięć osób spośród internowanych uczestników wydarzeń na „Wujku” zostało osadzonych w areszcie tymczasowym i poddanych śledztwu. Czekala ich rozprawa i wyrok. Ale i w tym znikomym czasie zdążono przekazać istotne treści o przebiegu wydarzeń. W obozie w Zabrzu-Zaborzu internowani gromadzili się wokół **Jerzego Wartaka**, słuchając jego relacji, zanim zabrano go po kilku dniach na śledztwo. W tamtym czasie w obozie tym przebywało wielu studentów z NZS-u zatrzymanych i spalowanych podczas pacyfikacji Huty „Baildon” 14 grudnia. Informacja o spotkaniach z Jerzym Wartakiem pochodzi od jednego z nich – **Jana Jurkiewicza**.

Do obozu kobiecego w Sosnowcu-Radosze trafiła **Alina Mucha**, jedyna kobieta wśród internowanych z „Wujka”. Ją również czekała sankcja prokuratorska i proces. Zdążyła jednak przekazać sporo wiadomości „z pierwszej ręki”.

Rozmowy z **Mieczysławem Pieronkiewiczem**, **Zbigniewem Dumą** i innymi górnikami z „Wujka”, osadzonymi w obozie w Zabrzu-Zaborzu, miały znaczący wpływ na powstanie w internowaniu wiersza **Jacka Okonia** „Górnikom z kopalni »Wujek«” oraz utworów **Mirosława Kańtora** „Czemu Polsko lejesz gorzkie łzy” i „Lekcja Historii”.

LEKCJA HISTORII

Powiedz mi, mamu, kiedy tato wróci?
Kiedy nasz smutek w radość się obróci?
Czemu palisz świeczkę, w oknie stawiasz ją?
Czemu tę wiązanekę skrapiasz swoją łzą?

Trzeba, mój synku, świecę w oknie palić,
By o górnikach pamięć móc ocalić.
Szesnastego grudnia dali życie swe,
Tę bolesną datę zapamiętać chciej.

A tę wiązanekę tatuś nasz miał złożyć
Tam, przed kopalnią, gdzie znak męki Bożej,
Ale go zabrali ludzi bardzo źli,
Którzy nie pojmują, co to ból i łzy.

A nasz tatuś wróci, kiedy ziarno wszędzie,
I naszym krajem miłość rządzić będzie,
Wtedy to nasz smutek w radość zmieni się.
Czy rozumiesz, synku, słowa matki swej?

Rozumiem, mamu, trzeba świecę palić,
Aby o „Wujku” pamięć móc ocalić,
Trzeba tym poległym okazywać cześć,
Choćby za to przyszło wikt więzienny jeść.

Zapamiętajmy: trzeba świecę palić,
Aby o „Wujku” pamięć móc ocalić,
Trzeba tam poległym okazywać cześć,
Choćby za to przyszło wikt więzienny jeść.

(wiersz **Mirosława Kańtora**, napisany w obozie dla internowanych w Zabrzu-Zaborzu, 1982 r.)

Miesięcznice

W dniach stanu wojennego społeczeństwo nasilało swój opór, gdy nadchodziły znaczące daty: 13 i 16 każdego miesiąca (i co roku 1 i 3 maja, 31 sierpnia, 11 listopada). To pod tymi datami miały miejsce w Polsce gwałtowne demonstracje, ale także nasilona refleksja. Odprawiano msze za Ojczyznę, palono znicze, świeczki (także w oknach domów), układano krzyże z kwiatów.

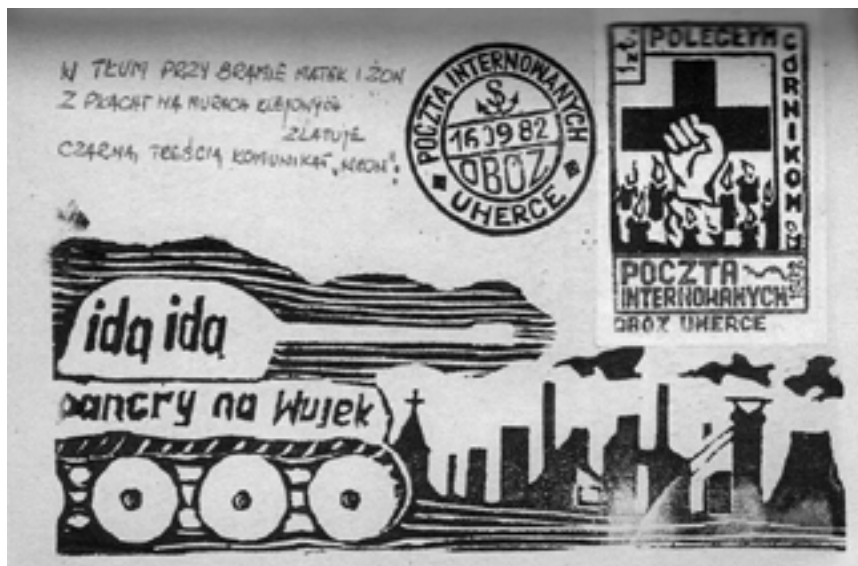
Kolektywne formy upamiętniania tych dat obciążone były ryzykiem aresztowania, internowania, pobicia, poniżenia.

W symboliczne upamiętniania ofiary górników z „Wujka” szczególne miejsce zajął krzyż, zwłaszcza ten spod bramy kopalni, gdzie gromadzili się ludzie, harcerze zaciągali warty honorowe, studenci z NZS organizowali demonstracje, odprowadzono nabożeństwa.

W nocy z 27 na 28 stycznia 1982 ten właśnie krzyż został zbezczeszczonej przez „nieznanych sprawców”. W liście pasterskim biskupa ordynariusza katowickiego **Herberta Bednorza** znalazł się nie tylko opis wydarzenia, ale też wynotowane zostały formy czci oddawanej poległym. List biskupa katowickiego stał się okazją do przekazania diecezjanom nauki, którą można by nazwać „teologią krzyża”. Biskup Bednorz odniósł się przy tym do krzyży, które zobaczył osobiście w celach obozowych m.in. w Jastrzębiu-Szerokiej w czasie odwiedzin duszpasterskich.

Internowani nie było wtedy dane stanąć pod krzyżem z „Wujka” osobiście. Mogli tam wtedy pielgrzymować jedynie duchem. Ale i dla nich Krzyż miał stać się symbolem, poprzez który wyrażali przekonanie, że w kopalni „Wujek” dokonana się ofiara najwyższego rzędu – ofiara odania życia „za przyjaciół swoich”.

Internowani byli częścią społeczeństwa. Fakt, że zostali odeń odseparowani, nie zmienił ich zapatrywań, poglądów i odczuć, które pozostały te same co „na wolności”. Ograniczone jednak były możliwości materiałowe, gdy chciało się uczcić poległych. Nie było na zawołanie kwiatów, wienców, zniczy, krzyży. Nawet flagi narodowe, zrobione z prześcieradeł, trzeba było chować przed strażnikami. Paradoksalnie, w obozach panowała większa wolność słowa (bynajmniej nie z łaskawości komendantów), co wyrażało się codziennym głośnym skandowaniem „Solidarność, So-li-dar-ność!”, „Precz z komunią!” i śpiewaniem zakazanych piosenek.



Projekt i wykonanie Ireneusz Gajos

W obozach dla internowanych obchody dat 13 i 16 każdego miesiąca, czyli tzw. miesięcznice, przybrały formę wspólnotowych modlitw przed krzyżem w kaplicach poszczególnych baraków, palenia zniczy, wywieszania flag i transparentów, organizowania Apeli Poległych i wieczornic.

We wspomnieniach internowanych z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego (a nie inaczej było w innych regionach) i w dziennikach internowania są to elementy stałe, powtarzające się. Organizacją uroczystości zajmowały się bądź to wybitnie po temu uzdolnione jednostki, bądź też demokratycznie wybrane władze samorządowe internowanych, najczęściej tzw. celowi (starsi celi), na wspólnym posiedzeniu. O takim spotkaniu „celowych” w obozie w Uhercach wspomina **Józef Kula** w swym dzienniku pod datą 15.04.1982. Na zebraniu ustalono, że kolejny dzień, tj. 16 kwietnia, będzie dniem żałoby ku pamięci ofiar z KWK „Wujek”.

Na godzinę 12.30 postanowiono zwołać internowanych na Apel ze zniczami i na modlitwę. A oto przebieg owego dnia (16 kwietnia 1982) w zapisie dziennika tego samego autora (Józefa Kuli), podany co do godziny:

Godz. 9.00 – modlitwy – 24 osoby – szkoda, że tak mało. Tablica na korytarzu ze zniczem ku pamięci górników i ofiar z '56 r. i '70 r. Świece palące się w kaplicy na parterze oraz na piętrze pod krzyżem.

Godz. 12.30 – znicze w oknach, żałobne flagi – śpiew wspólny „Jeszcze Polska”, „O Panie”, „Boże, coś Polskę”, „Solidarni” – okrzyk „Solidarność”. III blok wyszedł do śpiewu i wywiesił na siatce transparent:

Solidarność
16.12.1981
KWK Wujek



Wyszli wszyscy na spacer, następnie wyszedł nasz blok. Znicze w kształcie krzyża pod transparentem, wspólna modlitwa – Credo – dziesiątek różańca za poległych górników – Zdrowaś – za kaleki i chorych z czasu wojny – Ojciec Nasz – Zdrowaś za wszystkich uwięzionych – internowanych – „Czarna Madonna”.

W trzy dni później Józef Kula został z Uhercz wywieziony do obozu w Rzeszowie-Załężu. Ale jego dziennik także tam mówi o stałości praktyk i ich modlitewnej formie: 16.06.1982. Godz. 9.00 – modlitwa – 10 osób – modlitwa za ofiary 16 grudnia stanu wojennego i lat powojennych. Równie wiele szczegółów zostało ocalonych dzięki dziennikowi prowadzonemu w obozie w Zabrze-Zaborze przez **Mirosława Kańtora**.

Autor był studentem polonistyki, amatorem muzycznym w ruchu oazowym i uczestnikiem spotkań Duszpasterstwa



Akademickiego. Został internowany w końcu maja 1982. W pamięci internowanych zapisał się głównie jako autor piosenek do tekstów własnych i Jacka Okonia. Jego dziennik nie był dotychczas w całości publikowany; do celów naukowych udostępnione były jedynie wybrane fragmenty. Pod datą 16.06.1982 znajduje się tam podobnie dokładny opis Apelu Poległych i wieczornicy.

Dziś o godz. 12.00 był *Apel Poległych*. Wywołano nazwiska poległych z „Wujka”, zmówiono modlitwę i odczytano tekst „Solidarni – nasz jest ten dzień, a jutro jest nieznane...”. Zakończyliśmy całość Mazurkiem Dąbrowskiego, po czym zrzęgnowaliśmy w reszty spaceru i weszliśmy do pawilonów. Dostałem propozycję zrobienia wieczornicy o 23.30. Zaczęliśmy kołędami, by wejść w tamten grudniowy, bożonarodzeniowy klimat.

Były stare pieśni legionowe i te układane tutaj. Były wiersze, psalmy, śmieci, świece i skupione twarze. Później były wspomnienia internowanych poczynawszy od 13 grudnia. Michał [Mąsior] mówił o kulturze klawiszy na Pomorzu (większej niż na Śląsku). 16 grudnia widzieli klucz 11 żurawi na niebie i [klawisze] skojarzyli to później z wypadkami [na „Wujku”]; byli jeszcze grzeczniejsi dla internowanych. [Ryszard] Nikodem z kolei, że w Strzelcach Opolskich rozwalano krzyże wszędzie, nawet zapisane na kartce, dalej o więziennych ubraniach, kipszach, śpiewach, trudnościach w obchodzeniu rocznic 13. i 16., o karach. Andrzej [Rozpłochowski] o „identyfikacjach”, dlaczego i jak to niszczyli, o rewizjach osobistych na msze św. (...) Dalej o śpiewie podczas widzeń na jadalni i o ludziach, którzy „Wujka” przeżyli... Skończyliśmy o 3.00 nad ranem.

Pod datą 16.07.1982 – Mirosław Kańtor zanotował: *Strasznie parno było dzi-*

siaj. Od rana miałem rozmowę z Leszkiem Waliszewskim, referowałem mu m.in. ciekawe tezy z książki Mariana Zdziechowskiego „Wpływy rosyjskie na duszę polską”. Okazał wielkie zainteresowanie tym tematem. Po Apelu Poległych, który odbył się na boisku o 12.00 spotkaliśmy się celem przećwiczenia kilku piosenek. Już mnie gardło boli! [Leszek Waliszewski] poradził mi również, abym ze względu na ogólną apatię, upał i lenistwo nie przygotowywał nic na dzisiejszą wieczornicę. Ale jednak inni zmusili mnie do aktywności. Jednakże dzisiejsza wieczornica miała inny przebieg. Rozpoczęliśmy pieśnią „W krzyżu cierpienie”, potem przemówił górnik z „Wujka” („hełm górniczy przytulił się do krzyża, gdyż tylko tam znalazł ukojenie”). Były inne wiersze, które mówiły o „Wujku” oraz moje piosenki. Zakończyliśmy pieśnią „Dobry Jezu, a nasz Panie, daj im wieczne spoczywanie”.

Miesięcznice tragedii na „Wujku” miały więc w internowaniu możliwie godną oprawę. Wytworzył się powtarzalny schemat obchodów; powstały zwyczaj, przestrzegany był żałobny charakter dnia. Data 16 każdego miesiąca, jeśli tylko pojawiła się na piśmie (liście, dokumenty, itp.) wytworzonym w obozie przez internowanych, pozwalała zwrócić się do myśli o zawartości treściowej.

Nie przypadkiem czerwcowy numer wydawanego nieregularnie w obozie w Zabrze-Zaborze pisma internowanych „Nasz Głos”, opatrzony jest datą 16.06.1982. W numerze tym znajduje się odezwa internowanych tam władz Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność” i członków Komisji Krajowej do władz PRL i związkowców Regionu. Sygnatariuszami odezwy byli: **Leszek Waliszewski** (przewodniczący Zarządu Regionu), **Andrzej Rozpłochowski** (członek Komisji Krajowej), **Michał Mąsior** (członek Komisji Krajowej), **Ryszard Iwan** (członek Zarządu Regionu) i **Ryszard Nikodem** (wiceprzewodniczący Zarządu Regionu). W odezwie znalazło się czytelne odniesienie do ofiary życia górników z „Wujka”, jej interpretacja w perspektywie historii Narodu i dramatyczny – stąd właśnie płynący – apel:

Poląła się krew – i to nie po raz pierwszy; są ofiary – na tle fabrycznych bram wyobraźnia rysuje kolejne pomniki. Koło historii kręcąc się zaczyna wg schematu, który zapoczątkował POZNAŃSKI CZERWIEC 1956. ZATRZYMAJMY TO KOŁO! Musimy je zatrzymać w imię tego, co NAJŚWIĘTSZE – w imię DARU ŻYCIA!

Boże Ciało przypadło w 1982 roku na dzień 10 czerwca. W tym samym obozie (Zabrze-Zaborze) internowani wystawili ołtarz przed Pawilonem I (tego samego dnia miał zostać po uroczystościach religijnych zdemontowany). Po Mszy św., którą kapelan internowanych odprawił



w kaplicy ogólnej, procesja internowanych przeszła przed ten ołtarz na krótką modlitwę. Choć na ten dzień nie przypadała żadna miesięcznica, to krzyż ołtarzowy wykonany został z białych gałęzi brzoźowych. Na białej brzoźowej korze namalowano też wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. W symbolice Narodu Polskiego ma to (brzoźowy krzyż) swe stałe znaczenie. Ale wówczas ten ołtarzowy krzyż nie mówił o zabitych w walce partyzantach, nie oznaczał sobą mogiły nieznanego żołnierza czy powstańca. Był przeznaczony dla Poległych Górników.

W rocznicowe comiesięczne upamiętnianie wpisała się także Poczta Internowanych. Pod nazwą tą kryje się działalność samorodnych talentów plastycznych, prowadzona we wszystkich obozach.

Powstały wtedy znaczki quasi-pocztowe, stemple okolicznościowe, pieczęcie nadrukowe, datowniki, koperty quasi-FDC i inne całości (zwane w obozach „kopertówkami”). Świeża tragedia w kop. „Wujek” w naturalny sposób została dopisana do upamiętnianych tematów i wydarzeń. Przyczyna, dla której techniki graficzne, takie zwłaszcza jak linoryt i drzeworyt, rozwinęły się w obozach, był fakt, że wśród internowanych znajdowało się wielu pracowników poligrafii związkowej, umiejętności w podobnych dziedzinach, a także względna łatwość zdobycia w warunkach więziennych ersatzów materiałowych (linoleum pochodziło z podłogi, podobnie drewno do drzeworytów, itp.).

Narzędzia i inne materiały dostarczały rodziny przy okazji odwiedzin. Internowani z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego byli w tym ruchu bardzo aktywni, a takie nazwiska jak **Maciej Jan Klich** (NZS, Wydział Nauk Społecznych UŚ), **Paweł Kozłowski** (Wydział Techniki UŚ), **Irene**

usz Gajos (Huta „Katowice”), **Alfred Cofalik** (KWK „Szczygłowie”) i **Jerzy Frelich** (nauczyciel – Zespół Szkół Budowlanych w Rybniku) zapisały się jako szczególnie znaczące.

Śmierć górników z kop. „Wujek” była ofiarą złożoną za cały Naród. Obowiązek pamiętania o niej wykraczał poza granice naszego Regionu, co wyrażało się przywoływaniem tej tragedii w niemal wszystkich obozach, również tych, w których nie było Ślązaków i Zagłębiaków. W obozach bieszczadzkich aktywnie działali poza tym internowani z Jeleniej Góry: **Jerzy Popioł** i **Edward Wryszcz**, a także zielonogórczanin **Bogumił Pawłowski** (odnotowuję tu tych, którzy zapisali się w historii „Solidarności” jako autorzy znaczków i stempli miesięcznicowych upamiętniających poległych górników).

Internowani z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego poczuli się do obowiązku również z powodu bliskich więzi, łączących ich z internowanymi górnikaми, kolegami poległych. Obecność górników z „Wujka” w obozach śląskich i bieszczadzkich miała niezwykle in spirującą moc.

Motywy graficzne powtarzają się: krzyż, świeca w liczbie odpowiadającej liczbie poległych górników, czołg, wieża szybowa KWK „Wujek” (w ujęciach domyślnych). Napisy informacyjne nie pozostawiają wątpliwości, o jaką tragedię chodzi: „KWK Wujek”, „Poległym Górnikom”, „16 XII 1981”. Niemal

wszystkie znaczki i datowniki wykonane zostały dla upamiętnienia przypadających miesięcznic i oznaczone są datą 16. dnia danego miesiąca. Do wyjątków od tej reguły należą: znaczek wydany na Barbórkę 4 grudnia 1982 roku (ale z napisem odnoszącym się do oporu i ofiary górników z „Wujka”: „Pamiętamy o Waszej chlubnej postawie”), oraz znaczek, w którym data 16 X oznacza dzień wyboru Karola Wojtyły na Papieża (ale i ten znaczek ostemplowany jest datownikiem wykonanym na miesięcznicę „Wujka” – 16.10.1982).

O obowiązku comiesięcznego przypominania o złożonej daninie krwi internowani pamiętali do końca istnienia obozów, a te zlikwidowano tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1982. Ostatnią upamiętnioną datą rocznicową jest data 16.12.1982, uwidoczni ona na pieczęci nadrukowej, odbitej na koszuli internowanego w obozie Zabrze-Zaborze i wraz z nią stanowiąca dziś eksponat Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach.

Tekst jest zaktualizowanym fragmentem pracy Jacka Okonia „Internowani z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego wobec tragedii w kopalni »Wujek«”, zamieszczonej w „Górniku Polskim – Zeszytach Naukowych Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze” 2011, nr 5. Stemple ilustrujące tekst powstały w obozach dla internowanych w Zabrze-Zaborzu, Grodkowie, Uhercach i Nowym Łupkowie; tylko niektórych autorów udało się ustalić. ■



Pomysły przychodzą z nienacka

Z KAROLINĄ JONDERKO ROZMAWIA PIOTR SKOWRONEK

Jak fotografka/fotograf patrzy na świat?

Myślę, że to bardzo indywidualne. Każdy z nas patrzy zupełnie inaczej. Na nasze patrzenie składa się bardzo wiele czynników. Od miejsca, w którym się urodziliśmy, obrazy, książki, muzyka, filmy które oglądaliśmy, ludzi z którymi się przyjaźniiliśmy, rodzina, korzenie, z których pochodzimy i wiele więcej. Dziedzin fotografii jest również wiele. Fotografowie przyrody patrzą inaczej niż ci modowi. Na pewno łączą nas jedno. Wrażliwość na światło i kompozycję.

A jak to jest w Pani przypadku. Wyobrażam sobie, że każdy artysta szuka odpowiedniego języka, wręcz go tworzy...

To prawda. Dzięki szkołom i licznym warsztatom, w których uczestniczyłam miałam możliwość eksplorowania wielu dziedzin fotografii pod okiem profesjonalistów. Studium fotograficzne Fotoedukacja w Katowicach nauczyło mnie technicznych aspektów fotografii. Od migawki po ogniskową. Wcześniej bezmyślnie „pstrykałam”. Świadome operowanie głębią ostrości, kompozycją, czy czasem migawki jest niezwykle ważne w fotografii. Oczywiście jeżeli podchodzi się do niej poważnie. Warszawska Szkoła Filmowa była dla mnie ważna nie tylko na względu na świetnych wykładowców, ale również dawała oddech od sytuacji w domu. Moja mama wtedy już bardzo chorowała i te parę dni w miesiącu spędzonych na wykładach dawało mi ulgę i ładowało baterie do dalszej walki. Łódzka filmówka natomiast zmieniła moje życie. Spotkałam tam świetnych ludzi, którzy mnie wspierali, inspirowali, pomagali. Różnorodność zajęć i zadań również dawała ogromną przestrzeń do eksploracji nowych dziedzin fotografii. W tamtym czasie tworzyłam bardzo dużo fotografii konceptualnej. Również zadania z reportażu uważam za bardzo ważne, bo wcześniej bałam się fotografować obcych ludzi. Reportaż był dla mnie, jako introwertyczki, bardzo trudną dziedziną. Jednak musiałam pokonać swój strach i zacząć fotografować.

To trudny warsztat? Dla laika „pstryk” i gotowe.

Tu też wiele zależy od dziedziny fotografii. Oczywiście teraz każdy może sobie „pstryknąć” zdjęcie. W końcu każdy z nas nosi w kieszeni telefon z aparatem fotograficznym. W dzisiejszych czasach każdy jest fotografem. Myślę, że w dużej mierze liczy się to, o czym chcemy opowiadać,

co chcemy ludziom przekazać? Dlaczego robimy takie, a nie inne zdjęcia? Jaki motywami kieruje? Co się kryje za danym projektem, danym zdjęciem. Oczywiście większość zdjęć powstaje bez zadawania sobie tych pytań. Są po prostu dokumentacją naszej codzienności lub wycieczek, czy narodzin. Chcemy uchwycić dane chwile, bliskich, miejsca, które odwiedziliśmy i to jest piękne! Dla mnie fotografia jest autoterapeutyczna. Moje projekty dotyczą straty, jej następstw i sposobów, w jaki ludzie sobie z nią radzą.

No tak, ale czy świat nie narzuca nam pewnej manieri? Patrzę na pierwsze próby uczniów i wszystkie są sztampowe. Poza tym łatwość zrobienia zdjęć pociąga za sobą chyba pewną bezmyślność. Jak Pani to widzi?

Gdyby spojrzeć na Instagrama to większość ludzi tworzy podobne rzeczy. Przewija się palcem z fotografią na fotografię często nawet nie czytając opisów. Po prostu ładne fotki. I tak, większość zdjęć powstaje bezmyślnie, dlatego tak ważna jest edukacja wizualna i pokazywanie aspirującym fotografom, że nie tylko warto robić pięknie wizualnie zdjęcia, ale przede wszystkim... żeby za tymi zdjęciami coś szło... coś głębszego niż tylko powierzchowna warstwa estetyczna.

Jakie były początki?

Zacząłam od Zenita, którego wręczył mi mój ojciec, kiedy miałam 18 lat. Wtedy moją modelką była Tsunami – mój pies. Na niej trenowałam czas migawki, przysłony, rodzaje ogniskowych itp. Uprawiałam wesołą twórczość do momentu śmierci mojej mamy w 2008 roku. Wtedy fotografia stała się moim sposobem na komunikowanie emocji, których wyrażanie zawsze stanowiło dla mnie problem. Wtedy też nauczyłam się widzieć, a nie tylko patrzeć.

Aparat Zenit trzeba było jeszcze „obstąpić”, dzisiaj to nie do pomyślenia... Czy w rodzinie ktoś jeszcze fotografował? Miała Pani swojego nauczyciela? Czy odbywały się wystawy rodzinne. A może była Pani naczelnym wakacyjnym utrwalaczem chwil, fotoreporterem? Jak trafiła Pani na ten rodzaj terapii? Co zobaczyła Pani najpierw?

Mój dziadek fotografował, mój tata też... ale tylko hobbistycznie. Mamy w pudłach masę slajdów i jeszcze niewywołanych filmów. Kiedyś mam zamiar się za nie zabrać. Pogrzebać w rodzinnym archiwum. Jednak

mnie nikt fotografii nie uczył. Tata, wręczając mi Zenita, wyjaśnił tylko czym jest przysłona, czas naświetlania i czułość ISO... lecz wtedy nie za bardzo to rozumiałam. Po prostu dużo zdjęć robiłam zmieniając ustawienia. Później, przy wywoływaniu sprawdzałam, co z czym działa, a co nie. Gdy powoli zaczęły wchodzić na rynek pierwsze cyfrowki, tata od razu mi kupił cyfrowkę HP. Miała 2 mln pikseli. Dzisiaj nie do pomyslenia, bo nawet najgorsze smartfony mają lepszą matrycę (śmiech). Mając już cyfrowkę zapisałam się do studium fotograficznego Fotoedukacja, by zgłębić tajniki techniczne i kompozycyjne. Powiem szczerze, że w życiu nie pomyślałabym, że zostanę fotografem. Miałam być nauczycielką angielskiego. Skończyłam licencjat i gdyby nie śmierć mojej mamy to pewnie bym tą nauczycielką została.

Pierwsze zdjęcie, wystawa, nagroda...

Pierwsze zdjęcia robiłam już jako mała dziewczynka. Plastikowym aparatem wydającym dziwne dźwięki. Natomiast świadome pierwsze zdjęcie przedstawia puste łóżko. Na poduszce jest jeszcze ślad odbitej głowy. Jakby ktoś przed chwilą jeszcze w nim leżał. Nad łóżkiem wisi portret mojej mamy namalowany przez wujka. To było zdjęcie przedstawiające pustkę po jej odejściu. Za to zdjęcie dostałam I miejsce w konkursie „Portret” w Kole.

To bardzo przejmujące. Jak poradziła sobie Pani z intymnością wstawioną teraz w dyskurs artystyczny, publiczny? Czy to ta sama myśl, co u Horacego non omnis moriar?

To była bardzo długa droga. Biorąc jeszcze pod uwagę mój introwertyzm przeszłam na-prawdę długą drogę. Wiele z wczesnych fotografii, zrobionych zaraz po śmierci mamy, długo przeleżało w szufladzie. Dopiero z czasem zaczęłam je pokazywać. Autoportret z Matką nigdy nie miał ujrzeć światła dziennego. To był mój bardzo osobisty projekt autoterapeutyczny. Nie chciałam go nikomu pokazywać, bo nie wierzyłam, że ktokolwiek może zrozumieć te zdjęcia. Przecież to moja strata, mój ból, moja mama. Gdyby nie kolega z filmówki, Dominik Tarabański, który zapytał mnie wtedy nad czym pracuję, pewnie nigdy nikomu bym tego nie pokazała. Gdy mu opowiedziałam historię i pokazałam zdjęcia od razu oczy mu się otworzyły i polecił mi pokazać to całej grupie oraz profesorowi Grzegorzowi Przyborkowi. Reak-



cja na ten cykl zdjęć przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Te zdjęcia stały się podstawą do napisania licencjatu i opisanie twórczości osób, które poprzez sztukę zmagają się ze stratą, opowiadają o niej. Gdy *Autoportret z Matką* zawiął w Krakowie w ramach festiwalu fotograficznego zgłosiła się do mnie dziennikarka Wysokich Obcasów, Karolina Sulej, i parę miesięcy później moja twarz była na okładce, a cykl zdjęć wraz z historią opisany został na trzy strony. Dla mnie, dziółchy w Rydułtów, dla której to były bardzo osobiste i intymne zdjęcia to był wielki szok i strach. Okazało się jednak, że masie czytelników ten projekt przyniósł ulgę. Dostałam wiele wiadomości i komentarzy pełnych zrozumienia, wsparcia i podziękowań. To właśnie te reakcje uświadomiły mi, że fotografia ma moc, wyzwala emocje, może nieść zmiany. Ten cykl nadał mi cel, do którego do dziś zmierzam w swojej fotografii.

Skąd bierze Pani pomysły? A może to one biorą Panią, jak ten z garderobą Mamy? Ubrania, tkaniny niosą zapach, przy moim rozstaniu z mamą to było najtrudniejsze.

Pomysły często przychodzą znienacka. Książka, film, rozmowa. Staram się mieć zawsze otwartą głowę i być wyczułona na tematy, które mnie interesują. *Autoportret z Matką* powstał, gdy ubrałam jej płaszcz i pierwszy raz od wielu lat poczułam ulgę. Zdałam też sobie wtedy sprawę, że miałyśmy z mamą bardzo mało wspólnych zdjęć. Postanowiłam to zmienić. Zaginięni byli kombinacją kilku wydarzeń, które złączyły się w jedno. W ciągu trzech lat straciłam siedmiu członków rodziny. Sporo pustych przestrzeni po nich zostało. Wtedy też w ręce wpadła mi książka „Nostalgia Anioła”, w której narratorką jest zamordowana dziewczyna. Jej ciała nie odnalazio-

no, więc została uznana za zaginioną. Jest taki moment w tej książce, kiedy młodszy brat wchodzi do jej pokoju i zaczyna skakać po łóżku. Przechodzący obok ojciec wyrzuca go i mówi, by już nigdy tam nie wchodził, bo ona może w każdej chwili wrócić. Zaczęłam się zastanawiać czy rodziny osób zaginionych również nic nie zmieniają w przestrzeniach ich pokoi. Pomysł na cykl *Reborn* powstał w 2012 roku, gdy zobaczyłam dokument *My fake baby* w BBC i ujrzałam w lalce potężny przedmiot terapeutyczny. Natomiast *Mała Polska* powstała po spotkaniu z moim wujkiem, z którym jego siostra, a moja babcia straciła kontakt podczas II wojny światowej. 70 lat później zawieźliśmy babcię do Anglii, gdzie w końcu się zobaczyli... już jako starzy ludzie. Niedługo po tym spotkaniu oboje odeszli. Także nie mam sprawdzonej recepty. Często kieruję się intuicją.

Intuicja dla artysty jest chyba podstawową wartością. Interesuje mnie sam proces realizacji projektu i to, czy przewiduje Pani reakcję odbiorcy. Wszystkie wymienione projekty są bardzo kontekstualne. Trzeba poznać historię, by wiedzieć co się widzi, a to wymaga odpowiedniego postępowania wobec widza, wciągnięcia go do „środką”. Z jakimi reakcjami się Pani spotkała?

Każdy projekt wymaga wielu godzin czytania, szukania informacji o danym zagadnieniu. Przy *Lost* czytałam wszystkie możliwe artykuły o zaginięciach osób, do których pokoi później jechałam. Byłam też pod opieką psychologa ponieważ lwia część tego projektu były rozmowy z rodzinami. Tak naprawdę część zdjęciowa zajmowała najmniej. Dla mnie również to właśnie rozmowy były najważniejsze. Często rodziny osób zaginionych są ignorowane przez społeczeństwo. Ludzie nie wiedzą

jak mają z nimi rozmawiać, unikają więc kontaktu. Opowiadałam im też dużo o sobie i o swoich zmaganiach. Zresztą robię to do dzisiaj, gdy podejmuję ważny i wrażliwy temat. W przypadku *Reborn research* trwał ponad 2 lata. To bardzo zamknięta społeczność, a media które szukają sensacji i tworzą artykuły tylko pod „lajki” utrudniają rzetelną pracę. Zaczęłam ten projekt w Anglii, nie wiedząc jeszcze, że w Polsce te lalki również są popularne. Właśnie w Anglii dość szybko się przekonałam, że nie mam szans na zrobienie tego materiału właśnie ze względu na media, które często powierzchownie i bardzo brutalnie opisywały, kobiety które je posiadają. Zaczęłam więc szukać w Polsce i tak trafiłam na Basię Smolińską, dzięki której otworzył mi się świat lalek reborn w Polsce. To był bardzo długi proces. Sam projekt trwa już 6 lat.

Każdy z moich projektów – mimo że wszystkie o stracie – ma inną konstrukcję. Faktem jest, że żaden z nich, bez opisu nie miałby takiej siły rażenia. Dla mnie fotografia i tekst idą w parze. Najlepiej to widać przy projekcie *Reborn*. Bez opisu widz myślałby, że to po prostu fotki matek z dziećmi. Dopiero opis przewraca ten świat do góry nogami. *Mała Polska* bez opisu również byłaby serią zdjęć o domach starców, a przecież to bohaterowie wojenni, którzy żyją w tym jedynym w swoim rodzaju miejscu... w Małej Polsce. Pokoje w serii *Lost* byłyby po prostu zapisem przestrzeni. Dopiero świadomość, że pokój jest nietknięty od 1995 roku i czeka na jego/jej powrót, zmienia nasze postrzeganie tej przestrzeni. To samo dotyczy *Autoportretu z Matką*. Bez historii to tylko dziewczyna w za dużych, kolorowych ubraniach. Wiem, że to nie fotografia dla każdego. Nie każdy musi ją lubić, podziwiać czy w ogóle ją „czytać”. Nie mam z tym absolutnie problemu. Jestem otwarta na reakcję i krytykę, tak długo jak jest ona konstruktywna. Uważam, że krytyka jest bardzo rozwijająca i potrzebna. Tylko podkreślę raz jeszcze... musi być konstruktywna. Najwięcej hejtu, piszę „hej tu”, bo to nie krytyka, pojawiło się przy projekcie *Reborn*. Niestety wiele osób szybko osądza niż jest skłonnych zrozumieć. Jednak to miało miejsce tylko w Internecie. W czasie spotkań, na wystawach, gdy mam lalkę, gdy opowiadam o tym projekcie... nigdy nie spotkałam się z osądzaniem. Wręcz przeciwnie, ze zrozumieniem. Zawsze, nim przystąpię do realizacji danego projektu, zadaję sobie pytania: Dlaczego chcę go robić? Co ma z niego wynikać? Co chcę nim przekazać odbiorcy? Gdzie chcę go pokazać? Oczywiście po drodze pojawiają się kolejne pytania. Jedyne czego nie potrafię przewidzieć, to reakcja widzów.

Wszyscy pamiętamy hasło „sztuka dla sztuki”, tymczasem Pani uprawia twórczość społecznie zaangażowaną. Dlaczego?

Bardzo mi zależy na tym, by moja twórczość była użyteczna. Nie interesują mnie tylko ładne zdjęcia, ale co się za nimi kryje. Interesuje mnie, dlaczego ktoś two-

rzy w taki, a nie inny sposób. Staram się by moje cykle opowiadały o ludziach, o ich zmaganiach i sposobach na radzenie sobie z trudnościami. Niektóre projekty takie jak *Lost* czy *Tacy jak Ty* posiadają również charakter interwencyjny. Mają uświadamiać oraz pomagać, zmuszać do zastanowienia, do przyjrzenia się sobie. Zależy mi, by odbiorcy tych prac wychodził z wystawy z pytaniami, by dały mu/jej bodziec do przemyśleń.

W ten sposób łamię Pani społeczne tabu, otwiera publicznie trudne tematy. Co jest w nich najważniejsze?

Dla mnie relacja z bohaterami/kami moich projektów jest najważniejsza. Zdecydowanie ważniejsza niż zdjęcia. Nie zrobiłabym zdjęć, które godziłyby w godność mojego bohatera/ki lub ukazywało go/ją w poniżający sposób. Czuję ogromną odpowiedzialność za ludzi, którzy pojawiają się na zdjęciach. Spędzam z nimi dużo czasu jeszcze zanim zacznę robić zdjęcia. Dla mnie ważny jest komfort. Chcę by bohater/ka czuł/a się swobodnie ze mną, a ja z nim/nią. Słucham tego o czym do mnie mówią, a również opowiadam dużo o swoich przeżyciach. Z rodzinami w projekcie *Lost* czasami rozmawiałam po kilka godzin nim weszłam do pokoju. Często rodziny nie mają z kim porozmawiać o swoich zaginionych bliskich. Ten projekt był dla mnie bardzo trudny emocjonalnie. Dużo płaczu było podczas tych spotkań. Każda z rodzin podkreślała, że nie ma nic gorszego niż brak świadomości tego, co się dzieje z ukochaną osobą. Każdy sms, mail, list, telefon, dzwonek do drzwi... napawa ich nadzieją że to właśnie on/ona. Poszukiwanie osoby zaginionej przechodzi z pokolenia na pokolenie. Szuka się do końca.

Miejsce prezentacji również nie zawsze jest typowe.

Myślę, że każdy projekt ma dla siebie dobrą przestrzeń. Miejsce dla wystawy *Tacy jak Ty* to właśnie przestrzeń publiczna. Dzięki temu może ją zobaczyć jak największa liczba osób. Do galerii czy na festiwalach przychodzą osoby nastawione na obcowanie ze sztuką. W przestrzeni publicznej trafiam do wszystkich, którzy zechcą się zatrzymać i przeczytać. Jednak są też projekty, które w przestrzeni publicznej nie sprawdzą się. Dlatego przy tworzeniu kolejnych cykli zawsze myślę o sposobie ich prezentacji.

Pamiętam wykład z kulturoznawstwa, który stawał przewrotną tezę, że dzieci są „do zjedzenia”? Tego szuka *Reborn*?

Projekt *Reborn* opowiada o przedmiotach, lalkach, do złudzenia przypominających niemowlę, przez co posiadających niesamowitą „moc” terapeutyczną. Przyszła niemowlęcia uwalnia w człowieku endorfiny (hormony szczęścia). Zaskakujące jest, że zjawisko to ma miejsce również w przypadku tych lalek. Oczywiście nie każdy odbiera je w ten sam sposób. Istnieje również hipoteza naukowa „Dolina niesamowitości”, która mówi o tym, że robot

wyglądający bądź funkcjonujący podobnie jak człowiek, wywołuje u obserwatorów strach, a nawet odrzę. Dlatego te lalki wywołują wiele kontrowersji wśród ludzi. Mnie natomiast zainteresował ich aspekt terapeutyczny.

Ciągle zatem poruszamy się w obszarze straty i jej przepracowania, oswojenia jej skutków, pogodzenia się z nią? Dostrzega Pani w swojej twórczości przeobrażenie się tego wątku?

Zdecydowanie w moich projektach strata się przeobraża, zmienia. Przyjmuje różne formy. Od straty rodzica, dziecka przez stratę kraju czy zdrowia psychicznego. Jeszcze wiele projektów przede mną. W większości z nich wątek straty będzie kontynuowany. **Angażuje Pani odbiorcę estetycznie i emocjonalnie, ale wydaje mi się, że w projekcie *Just like us* wprowadza Pani jak to mówią teoretycy nową praktykę sztuki. To przypomina mi prowokację Mariny Abramović i jej *The Artist is present*. U Pani też się „spotykamy”.**

Dziękuję. Takie było właśnie moje zamierzenie. Niestety problem stigmatyzacji osób z chorobami psychicznymi jest w naszym społeczeństwie nadal obecny. Zastosowanie luster zasłaniających twarze ludzi zmagających się z chorobami psychicznymi ma charakter angażujący widza. Lustra nie tylko chronią bohaterów tego cyklu, bohaterów, którzy często po raz pierwszy zgodzili się opowiedzieć o swoich zmaganiach żeby pomóc innym... ale również stawiają widza twarzą w twarz ze sobą. Gdy widzimy swoją twarz w ich twarzy już nie jest tak łatwo nam oceniać. Możemy się wiele nauczyć z historii towarzyszących tym zdjęciom. Ja się naprawdę dużo dowiedziałam. Każde spotkanie było dla mnie niesamowicie pouczające i poruszające. Chyłę czoła przed wszystkimi, którzy zgodzili się wziąć udział w tym projekcie. To wymagało nie lada odwagi. Mam również nadzieję, że odbiorcy wynieśli z wystawy dużo cennych informacji, przede wszystkim, że warto walczyć o siebie i nie bać się prosić o pomoc.

Ten projekt ma coś w sobie z pomysłu Emmanuela Levinasa, który w twarzy drugiego lokował kształtowanie się naszej tożsamości?

Dziękuję za tę sugestię! Bardzo trafny i idealnie wpasowując się w ten projekt pogląd! **Czy reakcje na Pani prace Ślązaków, Polaków, Europejczyków itd. są zasadniczo różne, czy mamy jakiś wspólny poziom „wizualnej” wrażliwości?**

To naprawę trudno ocenić. Swoje prace wystawiałam w Polsce i zagranicą i reakcje wszędzie były inne. W przypadku wystawy *Lost* w Szwecji, ludzie nie mogli się napatrzyć na kolorowe ściany w pokojach. Z 15 zdjęć tylko 1 pokój miał białe ściany. Ja nigdy bym o tym nie pomyślała, bo to normalne, że w polskich domach królują kolory. Dla nich natomiast było to bardzo ciekawe. Natomiast w przypadku projektu *Reborn* odbiorcy w Polsce nie mogą uwierzyć, że wszystkie bohaterki i lwia część projektu

są właśnie z Polski. Także bardzo ciekawe jest obserwowanie odbiorców swoich prac. Każdy filtruje je przez swoje pochodzenie i wrażliwość.

Wspomniała Pani o nagrodach. Gdzie doceniono już Pani twórczość? Którą z nagród ceni Pani najbardziej?

Nie jestem fanką chwaleń się swoimi nagrodami i osiągnięciami. Oczywiście jest mi bardzo miło i dodaje mi skrzydeł, gdy moje projekty są doceniane. Daje mi to „kopa” do dalszej pracy, ale tak naprawdę biorę udział w konkursach i festiwalach by te projekty trafiły do jak największej liczby odbiorców. Nagrody są dla mnie zdecydowanie mniej ważne. Najważniejszą jest World Press Photo. Do dziś trudno mi uwierzyć, że zostałam nagrodzona w najważniejszym konkursie fotografii prasowej na świecie. Po drodze również było dużo ważnych konkursów, takich jak *Ideas Tap & Magnum Photos*, dzięki któremu miałam budżet na rozpoczęcie projektu *Reborn* i odbyłam kilkumiesięczny staż w Agencji Magnum w Nowym Jorku. To dopiero było niezwykle doświadczenie! Praca w legendarnej agencji, spotkania z fotografami, o których uczyłam się na filmówce, obcowanie z archiwami... no i niesamowity Nowy Jork! Dla mnie również ważne są warsztaty. Cały czas staram się dokształcać i poszerzać swoje horyzonty. Miałam ogromne szczęście brać udział w wielu niesamowitych warsztatach, do których zapraszano lub nominowano tylko nielicznych. Każde spotkanie, każdy wykład był dla mnie na wagę złota. Nie ustaję w tych szkoleniach. Świat sztuki, mediów i fotografii zmienia się dynamicznie i ważne jest by być na bieżąco.

O czym będzie kolejny projekt?

Na razie to jeszcze tajemnica, ale na początek roku wszystko się wyjaśni.

Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.

Karolina Jonderko, ur. 1985 w Rydułtowach. Córka górnik i nauczycielki muzyki. Członkini Agencji Napo Images. Absolwentka fotografii na wydziale operatorskim w Szkole Filmowej w Łodzi. Laureatka wielu prestiżowych nagród m.in. World Press Photo 2021 czy Magnum & Ideas Tap Award, dzięki któremu odbyła staż w redakcji agencji Magnum Photos w Nowym Jorku. Swoje działania fotograficzne koncentruje na długoterminowych projektach. Większość z nich dotyczy zjawiska straty i wiążących się z nią następstw – te zagadnienia odnajdziemy w cyklach *Autoportret z matką*, *Zaginieni*, *Reborn* i *Mała Polska*. Wychodząc od własnych doświadczeń, autorka rozszerza perspektywę o innych ludzi zmagających się z problemem straty – najbliższych, miejsca, tożsamości. W swojej pracy przykłada niezwykłą wagę do zbudowania osobistej więzi z bohaterami.

Wielki Mistrz Festiwalu Filmowych i jego unikatowa kolekcja

JAN MALICKI

Gdy bierzemy do rąk jakikolwiek grudniowy periodyk, to spodziewamy się w nim znaleźć niemal wyłącznie teksty rocznicowe, przypominające, sumujące, reinterpretujące to, minione. Bo to i grudzień; i powtarzalny zazwyczaj rytuał obchodów oficjalnych, lub tych mniej znanych, lokalnych, ale za to sprzed wielu dekad; i ocean wspomnień osób uczestniczących w nich lub już tylko znających je z drugiej ręki. *Relata refero*, ktoś rzekł, a jednak oceniających tych „projaruzelskich” i tych „antyjaruzelskich” zawsze jednak kończonych konkluzją: „wtedy” – „dziś”. A wówczas niczym dalekie echo powraca fragment Miłoszowej „Doliny Issy” poświęcony losom Hieronima Surkonta, który „do końca nie wiedział, czy postąpił tak, jak był powinien”. Zatem – zgodnie z wymogami krytykowanego przez Norwida „jubileatyzmu” – nie rozpocznę tak: „dokładnie 40 lat temu, w pamiętnym roku 1981...”. Piszę bowiem o człowieku i jego niezwykłych, wręcz unikatowych zbiorach; o człowieku, na którym tamte lata odcisnęły silne piętno, a który jednak dla realizacji swojej pasji, poświęcił całe swoje ustabilizowane życie młodego nauczyciela bielskiego liceum i Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych, absolwenta Politechniki Wrocławskiej z roku 1969, magistra inżyniera „ze specjalnością chemicznej technologii ropy i gazu ziemnego”; erudyty językowego, znawcy angielskiego, francuskiego, niemieckiego i włoskiego, w którym to języku z czasem pisywał recenzje filmowe. Zamiast mozolnego wspinania się po szczeblach kariery, wybrał realizację swojej pasji, która go w pełni ogarnęła, całkowicie pochłonęła, unicestwiła.

Benicjusz Jan Nycz (ur. 18 czerwca 1944 roku) do Katowic często przyjeżdżał z Bielska, głównie do mitycznego dziś Klubu Filmowego Kino-Oko. Bywał też oczywiście na równie magicznych „Konfrontacjach”, wielkim przeglądzie światowych bestsellerów filmowych w kinach „Kosmos” i „Rialto”, do których dostać się było niezwykle trudno. Może łatwiej na seanse poranne i przedpołudniowe, ale i tak kolejki po bilety były

przeogromne. Nic dziwnego, że przez ten jeden, jedyny tydzień w roku, sale wykładowe uczelni świeciły pustkami, a wychowawcy w szkołach zasypywani byli zwolnieniami lekarskimi. Już wtedy był postacią rozpoznawalną i wyrazistą w środowisku miłośników kina. Korespondował wszak z takimi instytucjami, jak: Direction Des Affaires Culturelles, Le Musee De La Mode Et Costume Paris, czy London Weekend Television. W PRL-u. O ile w początkowym okresie kontakty były dość przypadkowe, o tyle od początku lat 70. korespondencja była już nad wyraz obfita. Szczególnie z okreadnym związków Benicjusza Nycza z legendarnym bielsko-bialskim Klubem Filmowym „Fafik”.

Do Wiednia wyjechał zapewne podczas wakacji 1981 roku. Szybko, dzięki znajomości języka, znalazł zatrudnienie jako bileter w Muzeum Filmu. Przypomnijmy na marginesie – to niespełnione marzenie Ludwika Jerzego Kerna (tak!). W momencie ogłoszenia stanu wojennego do kraju już nie wrócił. Nie wiem, czy doświadczał losów emigranta, znanego nam choćby z tekstów Janusza Głowackiego lub Sławomira Mrożka. Tego etapu w naszych rozmowach nigdy nie wspominał. Mówił natomiast o swoich filmowych wędrówkach, których szlak wyznaczają zachowane akredytacje i wizytówki lub jedynie autografy znakomitości filmowych składane na różnych programach festiwalowych. A zachowało się 136 akredytacji prasowych i wejściówek dla gości festiwalowych, przekazanych do naszych zbiorów. Zasadą uczestniczenia w imprezach filmowych była praca, jaką wykonywał na rzecz festiwalu. Utrzymywał się i zdobywał fundusze na książki, pracując. Jak sam mówił: „za wikt i opierunek”. A był on na wszystkich europejskich festiwalach lat 80., zbierając książki, plakaty, fotosy gwiazd z ich autografami. Po powrocie do kraju na początku dziewiętej dekady poprzedniego stulecia nie porzucił swojej pasji; już w lutym wyruszył do Berlina, by wrócić do Bielska dopiero w listopadzie. Ciężko choroby. Jedyne w tym jednym jedynym roku przebywał na festiwalach m.in. w Can-

nes, Nantes, Amiens, Rotterdamie, Lorcarno, Berlinie, Biarritz, San Sebastian. Los sprawił, że była to już ostatnia wyprawa Wielkiego Mistrza Festiwalu Filmowych. Jeszcze wiele miesięcy po jego śmierci do małego domku, na pięterko trafiły książki z różnych stron świata; z Genui, Bordeaux, Oslo, Luksemburga, Rzymu. Kupując i zdobywając materiały Benicjusz Nycz najpierw gromadził je na polskich parafiach, potem wędrowały one przygodnym transportem do Polski. Najwięcej trafiło owych materiałów z Włoch, z parafii św. Stanisława. Naiwnie wierzył, iż za sprzedany unikatowy księgozbiór niedostępnych w kraju pozycji, kolekcję autografów, plakatów, filmów uda mu się zabezpieczyć swój codzienny byt. Na długo. Niesamowite wrażenie robił pokój wypełniony mniej więcej na metr wysokości, a pełen książek. Tylko trzy ścieżki wyznaczały znaki ludzkiego życia: do stołu, do łóżka i do drzwi. Niczym w salonie Marii Janion. Ale tak bogatego księgozbioru specjalistycznego, nikt już nie chciał. Powtórzył się przypadek zbioru prof. Henryka Markiewicza. Na szczęście trafił on do Szczecina. Kolekcja filmowa Benicjusza Nycza, już po jego śmierci, tak jak się umawiałem, znalazła się w październiku 1999 roku Bibliotece Śląskiej. Już same liczby porażają; ok. 20 000 woluminów i jednostek; w tym 9 700 wol. wydawnictw zwartych; 4 258 czasopism, biuletynów i wydawnictw ciągłych; 3 000 plakatów z czasów polskiej szkoły plakatu (Franciszek Starowieyski, Waldemar Świerzy, Eryk Lipiński, Jan Lenica), 600 fotosów z autografami, 200 wyjątkowo cennych, bo niespotykanych w innych miejscach, przedwojennych programów filmowych. Nie sposób jest więc opisać tu do dziś niespotykane w polskich bibliotekach rozprawy naukowe, trudno dostępne nawet w miejscach ich wydania. Często tak egzotycznych, jak Ameryka Łacińska, Afryka, Australia, Azja. Nie mówiąc już o naszym kręgu kulturowym – europejsko-amerykańskim, a dotyczących dziś wielkiej historii kina światowego (Ingmar Bergman, Federico Fellini, Alfred Hitchcock, Stanley Kubrick, Steven Spielberg, Roberto Rossellini, Roman Polański, Andrzej Wajda), a w tym i gwiazd zbioru legend światowego filmu (Marlon Brando, Humphrey Bogart, Brigitte Bardot, Charlie Chaplin, Marlena Dietrich, Kirk Douglas, Katharine Hepburn, Anthony Quinn, Romy Schneider...).

Za ocenę Nyczowej kolekcji, Wielkiego Mistrza Festiwalu Filmowych, niech służy niemy zachwyt i rezydencja stała w naszej czytelni, jednego wybitnych z krakowskich profesorów – filmoznawców. Byłem tego świadkiem. ■

Najwytrwalsi

KAROL CHWASTEK

Gdy wprowadzono stan wojenny, nic nie wskazywało, że w kopalni „Piast” wybuchnie strajk. W niedzielę 13 grudnia 1981, członkowie Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przybyli na kopalnię, by porozmawiać z dyrektorem o nowej sytuacji. Nie zastawszy go, przyjechali ponownie o godzinie 19.00. Na miejscu czekała już milicja.

Działaczy przewieziono do Komendy Miejskiej MO w Tychach, gdzie internowano zastępcę przewodniczącego – Eugeniusza Szelańskiego. 14 grudnia górnicy pierwszej zmiany zjechali na dół i rozpoczęli pracę. Dopiero gdy wśród pracujących rozeszła się informacja o zatrzymaniu Szelańskiego atmosfera pogorszyła się. Iskrą, która doprowadziła do rozpoczęcia strajku była postawa pracujących w kopalni „Piast” robotników Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Mysłowicach. Ci, gdy dowiedzieli się o internowaniu swojego przewodniczącego – Stanisława Dziwaka, spowodowali przerwanie pracy na poziomie 650. Prym wśród pracowników z Mysłowic wiódł Stanisław Trybuś.

Pod koniec I zmiany załoga była już przekonana o konieczności podjęcia strajku. Około trzystu górników zostało pod ziemią. Reszta wyjechała na powierzchnię i zaczęła gromadzić się w budynku cechowni. Chaos pogłębiła przybyła do kopalni II zmiana. Część osób rozpoczęła zjazd na dół, pozostali natomiast gromadzili się na wiecu w budynku cechowni.

O godzinie 16.00 delegacja z kopalni pojechała do Urzędu Miejskiego w Tychach, informując o wrzeniu załogi spowodowanym internowaniem Szelańskiego. Komisarz wojskowy miasta postawił warunek, że w przypadku uspokojenia sytuacji w „Piaście” Szelański zostanie zwolniony. Sytuacja pozornie uspokoiła się. Część robotników rozeszła się do domów.

Strajk

Tymczasem pod ziemią wciąż ważyły się losy strajku. O 21.00 członkowie Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” na polecenie dyrektora zjechali na dół, aby przekonać górników do wyjazdu. Część protestujących skwitowała to gwizdami. Nagle okazało się, że ktoś dopuścił do zjazdu III zmiany. Dodatkowo kilkaset osób zeszło do strajkujących przedziałem dra-

binowym. W sumie na poziomie 650 znajdowało się ponad dwa tysiące osób. Członkowie Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”, którzy zjechali do strajkujących w celu uspokojenia załogi, uzależnili swój wyjazd na powierzchnię od decyzji załogi. Większość znajdujących się pod ziemią górników solidarnie podjęła decyzję o strajku.

W obawie przed zjazdem niepożądanych osób górnicy postanowili zablokować wszystkie szyby wyjazdowe oprócz szybu osobowego numer 1. Dzięki temu każdy, kto chciał, mógł wyjechać na powierzchnię. W dół zjeżdżali natomiast fachowcy, a także obsługa szybu, pomp i rozdzielni. W okolicy szybu wyznaczono warty. Do prowizorycznej obrony przed niepożądanymi gośćmi wykorzystano znajdujące się w pobliżu gaśnice i hydrant.

Warunki panujące w kopalni na poziomie 650 były trudne. Temperatura wynosiła ledwie kilka stopni powyżej zera. Problemem stawało się utrzymanie higieny. Górnicy dysponowali jedynie improwizowanym prysznicem z zimną wodą z hydrantów lub rurociągów. Tam prano też części górniczej garderoby.

W pierwszych dniach strajku – dzięki ofiarności rodzin – na poziom 650 zjeżdżała ogromna ilość żywności, którą składowano w przyszybowej poczekalni. Jedzenia było tak dużo, że to pomieszczenie strajkujący nazwali „Baltoną”. Łączność z rodzinami zapewniały górnikom telefony, znajdujące się w pobliżu szybu. Informacje o sytuacji na powierzchni górnicy mogli czerpać także dzięki listom i prasie przywożonej wraz z żywnością.

W celu skomunikowania blisko dwóch tysięcy strajkujących wykorzystano Górnicze Telefony Lokalne (GTL). Elektrycy obecni na dole wyeliminowali konieczność łączenia się przez centralę, podpinając telefony szeregowo. Poza wymianą informacji – sieć GTL służyła do zapewnienia rozrywki. Za jej pośrednictwem opowiadano dowcipy, śpiewano piosenki. Bardziej uzdolnieni organizowali także występy kabaretowe.

Rozpoczynając strajk pod ziemią, górnicy wzięli na siebie odpowiedzialność za stan techniczny kopalni. Z korytarzy i chodników trzeba było wypompowywać wodę. Wysoki poziom zasolenia powodował większą awaryjność urządzeń elektrycznych. Nieużywane przez kilka dni – mogłyby ulec zniszczeniu. Ze względu

na działalność górotworu, ściany co kilka godzin trzeba było odświeżać poprzez dokonanie skrawu. Strajkujący wykazywali się tutaj dużym poświęceniem. Zabezpieczenie kopalni prowadzono przez cały czas trwania strajku.

Optymistyczny nastrój strajkujących z pierwszych dni pogorszyła informacja o pacyfikacji kopalni „Wujek”. Jak wspominał Zbigniew Bogacz: *właściwie powstała teraz taka sytuacja, że jedni strajkują, bo chcą, a drudzy ze strachu przed represjami, które mogą osiągnąć ich na górze. Atmosfera robi się dość twarda i taka zdecydowanie się utrwała.*

Część górników była zdania, że skoro władza w brutalny sposób rozprawia się z górnikami, należy sięgnąć po odpowiednie środki obrony i zabrać ładunki wybuchowe z komory na poziomie 500. Po długich i burzliwych dyskusjach strajkujący jednak odeszli od tego pomysłu.

Ze względu na ekstremalne warunki, od 19 grudnia na dół zaczęli zjeżdżać lekarze, którzy kontrolowali zdrowie załogi. Poza przypadkami przeziębień, nie stwierdzono jednak poważniejszych chorób. Pomimo uspokajających raportów lekarzy, media rozsiewały plotki o złym stanie zdrowia strajkujących i grożącej epidemii.

Już w pierwszych dniach strajku w gabinecie dyrektora kopalni „Piast” zaczął działać sztab, złożony z przedstawicieli resortu górnictwa i wojskowych. Później dołączył do niego zastępca szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego płk Piotr Gębka, który brał udział w pacyfikacji kopalni „Wujek”. 21 grudnia skierowano do kopalni komisarza wojskowego. Wszelkimi dostępnymi metodami starano się zakończyć strajk. Rokowania z górnikami nie przynosiły jednak efektu.

19 grudnia na prośbę dyrekcji kopalni do strajkujących udali się trzej księża. Kierownictwo kopalni uprzedzało ich o panującym na dole terrorze i prosiło duchownych o wpłynięcie na strajkujących, aby przerwali strajk. Wrażenia z pobytu pod ziemią ks. Franciszek Resiak przedstawiał przed sądem: *mówiliśmy, by nikt pod przymusem nie pozostawał w kopalni. Górnicy jednak twierdzili, że pozostają na dole dobrowolnie i nikt do niczego ich nie zmusza. [...] Nie stwierdziłem, by stosowano wobec górników środki przymusu. Z księżmi na powierzchnię wyjechało jedynie dwadzieścia osób.*

Członkowie sztabu, widząc, że wizyta duchownych nie przyniosła oczekiwanego

rezultatu, postanowili zmienić taktykę działania w stosunku do strajkujących.

Rozpoczęto wstrzymywanie dostaw żywności, by 23 grudnia wprowadzić całkowitą blokadę. Dotychczas obfite zapasy w „Baltonie” zaczęły się kurczyć. Strajkującym doskwierał głód.

Na dół przestano wysyłać naładowane lampy. Stwarzało to problemy z zabezpieczeniem kopalni. Zbigniew Bogacz w burzliwych rozmowach telefonicznych z dyrekcją mówił, że wobec braku lamp strajkujący nie ponoszą odpowiedzialności za ewentualne straty. Wkrótce elektrycy obecni na strajku zaimprovizowali podziemne ładowarki, co starczało jedynie na doraźne prace zabezpieczeniowe.

Wobec niezłomnej postawy strajkujących, władze nasiliły działania propagandowe. W ogólnopolskich mediach pierwszą informację o strajku w KWK „Piast” podano 21 grudnia. Strajkujących przedstawiano jako więźniów przetrzymywanych na dole przez solidarnościową ekstremę. Rozpoczęto cenzurowanie korespondencji docierającej do górników. Rodziny, straszone na powierzchni przez funkcjonariuszy SB, starały się nakłonić górników do przerwania protestu. Zdarzało się, że do rozmów telefonicznych ze strajkującymi dopuszczano podstawionych ludzi. Górnicy przestali ufać jakimkolwiek informacjom przysyłanym na dół.

W Wigilię do strajkujących zjechał bp Janusz Zimniak. Dzięki telefonistom z powierzchni – o północy na dole wysłuchano radiowej transmisji pasterki z Warszawy. Tego samego dnia strajkujący dowiedzieli się o przerwaniu strajku w sąsiedniej kopalni „Ziemowit”. Chcąc zdobyć żywność po strajkujących w leździńskiej kopalni, wysłano tam kilkanaście osób. Okazało się jednak, że wszystkie przejścia podziemne zostały wcześniej zasypane z polecenia dyrekcji kopalni.

26 grudnia w wyniku zmęczenia fizycznego i psychicznego strajkujący górnicy rozpoczęli negocjacje z kierownictwem kopalni na temat zakończenia strajku. Górnicy domagali się zagwarantowania bezpieczeństwa dla strajkujących, zapewnienia opieki lekarskiej oraz zagwarantowania ciągłości zatrudnienia w kopalni.

Rano 28 grudnia na powierzchnię do gabinetu dyrektora udała się 6-osobowa delegacja załogi. Górnicy przedstawili jedenaście postulatów. Do przyjęcia był jedynie ten gwarantujący bezpieczeństwo dotarcia do mieszkań przez strajkujących. Po kilkugodzinnej dyskusji, załoga zgodziła się zakończyć strajk.

Wyjazd wyznaczono na godzinę 19.00. Gdy pierwsza grupa wsiadała do szybu, zgromadzeni górnicy zaintonowali hymn górniczy i narodowy. Po umyciu się w łaźni oraz przebraniu, górnicy zostali poddani kontroli lekarskiej. Następnie udano się pod obraz św. Barbary, gdzie dziękowano za szczęśliwe wytrwanie pod ziemią.

W drodze do podstawionych autobusów zakładowych na górników czekał wzruszony tłum rodzin.

Proces

Wieczorem, po zakończeniu strajku, doszło do pierwszych aresztowań osób wskazanych przez SB. Łącznie zatrzymano osiemnastu górników. Jedynie Stanisław Trybuś, rzeczywisty inicjator strajku, uniknął aresztowania i ukrywał się aż do zawieszenia stanu wojennego. Do procesu, prowadzonego w trybie doraźnym, przystąpiono błyskawicznie. Przesłuchania rozpoczęły się już kolejnego dnia po zakończeniu strajku. W celu wydobywania obciążających zeznań funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa stosowali środki przymusu: przesłuchiwanym grożono bronią i bito. Ostatecznie aktem oskarżenia objęto jedynie siedem osób. Dzień przed rozpoczęciem procesu pozostałych jedenastu aresztowanych internowano.

Proces ruszył pod koniec stycznia 1982. Jednym z obrońców został znany mecenas Jerzy Kurcysz. Przewodniczącym trzysobowego składu orzekającego był płk Józef Machański. Proces odbił się dużym echem w Polsce. Prasa szeroko rozpisywała się o aresztowanych jako o „bezwzględnych i zdeterminowanych” terrorystach. Oskarżonych na salę rozpraw wprowadzał liczny oddział wojska, a ulice wokół sądu obstawiono wojskiem i milicją.

Proces nie przebiegał jednak po myśli władzy. W trakcie jego trwania zdecydowana większość świadków zmieniła swoje zeznania złożone w śledztwie. Górnicy tłumaczyli to przymusem, stosowanym w trakcie przesłuchań, podważając tym samym wiarygodność materiału dowodowego przeciwko oskarżonym.

Wobec takiego obrotu sprawy, oskarżyciele nie umieli udowodnić, że oskarżeni faktycznie przewodzili strajkowi. Sąd – na wniosek prokuratora – zwrócił sprawę do prokuratury w celu uzupełnienia dowodów aktu oskarżenia. Sprawa została zwrócona na ponad dwa miesiące do Wojskowej Prokuratury Garnizonowej.

Druga część procesu trwała od kwietnia do maja 1982 roku. Zmienił się również skład orzekający. Nowym przewodniczącym został kpt. Józef Medyk. Zeznania składane przez świadków po raz kolejny podważały metody śledczych oraz przedstawiały represje stosowane przez władze wobec strajkujących. Pomimo kolejnego obalenia materiału dowodowego, prokurator zażądał w stosunku do zatrzymanych od 10 do 15 lat pozbawienia wolności.

Wyrok ogłoszono 12 maja 1982. Ku zdumieniu wszystkich, kpt. Medyk umorzył oraz uniewinnił oskarżonych od zarzucanych im czynów. Na polecenie sądu jeszcze tego samego dnia górnicy zostali zwolnieni z aresztu. Aparat bezpieczeństwa jednak nie dał za wygraną. Już następnego dnia internowali wszystkich siedmiu uniewinnionych. Ponadto dyscyplinarnie zwolniono z pracy ponad 1000 górników, biorących udział w strajku.

Zbigniewa Bogacza, jednego z przywódców strajku zwolniono z internowania jako jednego z ostatnich – 11 grudnia 1982. Ze względu na strajk w „Piaście” przez wiele lat nie mógł on znaleźć pracy. Angażował się w działalność konspiracyjną, drukował i kolportował ulotki oraz gazety z drugiego obiegu. Wpadł w maju 1985 roku. Z więzienia wyszedł na mocy amnestii we wrześniu następnego roku. W 1987 roku wyemigrował do USA. ■



KWK Piast 1975, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Hurra, prezenty!

TOMASZ BIENEK

Dla dzieci czas Bożego Narodzenia to moment niezwykle i magiczny. Ciepło rodzinnego ogniska, odświętnie zastawiony stół, wypatrywanie pierwszej gwiazdy na niebie, choinka błyszcząca ozdobami i pełna uroczystego nastroju atmosfera Wigilii z czasów dzieciństwa pozostaje w pamięci każdego z nas. Dla dzieci wigilijny wieczór miał i ma także ten szczególny i wyczekiwany przez najmłodszych aspekt – prezenty pod choinką, a wśród nich te najbardziej upragnione, czyli przynoszące radość przez kolejne miesiące a czasem nawet lata nowe, wymarzone zabawki.

W czasach przed stu, stu pięćdziesięciu laty obdarowywanie dzieci zabawkami wiązało się głównie z czasem Bożego Narodzenia. Wynikało to z faktu, iż przedmioty te, wykonywane z wielką pieczołowitością, często ręcznie, przy użyciu drogich materiałów, były na tyle kosztowne, iż większość rodziców kupowało swoim pociechom zabawki dosłownie „od święta”. Stąd właśnie zwyczaj obdarowywania się prezentami w Boże Narodzenie wiązał się z otrzymaniem pięknej, pachnącej nowością, niesamowitej zabawki. Dziś zabawki, które otrzymywali w prezentach pod choinką nasi dziadkowie i pradiadkowie, to nie tylko okrusz ich wspomnień z czasów dzieciństwa, ale też istotna gałąź kolekcjonerstwa artefaktów z przeszłości. Podobnie jak stare meble, dzieła sztuki, dawne militaria, także stare zabawki osiągają zawrotne ceny na antykwarycznych aukcjach, a kolekcje tych przedmiotów warte są fortuny.

Masowa produkcja zabawek pojawiła się wraz z rewolucją przemysłową. Wcześniej rzecz jasna dziecięce zabawki też istniały – ale w przypadku dzieci wiejskich były to raczej lepione z gliny lub strugane przez starsze osoby z drewna figurki zwierząt i ludzi, prymitywne grzechotki lub rozmaite szmaciane gałgany dostosowane do różnych potrzeb. Misternie wykonane przez rzemieślników, mistrzów swojego fachu, zabawki trafiały do rąk dzieciaków szlachetnie urodzonych, a to też niezbyt często. Dopiero rozwój przemysłu w połowie XIX wieku pozwalający na masowe dostarczanie różnego rodzaju przedmiotów użytkowych, spowodował także rewolucję na rynku zabawek, czyniąc te do-

bra znacznie bardziej dostępnymi, choć jeszcze przez długie dekady dla dzieci z mniej zamożnych domów najczęściej wykorzystywanymi w zabawie rekwizytami były najróżniejsze patyki, szyszki i inne znalezione przypadkowo przedmioty, adaptowane przez nich nieograniczoną dziecięcą fantazją do rozmaitych ról.

Produkowanych przemysłowo zabawek było jednak coraz więcej, a szybko o ten sektor rynku zaczęły walczyć powstające jak grzyby po deszczu manufaktury i wytwórnie. Wzrost zamożności społeczeństw wiązał się z większymi możliwościami nabywczymi rodziców, którzy przynajmniej na Boże Narodzenie starali się kupić pociechom jakiś przedmiot do zabawy.

Na przełomie XIX i XX wieku w przemyśle zabawkarskim, bo o takiej gałęzi można już mówić w tym okresie, pojawiły się główne, wiodące nurty. Istniały fabryki lalek, szwalnie, w których wykonywano pluszowe misie, działali wytwórcy żołnierzyków, a wraz z rozwojem cywilizacji i nowych zdobyczy techniki, z racji faktu, iż świat zabawkowy był wówczas odpowiedzią na dziecięce, iluzoryczne wyobrażenie świata dorosłych, z czasem pojawiły się w produkcji miniaturowe kolejki, zabawkowe automobile czy aeroplany, statki i okręty. Należy tu wspomnieć o niesamowitej pieczołowitości wykonania ówczesnych zabawek. O ile spora część dostępnych obecnie przedmiotów o tym przeznaczeniu, to tak zwana „chińszczyzna” wykonywana z byle jakiego tworzywa sztucznego, to ówczesne zabawki były swojego rodzaju dziełami sztuki użytkowej. Lalki ubierane były w kompletną garderobę – poza sukienką posiadały też miniaturową bieliznę, szyte ręcznie buciki i rękawiczki, mufki i wołaki oraz wszelkie dodatki, które w realnym świecie wychodząc z domu ubierały na siebie ich właścicielki. Producenci lalek wykonywali dopracowane w każdym szczegółzie domki, wyposażone w miniaturowe meble, piece, garnki, wanny. Nakręcane na kluczyk samochodziki jeździły, wykonywały rozmaite funkcje i były dokładnymi kopiami pierwowzorów. Z zabawkowych parowozów buchał prawdziwy dym i ogień, miniaturowe armaty strzelały miniaturowymi pociskami

i niejeden współczesny psycholog dziecięcy złapałby się za głowę, widząc ówczesne możliwości, jakie oferował dzieciakom świat ich zabawek.

Zabawki miały jednak zawsze wpisane w swój los pewne fatum – niezależnie od tego, jak bardzo rodzice uczyli swoje pociechy szanować te przedmioty, w toku zabaw, i realizowania najdłuższych nieraz dziecięcych pomysłów, zabawki szybko się psuły. Istniały oczywiście warsztaty, gdzie rozmaite usterki można było usunąć (jeszcze w latach 80. w Polsce działały gdzieś na uboczu prowadzone przez rozmaitych „prywaciarzy” tzw. „kliniki lalek”, w których pomimo nazwy reperowano też inne zabawki), jednak dla wielu zabawek kres nadchodził szybko. Nawet jeśli delikatne i roztropne obchodzenie się przez pierwotnych właścicieli przedłużyło żywot tego czy innego przedmiotu, to w chwili, gdy dzieci przestawały być dziećmi zabawki przekazywano młodszemu rodzeństwu, lub pociechom znajomych i z reguły kolejni użytkownicy „wykańczali” w zabawach i tak sterane przez los misie, lalki czy żołnierzy. Stąd też bierze się kolekcjonerski fenomen tych przedmiotów; dlatego właśnie osiągają one zawrotne ceny – powodem jest rzadkość występowania tych zabytków, a te zachowane w dobrym stanie to prawdziwe rarytasy. Na obecną unikatowość starych zabawek zapracowali w pocie czoła ich pierwotni właściciele, sprawdzając czy wypchany trocinami miś pływa w wodzie lub testując odporność na ogień celuloidowych figurek. Na marginesie warto wspomnieć, iż do lat 20. właśnie z celuloidu wykonywano bardzo wiele pięknych, ręcznie malowanych postaci zwierzątek, kominiarzy, świętych Mikołajów, błaznów, a także komponenty lalek, zwłaszcza główki – jednak ze względu na wyjątkową łatwopalność tego materiału, połączoną z powszechnym stosowaniem w przeszłości prawdziwych, palących się świeczek na bożonarodzeniowych drzewkach, wiele firm sukcesywnie wycofywało się z produkcji zabawek z tego materiału, wobec pożarów, jakie wybuchyły przy zabawach nowymi prezentami pod choinką rozświetloną świeczkami.

W pierwszych dekadach XX wieku wykształciły się pewne „ojczyzny” zabawek



W latach 70. i 80. tacy wrześniowi ulani prosto z kiosków Ruchu trafiali na pola bitew w piaskownicach i na placach zabaw. Dziś to poszukiwane przez kolekcjonerów relikty.



Przedwojenne pudełko kredek marki Harcerz.



Oryginalne opakowanie przeznaczone dla konkretnej zabawki znacznie podwyższa jej wartość. Na zdjęciu eksportowa zabawka z ZSRR – samochód terenowy UAZ 469 w oryginalnym pudełku.



Różne samochodziki – tzw. resoraki z lat 70. jeśli są zachowane w dobrym stanie, mogą być wiele warte.



Elastolinowi żołnierze z lat 20. Pojedyncza figurka, w zależności od stanu zachowania, jest warta od ok. 50 do ponad 100 zł.



– choć nie był to oczywiście sztywny podział. Z grubsza można jednak przyjąć, iż lalki wykonywano głównie we Francji. Jednym z potentatów w produkcji lalek była firma Francois Gauthier, działająca od lat 60. XIX wieku. Produkowała ona całe lalki, a także same główki dla innych manufaktur, takich jak Brasseur & Videlier, Dalloz, Doléac, Falck & Roussel, Gesland, Jullien, Petit & Doumoutier, Jumeau, Claude Prieur, Louis Léon Prieur, Rabery & Delphieu, Simonne, Thuillier i wielu innych. Należy jednak wspomnieć o innym gigancie lalkarskiej produkcji – firmie Armand Marseille, która działała w Niemczech, a założył ją emigrant z Rosji. Główki lalek – ich najdroższy element wykonywano początkowo z wosku, masy papierowej, potem z porcelany, biskwitu, celulozoidu. Rączki były z reguły drewniane, w większych modelach kończyny zginęły się we wszystkich stawach, nadając lalkom realności, a przy ich fabrykach działały całe pracownie krawieckie, szyjące garderobę. O niepowtarzalnym charakterze ówczesnych lalek świadczy to, iż poszczególnym modelom nadawano imiona własne, dziś w katalogach aukcyjnych pozwala to zidentyfikować konkretne postaci.

Większość zabawek militarnych i mechanicznych pochodziła z Niemiec, natomiast pluszowe misie wiązały się z Wielką Brytanią, o czym świadczy choćby ich angielska nazwa „teddy bear”, jak określają te zabawki kolekcjonerzy. Należy jednak wspomnieć, iż choć misie kojarzone są z anglojęzycznym obszarem świata, ich korzenie wywodzą się z Niemiec. W latach 80. XIX wieku Margarete Steiff, przykuta do wózka inwalidzkiego, własnoręcznie wykonywała dla dzieci rozmaite zabawkowe zwierzątka, sztyte z pluszu. Produkcja ta przekształciła się w firmę zabawkarską Steiff (istniejącą do dzisiaj), która zadebiutowała w 1903 roku na targach w Lipsku pluszowymi misiami. Maskotki podbiły serca amerykańskich gości, którzy złożyli zamówienia na wielkie ilości tych zabawek, a wkrótce za oceanem ruszyła amerykańska produkcja. Z kolei popularność pluszaków produkowanych w Anglii ugruntowały takie dziecięce lektury jak Kubuś Puchatek czy Miś Paddington.

Zabawki nigdy nie miały łatwego życia. Celulozoid płonął, pluszowe misie nie wytrzymały konfrontacji z czworonożnymi towarzyszami zabaw swoich właścicieli, ubrane w szykowne suknie miniaturowe damy o komponentach wykonanych z porcelany traciły głowy w przenośni i dosłownie, ale jako że świat dziecięcej zabawy jest kopią świata dorosłego, nic nie może się równać z ciężką dola żołnierzyków – najpierw cynowych i ołowianych, potem wykonywanych z mieszanek trocinowych i wiórowych, następnie z zapomnianych już tworzyw

jak elastolina, galalit, lineol, czy w końcu – z plastiku. I to właśnie świat zabawkowych żołnierzy, jest obecnie jedną z najbardziej poważnych płaszczyzn rynku i kolekcjonerstwa starych zabawek.

Pierwszym, który opisał niebezpieczeństwa „służby” małych żołnierzy, był Hans Christian Andersen, który w baśni „Dzielny ołowiany żołnierz” opisał los jednego z nich, który wraz ze swoimi towarzyszami, „urodził” się z tej samej, stopionej cynowej łyżki. Andersen, który opisał zachwyty obdarowanego żołnierzykami chłopca, opublikował swą baśń w 1839 roku, gdy produkcja zabawek była w powijakach. Kilka dekad później rozwój nowoczesnej armii, coraz lepszych karabinów, celniejszych armat przełożył się na początki XX wieku na przemysł zabawkarski, który dzielnie nadążał za rozwojem wojskowości. Wciąż mali chłopcy znajdowali pod choinką pudełka pięknie wykonanych, ołowianych lub drewnianych ręcznie malowanych żołnierzyków – lecz, o zgrozo – prawdziwy boom na militarne zabawki nastąpił po I wojnie światowej, choć żołnierzyków nie wykonywano już z ołowiu, uznane go za szkodliwy dla dzieci. W latach 20. chłopcy, którzy często w połowie byli już sierotami, gdyż utracili ojców na frontach Wielkiej Wojny, mieli do dyspozycji do słownie całe, miniaturowe armie. W tym samym czasie, „dorosły” świat nabierał oddechu po rzeziach I wojny światowej – przybywało nocnych klubów, ludzie bawili się do upadłego, celebrowano hedonizm, zyskiwały na popularności postawy pacyfistyczne. Te prawidłowości nie dotyczyły jednak świata zabawek – tam wojna wciąż trwała, producenci żołnierzyków wręcz prześcigali się w swoich ofertach. Na rynek trafiały malowane z pietyzmem, pięknie wykonane figurki żołnierzy, przy czym nie cofano się przed żadnymi frontowymi trywialnościami – produkowano żołnierzy rannych, obandażowanych, ale też o myjących się przy studniach czy piorących mundury w wiadrach. Istniały figurki trzymające w dłoniach prawdziwy reflektor z małą żaróweczką – wystarczyło podłączyć baterię z latarki i żołnierz oświetlał „pole bitwy”, a postaciom ludzi towarzyszyły miniaturowe konie, wozy i pojazdy.

W sklepach z zabawkami można było dokupić gotowe dioramy okopów – kwadraty 40 cm na 40 cm (lub o innych wymiarach), skopiowane, odlewane z gipsu lub elastoliny miniaturowe realnych pól bitewnych, z perfekcyjnie wykonanymi lejami po pociskach, zasiekami, rowami strzeleckimi – można było zestawiać je ze sobą i tworzyć zabawkowy front, ograniczony jedynie powierzchnią dziecięcego pokoju i zasobnością portfela rodziców.

Bardzo wiele z tych zabawek zostało zniszczonych w toku zabaw – ale jeszcze więcej zabrała kolejna wojna, praw-

dziwa. To kolejny powód wysokich cen tych elementów, które dotrwały do dnia dzisiejszego.

Po roku 1945 podejście do militarnych zabawek w zasadzie nie zmieniło się. Miniaturowi żołnierze, plastikowe karabiny, rewolwery „korkowce” były dla dzieci czymś normalnym, jednak w latach 60. psychologowie zaczęli krytycznie przyglądać się tym przedmiotom. Na zachodzie od 1978 roku obowiązywała uchwalona przez ONZ „Deklaracja o wychowaniu społeczeństw w duchu pokoju”. Lansowała ona pogląd, iż militarne zabawki uczą dzieci agresji. Pogląd ten przełożył się w praktyce na wycofywanie z produkcji takich przedmiotów lub celowo wykonywano je nieatrakcyjnie i niechlujnie, tak, aby szybko się psuły. Szwecja w ogóle zabroniła produkcji militarnych zabawek, w tym kraju zakazany jest także handel nimi.

Tymczasem kraje bloku socjalistycznego były skutecznie chronione przez „żelazną kurtynę” przed napływem tego typu idei. Militarne zabawki miały się świetnie zarówno w NRD, gdzie kontynuowano nawet produkcję elastolinowych figurek żołnierzy, w ZSRR, gdzie wytwarzano wielkie ilości bardzo dokładnie wykonanych z metalu dział i pojazdów pancernych w różnych skalach, jak i w komunistycznej Polsce. W PRL liczne figurki żołnierzy (głównie w okresie II wojny światowej, choć nie tylko, bo wykonywano także małych rycerzy, indian i kowbojów) wykonywały m.in. różne spółdzielnie inwalidów. W kioskach ruchu można było kupować całe zestawy lub pojedyncze sztuki, stąd popularna obecnie wśród kolekcjonerów starych zabawek nazwa „kioskowce”, określająca te figurki. Kioskowce są łatwe do rozpoznania ze względu na fakt iż są pomalowane, choć nie zawsze producentom udawało się idealnie odwzorować kolor munduru. W latach 80. w sprzedaży pojawiły się też rozmaite zestawy odlewanych z taniego plastiku żołnierzy, którzy były kopiami figurek takich zachodnich firm jak Airfix czy Matchbox. Z reguły kupowano na Zachodzie pudełko żołnierzyków, następnie na podstawie kilku z nich wykonywano własne formy i rozpoczynano produkcję. Zajmowali się tym rozmaici „prywaciarze”, a ich figurki można odróżnić od oryginałów mniejszą dokładnością detali, choć rzecz jasna postawy żołnierzy są takie same. Żołnierzyków tych nie malowano. Obecnie już nawet pojedyncze egzemplarze takich figurek mają kolekcjonerską wartość. Jednak poza wartością materialną, przedmioty mają też swój walor sentymentalny – dostarczały w pewnym okresie swojego istnienia wiele radości jakiemuś dziecku, kształtowały wyobraźnię, a może nawet – przyczyniły się do bardziej profesjonalnego zainteresowania się historią w późniejszych latach.

Nieuniknione

domy królów
pokryte złotym światłem gwiazdy

wspaniałe konstrukcje
na kradzionych fundamentach

twarde narodziła
z materii wydartej z pogardą

coraz rozleglejsze
kosztowne w utrzymaniu

grunt to
zakrzepła krew i blizny

tylko mętna ciemność otula
domy koralowców

Zabawki

Nie mogli dosięgnąć
wzięli patyk

Czuli chłód,
rozpalili ognisko

Byli samotni
położyli palec

na piasku

liściu

kamieniu

metal

dali mu swoje myśli

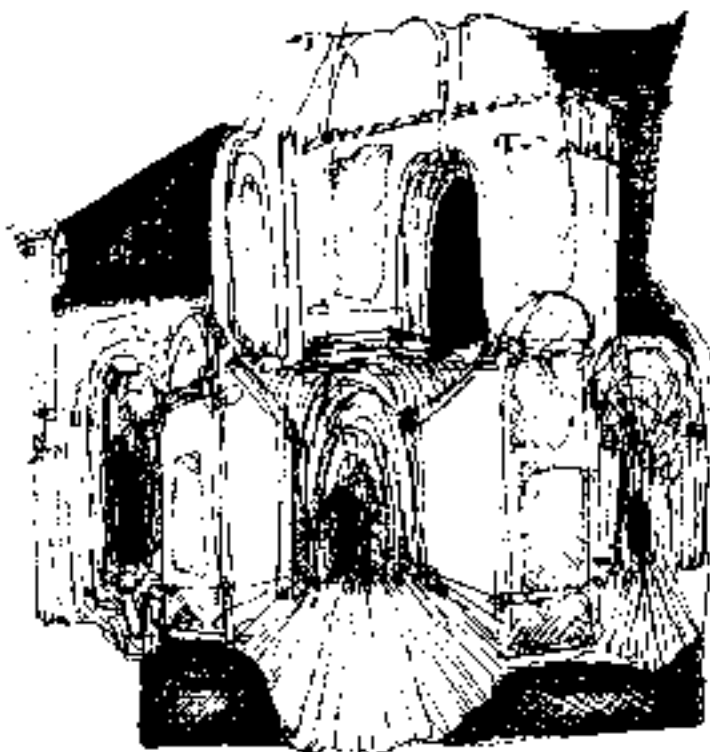
i zapytali boga

Czy zechcesz nas zniszczyć

bóg nie odpowiedział

nie nauczyli go

śmiechu



Pułapka z drzewa

Na odsłoniętej grani
zawsze widoczna ścieżka

Wokół bujne i soczyste
trawy
zarośla
las

jeśli w nie zboczyć
ciepło
bezpiecznie
nieruchomo

Pośród promieni ciemności
czas płynie wolniej
wiatr nie porusza liści
owady nie mącą ciszy

Cień zezwala spocząć
zapuścić korzenie
rozwinąć kwiaty

czekać
na owady

A gdy przyjdzie pora zmurszeć
udzielić się hojnie mchom
w nich wyschnąć

pozwoić grzybom rozłożyć
włókna
komórki

myśli

Już nie trzeba się piąć
walczyć z wiatrem
ochoczo wpadać
we własną pułapkę

pieczołowicie zastawioną

o krok od celu



Instytut Myśli Polskiej
Wojciecha Korfanteo

Niemiecki Korfanty

MICHAŁ SIKORA

W mroźny poranek, 9 grudnia 1918 r. peron stacji kolejowej w Kędzierzynie wypełnił się delegatami, opuszczającymi wagony pociągu. Wśród nich znaleźli się przedstawiciele: konserwatyistów z Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej, liberałów z Niemieckiej Partii Demokratycznej oraz socjaldemokratów z SPD. Przedstawiciele górnośląskiego spektrum politycznego udali się na konferencję do hotelu Proske, której gospodarzem był ksiądz prałat Carl Ulitzka – przewodniczący niemieckokatolickiej partii Centrum, której Górny Śląsk (obok Westfalii i Bawarii) był jednym z bastionów. Ulitzka urodził się w 1873 r. w Jaroniowie pod Głubczycami. Dorastał w Raciborzu, skąd wyruszył do seminarium we Wrocławiu. Studiował też eksternistycznie teologię w murach uniwersyteckich w Grazu. W 1897 r. przyjął święcenia kapłańskie. Był wikarym w Kluczborku, następnie proboszczem w Biernatowie, prałatem w Raciborzu i biskupem-rezydentem katedry we Wrocławiu.

Zaproszeń na organizowane przez Ulitzkę spotkanie nieprzypadkowo nie otrzymali komuniści i Wojciech Korfanty wraz z jego zwolennikami. Rosnąca w siłę frakcja radykalnej lewicy Ulitzkę przerażała, zaś Korfanty był śmiertelnym wrogiem w walce o utrzymanie na Śląsku pruskich wpływów. Wielu robotników domagało się bowiem przywrócenia terenów górnośląskich do odradzającej się Polski. Naczelnym adwokatem polskości był ówczesny poseł Wojciech Korfanty, który w Reichstagu 25 października 1918 r. powoływał się na plan pokojowy prezydenta Woodrowa Wilsona. Ów dokument w punkcie 13. postulował utworzenie państwa polskiego na obszarze zamieszkiwanym przez Polaków. Taki tok rozumowania stał w sprzeczności z interesami Ulitzki wraz z jego hotelowymi gośćmi, pragnącymi obronić wschodnie kresy niemieckich ziem przed polskimi zapędami do niepodległości. Receptą na te bolączki miała



źródło Wikimedia Commons

być, zdaniem duchownego, daleko posunięta autonomiczność Górnego Śląska. W wizji Ulitzki region stałby się przynależnym do Rzeszy osobnym państwem związkowym, którego językiem urzędowym byłby zarówno polski, jak niemiecki. „Republika Górnośląska” – na modłę etnicznie mozaikowatej Szwajcarii, czy walońsko-frankofilskiej Belgii – dystansowała by się od dyktatu Berlina, w którym władzę objęła lewica, szafująca antykościelne hasła, które nie spotkałyby się ze zrozumieniem górnośląskich obywateli miast i wsi, w przeważającej większości katolików. Wśród współtowarzyszy narady w Proske Ulitzka należał do mniejszości – reszta opowiedziała się za koncepcją utworzenia tymczasowego państwa śląskiego, które propagował na mocy tzw. rezolucji kędzierzyńskiej Komitet Górnośląski. Marzenie o separatyzmie ostatecznie pogrzebał traktat wersalski. Ulitzka, cieszący się opinią wybitnego znawcy problematyki górnośląskiej, uczestniczył w konferencji pokojowej w Wersalu. Mocarstwa Ententy ostatecznie uznały przeprowadzenie

na Górnym Śląsku plebiscytu pod międzynarodową kuratelą, któremu bezpieczeństwo zapewnią francuscy, brytyjscy i włoscy wojskowi.

Zdaniem Ulitzki, pomysł o przeprowadzeniu plebiscytu był niedorzeczny. Uznał jednak wraz z pozostałymi „wolno państwowcami” zgromadzonymi w Centrum, że udział w grze nie na swoich zasadach może być opłacalny. „My nie jesteśmy szowinistami, lecz tym, co świadczy o ludzkim charakterze lub braku silnego charakteru jest wierność, a ta wierność właśnie teraz wiąże nas z niemiecką Rzeszą i narodem” – przekonywał Ulitzka 2 stycznia 1920 r. ze sceny Reichshalle – największej sali koncertowej w Katowicach. Wówczas został nazywany „niemieckim Korfantym”. Prałat przekonywał, że Górnoślązacy nic nie zyskają optując za Polską, wręcz przeciwnie, zostaną przez nią wykorzystani, otrzymując od Warszawy nie przyznanie obywatelskiej podmiotowości, lecz centralistyczną zewnątrzsterowność, a, w dalszej perspektywie, nie zapewni im pokoju, gdyż Niemcy nie pogodzą się z utraconym terytorium i będą zabiegać o odzyskanie *Oberschlesien*. Co gorsza, argumentował Ulitzka, Polska nie zapewni należytej obrony przed bolszewicką agresją. Jedynie Niemcy poszanują reguły górnośląskiej autonomii. Maszyneria propagandowa „niemieckiego Korfanteo” pozostawała w cieniu jego polskiego adwersarza. Za Wojciechem Korfantym stała prasa i zaangażowanie w polskim Komitecie plebiscytowym zlokalizowanym w bytomskim hotelu Lomnitz (świetnie zorganizowana komunikacja z lokalnymi strukturami), zapewniając kolosalną przewagę, z którą „drugi Korfanty” nie mógł się równać. Wojciech Korfanty wytaczał publicystyczną armatę przeciwko partii Centrum już w 1901 r. puszczając anonimowo do druku tekst „Precz z Centrum!”. W skromnym objętościowo artykule (niespełna 13 stron) demaskuje wolę germanizacji górnośląskich robotników, odbierając im poza języ-

kiem, prawa, obyczaje i wiarę (marginalizując wpływy Kościoła katolickiego na rzecz ewangelików). „(...) od r. 1872 – pisał Korfanty – aż do r. 1892 wydano na wojsko, marynarkę itp. sumę 16 900 milionów, to znaczy, że na każdego obywatela Rzeszy Niemieckiej wypadło 319 marek, a na rodzinę robotnika z żoną z sześciu osób, wyniosło 1914 marek podatku na rzecz państwa, które nie ma pieniędzy na budowę tanich i wygodnych mieszkań dla robotników; państwa które nie ma pieniędzy na budowanie lecznic dla chorych na suchoty, pochłaniające coraz większą ilość ofiar zśród robotników, ich żon i dzieci; państwa, które w szkole i w kościele walkę naszemu językowi ojczystemu wypowiedziało i naszego mienia narodowego nas chce pozbawić”. Alarmistyczny ton broszury adresowany do uczuć patriotycznych Górnoślązaków przyrównuje walkę z hakatystyczną opresją do wojny cywilizacyjnej na miarę słynnej odsieczy wiedeńskiej. Piętnuje ponadto brak ze strony Centrum spójnego programu socjalnego (frazy o ochronie tradycji rodzinnych i robotniczych skontrolowane z domaganiem się przez Centrum wzrostu podatków, reprezentowaniu przez „centrystów” lobby przemysłowego, eksploatującego górnośląskie bogactwo naturalne i niesprzyjaniu związkom zawodowym).

Carl Ulitzka chciał swoje zamiary polityczne osiągnąć na drodze pokojowej. Kiedy jednak obydwie strony skierowały na Górny Śląsk znaczne siły zbrojne, Ulitzka stracił nadzieję na rozwiązanie pozbawione masowego rozlewu krwi. 20 marca 1921 r. poznano rezultat plebiscytu (ok. 60 proc. głosów za Niemcami). Taki wynik był nie do przyjęcia dla Wojciecha Korfanteo, który – przy cichej aprobacie Warszawy – doprowadził już 3 maja tegoż roku do wzniesienia III powstania śląskiego. W tym czasie Ulitzka przebywał z dyplomatyczną misją we Włoszech, gdzie pragnął nakłonić tamtejsze władze do pomysłu „niesprawiedliwego” podziału Górnego Śląska. Gdy dotarła do niego wiadomość o wybuchu powstania, niezwłocznie zdecydował się na powrót do swojej parafii w Raciborzu, skąd udał się do Opola. Ulitzka słał stamtąd listy protestacyjne do francuskich i brytyjskich oficjeli, w których oskarżał Korfanteo o demagogię, wyrachowanie i brak moralnej busoli, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że odkąd wystrzeliła powstańcza amunicja na sztukę epistolarną jest zdecydowanie za późno. Naiwnie apelował o zakończeniu agresji ze strony Niemiec i odprawił msze w imieniu powstańców. Po zwycięstwie Polaków przeniósł się do utworzonej w ramach Prus Prowincji Górnośląskiej, którą zarządzał, wciąż marząc o ponownym zjednoczeniu Górnego Śląska. „Z okazji 5. rocznicy przeprowadzenia plebiscytu na Górnym Śląsku, którego



Bundesarchiv, Bild 146-2005-0026 / CC-BY-SA 3.0, źródło Wikimedia Commons

skutkiem był podział regionu, ks. Ulitzka – pisze ks. Konrad Głombik – opublikował tekst na temat Górnego Śląska w ramach kwestii wschodnich w miesięczniku »Der Oberschlesier«. Na początku wspominał o wydarzeniach plebiscytu i podziału regionu, które określił jako poważne bezprawie, które stale powinno przypominać o cierpieniu i ofiarach. Jednocześnie zwrócił uwagę, że nadal chodzi o kwestię otwartą, gdyż podział został dokonany z naruszeniem prawa międzynarodowego i pod znaczącym wpływem Francji. C. Ulitzka przywołał także wypowiedzi W. Korfanteo opublikowane w czasopiśmie „Polonia” w maju 1925 r., w których zostały wyrażone jego plany i zamierzenia dotyczące III powstania śląskiego. Zdaniem ks. Ulitzki wypowiedzi te potwierdzają, że chodziło o podważenie rzeczywistej, spokojnej sytuacji po plebiscytcie na Górnym Śląsku i wywarcie wpływu na decyzję o podziale regionu. C. Ulitzka pisał także o nieracjonalności i niesprawiedliwości decyzji o podziale Górnego Śląska, czego uzasadnieniem był rozwój stosunków w podzielonych częściach

regionu, zwłaszcza w wymiarze gospodarczym. Na końcu autor zwrócił uwagę na problem rewizji granicy, powołując się na artykuł w prasie paryskiej oraz wypowiedź Roberta Donalda na łamach »Sunday Express« z 20 września 1925 r. Ks. Ulitzka kończy swój tekst wezwaniem do gromadzenia materiału informacyjnego z okresu plebiscytu w celu przygotowania rewizji decyzji genewskich, co ma służyć poprawie sytuacji gospodarczej i społecznej na Górnym Śląsku”.

Carl Ulitzka przestaje kierować Prowincją Górnośląską w 1933 r. po dojściu Hitlera do władzy. W tym samym roku zostaje napadnięty i dotkliwie pobity przez bojówkę SA, a także na krótko zaarrestowany przez gestapo. W lipcu 1939 r. Ulitzka zostaje wysiedlony z Górnego Śląska. Migruje do Berlina, gdzie w 1944 r. ponownie pojmany przez gestapo i osadzony w obozie w Dachau. Po wyzwoleniu wraca w rodzinne strony do Raciborza. Wygnany przez władze komunistyczne ponownie zamieszkuje w Berlinie. Tam zwiąże się z Unią Chrześcijańskich Demokratów (CDU). Umiera w stolicy Niemiec w 1953 r.

Ariel i Tamara. Bajka

Za murami stolicy mądrego króla Salomona szumiał na zboczach wzgórz gęsty las. Z jego krańców splecione ścieżki prowadziły na polanę, gdzie spotykali się z sobą Ariel i Tamara.

On miał lat czternaście, ona tyle samo. Ale Ariel był synem szlachetnie urodzonego Jerozolimczyka, jednego z ulubionych doradców przemądrłego króla, i jego włosy były czarne jak noc, a oczy – jak węgiel. A Tamara żyła poza miastem, ponieważ jej ojcu, cudzoziemcowi, nie wolno było mieszkać pośród Żydów, a jej miękkie, długie loki były delikatnego ciemnokasztanowego koloru, a błękitne oczy mocno poraziły Ariela, kiedy po raz pierwszy ją spotkał, zapuściwszy się do lasu.

Od tej pory wielokrotnie spotykali się nocą na polanie, niewinnie całowali swoje oczy i włosy, darzyli się czułymi słówkami, a potem wzdychając rozstawali się z sobą, uważając, żeby nikt ich razem nie zobaczył. Przy czym Ariel musiał być bardziej ostrożny niż Tamara: jego surowy ojciec za żadną cenę nie mógł się dowiedzieć, gdzie syn spędza noce.

I w tę noc, stojąc przy drzewie pośrodku jasnej polany, Tamara znów czeka. Z ciemnego nieba jaskrawo świeci biały księżyc; jak srebro na czarnym tle aksamitu, ostro zarysowuje się obsypana księżycowym blaskiem smukła postać Tamary w długiej sukience. Mijają chwile, i zdaje się, że wiatr szepcze: nie czekaj na niego, Tamaro, on nie przyjdzie!

* * *

Tego wieczoru Ehud, ojciec Ariela, długo wypytywał jednego z niewolników.

– Skąd wiesz, że to nie był pierwszy raz? – pytał Ehud.

– To wyraźnie wynikało z ich rozmów, panie.

Wtedy stary Ehud ze złością kazał niewolnikowi odejść, a sam udał się do pokoju swojej pięknej żony.

– Ostrzegałem cię dawno temu, Noemi, że wiele smutku doświadczymy z powodu Ariela.

Noemi stała przed nim przestraszona i zaniepokojona.

– Po tysiącokroć miał rację nasz mądry król, mówiąc, że nie należy zwracać uwagi na słowa żony! Z twojego powodu, Noemi, tak rzadko karałem Ariela. Jeszcze tak nie było, żeby izraelskie dziecko cieszyło się taką wolnością, jak on. I dawno ci mówiłem, że nie podobają mi się jego myśli i słowa. Ale teraz granice mojej cierpliwości zostały przekroczone i ukazę go z całą surowością, jaka przysługuje ojcu. Nie powstrzymuj mnie!

I opuściwszy płaczącą Noemi, rozkazał:

– Poślijcie po Ariela, niech przyjdzie do mojego pokoju.

Po chwili Ariel wszedł do niego ze spuszczoną głową. Domyślił się, że ojciec chce go za coś ukarać biciem. Przedtem zdarzało się to często, ale od czasu jak do bogatego domu Ehu-

da wstąpiła druga żona starca, młoda i dobra, piękna Noemi, Ehud stał się bardziej miękki wobec Ariela.

Ehud siedział na miękkiej poduszce przy stole i zimno, surowo patrzył na syna. Ariel nie domyślał się, o jakim jego występku będzie mowa.

– Avinoam powiedział mi – zaczął Ehud – że wczorajszej nocy byłeś tam, w lesie.

Na te słowa Ariel zbladł.

– Byłeś w lesie, a z tobą była kobieta. Avinoam rozpoznał w niej córkę kupca z Idumei, panienkę Tamarę, której mieszkanie jest poza granicami Jerozolimy. I ja chcę wiedzieć, czy Avinoam mówi prawdę?

Ariel cicho wyszeptał:

– Tak, mówi prawdę.

– Odszczepieńcze! – wykrzyknął gromkim głosem Ehud, wstając i podnosząc rękę. – Hańbo mojego imienia! Przekleństwo mojej starości! Syn dworzanina Ehuda chadza na spotkania z poganką, z małoletnią nierządnicą z idumejskiej krainy! Poczekaj no! Okupisz te spotkania niewyobrażalnym bólem – ukazę cię surowiej niż kiedykolwiek karał ojciec swoje dziecko!

Ehud rzucił się na syna; Ariel zamknął oczy. Ojciec powalił go na posadzkę i zawołał niewolnika. Avinoam przyniósł ciężki bicz i na nieruchomego Ariela posypały się świszczące, ostre razy. Ariel szlochał z powodu nieznośnego, palącego bólu, ale nie odważył się zasłonić rękami. Jego krzyk dobiegał do pokoiów pani Noemi, która w rozpacz rzucała się na łóżko, nadaremno zatykając sobie uszy. Krzyki Ariela stawały się coraz głośniejsze, przeraźliwsze, ochrypłe; trudno było w nich rozpoznać cokolwiek ludzkiego – to zwierzę szaleńczo ryczało z powodu śmiertelnego, okrutnego, bezlitosnego bólu.

Potem Avinoam uniósł pozbawione czucia ciało Ariela do innego pokoju. Tam też prześlizgnęła się Noemi ze swoją ulubioną służącą.

Ehud siedział w miejscu krwawej rozprawy. Tak ciężko odychał i jego oczy tak ponuro czerniły się pod siwymi brwiami, że niewolnicy nie ośmielili się wejść i zmyć krew z kamiennej posadzki.

Ehud rozłożył państwowe dokumenty, nad którymi pracował. Ale trudno mu było skupić się nad nimi, ponieważ w jego duszy świadomość spełnionej powinności złączyła się z niezrozumiałymi wyrzutami sumienia. I siedział tak długo, głęboko zamyślony, aż świt zabarwił okna jego pokoju na różowo. Wtedy Ehud wyszeptał:

– Nie, to nie jest okrucieństwo!

W drzwiach pojawił się Avinoam.

– Panie, twój syn dopiero teraz się ocknął. Noemi kazała ci o tym powiedzieć.

Avinoam trwożnie wymówił te słowa i skrył się.

Ehud pobladł, podniósł się i krzyknął: „Dopiero teraz!” Świt figlarnie błyszczał na wilgotnej, wciąż krwawej plamie pośrodku posadzki.

Męka Ehuda stała się nie do zniesienia. Pospieszył do pałacu mądrego Salomona. Ehud wiedział, że o tej porze król już opuszczał rozkoszne pokoje kobiet.

Zbliżając się do komnat Salomona, Ehud usłyszał cichy i dźwięczny głos króla, pod dźwięk potężnych strun harfy szepczącego wersety zmarłego Psalmisty z „Pieśni nad Pieśniami”.

Kiedy mądry król zamilkł, Ehud przybliżył się i powierzył mu swoje wątpliwości. I król Salomon powiedział do niego:

– Wypełniłeś swoją powinność.

Wtedy Ehud wrócił do siebie i oznajmił, że Ariel przez trzy dni pozostanie w zamknięciu, a jego strawą będą woda i chleb.

* * *

Kolejnej nocy, i trzeciej nocy Tamara nie doczekała się przyjścia Ariela. Kiedy zaś nastał czwarty wieczór i wyczerpana dziewczynka przedostała się na polanę, zza drzew wyszła jej na spotkanie niewysoka smukła postać, i Tamarę czule objął Ariel.

– Miły mój, dlaczego tak długo nie przychodziłeś?

Wtedy on mimowolnie zapłakał i opowiedział Tamarze wszystko, co zdarzyło się tamtej nocy. A kiedy kończył mówić, Tamara przerwała mu i dumnie zapytała:

– Arielu, powtórz, jak nazwał mnie twój ojciec?

– Powiedział, że jesteś nierządnicą – wyszeptał Ariel. I wtedy w oczach Tamary błysnęły łzy, płomień zalał jej smutną twarzyczkę, chwyciła się za serce, pochyliła się w stronę Ariela i cicho zapytała:

– A ty... Co ty odpowiedziałeś?

– Ja nic nie odpowiedziałem – rzekł ponuro.

Wtedy Tamara upadła na kolana, zakryła twarz rękami i gorzko zapłakała. Ariel przytulił się do niej, całując, głaszcząc, błagając i uspokajając ją, ale Tamara płakała i szeptała:

– Nie jestem nierządnicą... A ty nie stanąłeś w mojej obronie!

Ariel wiele razy pokrył pocałunkami jej usteczka i włosy, i ręce, i oczy i, w końcu, podnosząc się, powiedział doniosłym głosem:

– Posłuchaj, Tamaro. Klnę się imieniem Boga, że od tej nocy ani mój ojciec, ani nikt inny, nawet sam król Salomon, nie obrazi ciebie przy mnie bez poniesienia kary. Nigdy i nikt!

I znowu pocałował Tamarę, a Tamara przez łzy odpowiedziała mu na czułość. Oplotła szyję Ariela swoimi kasztanowymi włosami. I siedzieli tak długo, wymieniając się dziecięcymi pieścizkami i czułymi słówkami.

Księżyc przesuwiał się nieruchomo po bezdennych głębinach ciemnego nieba; w jego promieniach, przerywających gęstą zielenią, sunęły błękitne diamentowe iskry pyłu. Grube gałęzie pochylały się nisko nad Arielem i Tamarą, jakby przykrywając ich kudłatą dłonią.

Kolejnej nocy Ariel znowu przyszedł na tę polanę; a trzeciego wieczoru Avinoam powtórnie go wysłedził.

Ani pani Noemi, ani niewolnicy czy niewolnice nie pamiętali, żeby stary Ehud kiedykolwiek się rozgniewał tak, jak tym razem. Kilka chwil milczał, a później, strasznie przeklinając, upadł do pokoju syna.

Było to rankiem. Ariel już powrócił i spał.

Ehud obudził go ciężkim uderzeniem w twarz.

Ariel zerwał się, natychmiast otrząsnął ze snu, cofnął i wykrzyknął, zakrywając twarz rękami:

– Za co?

– Egipcjaninie! – zagrzemiał Ehud. – Znowu byłeś z tą nierządnicą! Odszczepieńczy!

Ariel zacisnął zęby i podszedł do ojca, czując, jak mu serce lodowacieje w przecuciu czegoś, co jest potworne i nieuniknione:

– Jestem nieposłuszny i możesz mnie zbić – powiedział, patrząc w pociemniałe oczy Ehuda – ale nie wolno ci rzucać potwarzy na dziewczycę. Nie mów tak więcej.

Ehud nie wierzył własnym uszom. Uderzył syna w skroń. Krew napłynęła do głowy Ariela, niewyobrażalny gniew wstrząsnął jego piersią i, słysząc nowy krzyk ojca: „nierządnicą”, zamachnął się z całej siły...

* * *

Prawo żydowskie mówi: kto by podniósł rękę na ojca swego albo matkę, niech będzie ukamienowany.

I oto dziki tłum zebrał się na placu przed wspaniałą świątynią Salomona. Tłum ryczał i szalał, ale kiedy w oddali pojawił się orszak, zapadła głucha cisza.

Ariel szedł ze związanymi rękami, ledwie przykryty szorstkim płótnem. Wzrok miał spuszczone, twarz bladą i pozbawioną życia.

Niedaleko w tyle dumnie szedł wysoki starzec z podniesioną siwą głową i surowymi oczami. W rękę trzymał okrągły kamień.

Ariela podprowadzono do niedużego nasypu. Ehud zatrzymał się naprzeciw niego. Tłum się rozstał: cisza stała się jeszcze bardziej złowieszczą i martwa. Ariel podniósł głowę, krzyknął – i kamień Ehuda uderzył go w twarz.

Tłum ryknął, zawył, zagrzemiał. W powietrzu świszczał deszcz kamieni, które zderzały się z sobą, dobijając umęczone ciało. A stary Ehud pośród szumu i wrzasku upadł na kolana i nieludzko krzyknął, wznosząc ręce ku niebu:

– Panie karzący, zeslij mi siłę – wypełniłem swoją powinność, umocnij moją duszę, Panie!

* * *

Również i w tę noc, stojąc przy drzewie pośrodku jasnej polany, Tamara znowu czeka. Z ciemnego nieba jaskrawo świeci biały księżyc; jak srebro na czarnym tle aksamitu, ostro zarysowuje się obsypana księżycowym blaskiem smukła postać Tamary w lekkiej, długiej sukience. Mijają chwile, i zdaje się, że wiatr szepcze: „nie czekaj na niego, Tamaro, on nie przyjdzie”!

1898

Ze'ew (ros. Władimir Ewgieniewicz) Żabotyński – pisarz i dziennikarz żydowski, jeden z przywódców radykalnego ruchu syjonistycznego, twórca Legionu Żydowskiego, walczącego po stronie brytyjskiej w czasie I wojny światowej, zwolennik utworzenia państwa żydowskiego w Palestynie. Urodził się w 1880 w Odessie, zmarł w 1940 w Nowym Jorku. Autor pisanych po rosyjsku powieści, dramatów, utworów poetyckich i felietonów. W Polsce, z wyjątkiem niektórych pism syjonistycznych, ukazała się jedynie krótka powieść Żabotyńskiego *Samson Nazorejczyk* w tłumaczeniu Jacka Surzyńskiego („Miasteczko Poznań” 2018, nr 2, s. 112-131).

Wybrańcy o wybrańcach dla wybrańców Księgi jubileuszowe polonistów

JERZY PASZEK

Zazwyczaj jest tak, że odchodzący na emeryturę profesor polonistyki, mający wówczas 70 lat, otrzymuje od swoich uczniów i przyjaciół tom pożegnalny, złożony z esejów i artykułów naukowych (rzadziej bywają to amatorskie teksty literackie). Autorami są przede wszystkim profesorowie (tak decyduje sam zainteresowany lub jego koledzy), a odbiorcami również wąskie grono profesorskie, niezadko jedynie z konkretnego ośrodka badawczego, z którym związany był beneficjent. Czyli ten nagłówek w zasadzie powinien brzmieć: Profesorowie o profesorach dla profesorów.

W tytule pojawiają się wybrańcy, bo jak słusznie zauważył Henryk Markiewicz (zob. tom *Od polityki do poetyki*), nie każdy polonista, nawet najwybitniejszy, był nagradzany za swojego życia taką księgą jubileuszową: np. nie zaszczycono podobnym koleżeńskim darem m.in. Marii Dłuskiej, Marii Renaty Mayenowej, Wacława Kubackiego. A byli szczęśliwcy, którzy i na 60-lecie, i na 70-lecie otrzymywali owe tomy (np. Maria Janion, Ireneusz Opacki, Janusz Pelc, Włodzimierz Wójcik). Aleksander Wilkoń zaś i Michał Głowiński dostawali księgi pamiątkowe i na 70-lecie, i na 85-lecie swoich urodzin!

Wśród moich zbiorów jest tom pt. *W krainie pamiątek. Prace ofiarowane Profesorowi Bogdanowi Zakrzewskiemu w osiemdziesiątą rocznicę urodzin* (Wrocław 1996), czyli w wieku XX rzadko spotykano 85-latków, dożywających takiego wyróżnienia, jakim obdarzono redaktora „Pamiętnika Literackiego” (prof. Zakrzewski żył 95 lat!), gdyż inaczej nie wyklesponowano by faktu jego 80-lecia. Choć Markiewicz wspomina, iż językoznawca (pisujący też o tekście *Bogurodzicy*), prof. Stanisław Urbańczyk, musiał aż 90 lat czekać na podobny zaszczyt (żył w latach 1909–2001). Po drugiej stronie stoi prof. Marian Kisiel, któremu tom jubileuszowy wydano przed jego 60-leciem, a to dzięki temu, iż wzięto pod uwagę przede wszystkim zasługi Kisiela jako poety (zob. *Pergamin wspomnień. Szkice o poezji Mariana Kisiela*). Gdy zaś jest się poetą, polonistą i anglistą jednocześnie, to zdarzyć się może, iż otrzyma się

co najmniej 3 dary od przyjaciół. Tak jest z prof. Tadeuszem Sławkiem, któremu ofiarowano już księgi na 60-lecie i 70-lecie: „*Zobaczyć świat w ziarenku piasku...*”. *O przyjaźni, pamięci i wyobraźni. Tom jubileuszowy dla Profesora Tadeusza Sławka* (Katowice 2006); *Polytropos. Na drogach Tadeusza Sławka / Tracing Tadeusz Sławek's Routes* (Katowice 2016); *Światy poetyckie Tadeusza Sławka* (Katowice 2017). Wyjątkową publikacją jest też zapewne *Złota księga. Ścieżkami współczesnego literaturoznawstwa i językoznawstwa*, wydrukowana dla uczczenia 50 lat polonistyki opolskiej. Jubilatka okazała się instytucją naukową i dydaktyczną.

Markiewicz trafnie zauważył, iż omawiane tu zbiory esejów, szkiców i artykułów są w gruncie rzeczy przypadkowym *silva rerum*. Istotnie tak bywa, bo nawet tomy o tytule jednoznacznie informującym o głównym bohaterze księgi, np. *Prus i inni*, zawierają dwie poboczne części („Inni” oraz „Okolice”). W księdze pt. *Alfabet Paszka: Berent, stylistyka (i okolice), Żeromski* (Katowice 2010) jak byk pojawiają się owe rozległe „okolice”, by pomieścić różnorodnie tematycznie elaboraty i referaty. Najodważniejsze w sygnalizowaniu różnorodności poruszanych materii są, moim zdaniem, dwa nagłówki: *Awangardowa encyklopedia, czyli Słownik rozumowany nauk, sztuk i rzemiosł różnych* (Łódź 2008) oraz *Balaghan. Mikroświaty i nanohistorie* (Katowice 2015).

W tytule powiadam, że te dzieła wybrańców o wybrańcach przeznaczone bywają li tylko dla wybranych czytelników. Istotnie, żaden polonista bez dr przed nazwiskiem (a rzekłbym nawet, iż nadawcom chodzi głównie o drów hab!) mało co może zrozumieć z podsuwanych mu pod oczy tomów. A przecież nie są one „podsuwane”, lecz „odsuwane”, gdyż wiele z wymienionych w mej bibliografii 20 ksiąg nie posiada sugerowanej lub konkretnej ceny (oznaczam to literkami BC).

By dać pojęcie czytelnikowi o rozrzucie zainteresowań profesjonalnych literaturoznawców, postaram się tu wyliczyć, w ilu z posiadanych przeze mnie libelli mowa jest o tak reprezentatywnych pisarzach XX wieku, jak: Wacław

Berent, Władysław S. Reymont, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Stefan Żeromski; Julian Tuwim, Julian Przyboś, Jarosław Iwaszkiewicz, Witold Gombrowicz; Czesław Miłosz, Tadeusz Różewicz. Lista jest, oczywiście, subiektywna, ale od jakiegoś twardego faktu trzeba wszczynać te niebezpieczne wywody.

Podejrzałem, że w żadnej z wliczonych przez mnie 20 ksiąg nie znajdę całej 10 interesujących mnie poetów i prozaików Młodej Polski, Dwudziestolecia Międzywojennego i epoki po II wojnie światowej, ale się myliłem. Zobaczmy, jak to wygląda kolejno przy autorach młodszych i modernistycznych. O Berencie wspomina się w *Alfabcie Paszka* w 5 esejach, także o Żeromskim jest 5 tekstów; ponadto mamy tu artykuły o Przybosiu, Tuwimie i Gombrowiczu! Czy w *Awangardowej encyklopedii* będzie też o 5 z 10 pisarzy? Jest o Miłoszu (esej Płuciennika), o Iwaszkiewicz (pisze Gołąb); o Reymoncie 3-krotnie nadmieniam się, a o Tetmajerze 2-krotnie; o Przybosiu aż 6-krotnie, a Iwaszkiewicz 3-krotnie; raz tylko mowa tu o Gombrowiczu i Żeromskim, 5 razy o Różewiczu oraz 3 razy o Tuwimie. Gdyby więc przybył z zaświatów niewiedzący polonistycznej Berent, to omawiany „słownik aleatoryczny”, jak piszą o nim redaktorzy, spełniłby swoją rolę ponowoczesnej encyklopedii.

W dedykowanym Nawareckiemu *Balaghanie* nie widzę Berenta, Reymonta, Tetmajera ani Żeromskiego; jest wspomniany dwoma esejami Miłosz (piszą o nim Dembińska-Pawelec i Szawerna-Dyrszka). O Przybosiu napomyka się 2-krotnie, natomiast wiersze Iwaszkiewicza są wzmiankowane kilka razy w szkicu Mokranowskiej. Raz Miłosz cytuję tu Gombrowicza. O Tuwimie mowa w 4 miejscach, a o Różewiczu w 5. Gdyby nie ta biała plama młodopolska, to księga mikrologiczna prezentowałaby się prawie tak dobrze jak tom aleatoryczny.

Tom ofiarowany Sławińskiemu na jego 70-lecie przynosi cytat z *Próchna* Berenta (esej Brodzkiej-Wald), a Markiewicz przywołuje tytuł tomu Troczyńskiego o tej powieści (s. 105). Markiewicz też na s. 104 wspomina pracę Wyki o Rey-

moncie! (o czym milczy indeks). Tetmajera brak, o Żeromskim zaś mamy tylko 2 wzmianki. Gombrowiczowi poświęcono cały szkic (Kuźmy), tak samo jak Miłoszowi (Szajnert) i Przybosiowi (Łapińskiego). Iwaszkiewicz doczekał się 3 wzmianek, czyli tyleż, co Tuwim. Nieco więcej (bo 7) ma ich Różewicz. Tak więc – zupełnie nieoczekiwanie – ten tom jest prawie bliski ideału!

Godność i styl zawiera całą dziesiątkę wytypowanych przeze mnie nazwisk. Dwa eseje dotyczą ponadto Tetmajera (mój esej o *Aniele śmierci*) oraz Miłosa (pisze o nim Kryszak). Uniłowski celnie ukazuje parabolę, kończącą *Ferdynurka* Gombrowicza.

W księdze dedykowanej Janowi Piotrowiakowi jest wzmianka o Berencie (w moim życiorysie!), dwie o Żeromskim (w moim eseju), a brak wieści o Reymoncie i Tetmajerze. Jako lider cytowań jawi się Tuwim (10), a za nim mieszczą się Miłosz (7), Iwaszkiewicz (6), Przyboś (5), Gombrowicz (4). Różewiczowi poświęcił wzruszający, osobisty i piękny tekst Nawarecki!

Księga Janion to, moim zdaniem, samonakręcająca się karuzela, w której autorem (głównie feministkom lub „eufeministkom” jako rzecz Jerzy Pilch w „słowie jubileuszowym” pt. *Wiara w istnienie ośmiornicy*) zadano tematy do podjęcia i opracowania (s. 133–142), np.: Absolut sztuki, Arka przymierza, Bunt, „Cienna młodość” Gombrowicza, Demonizm, Endekoidalny aspekt polskości, Gilotylna i szubienica, Gombrowicz, He, he, Kicz patriotyczny, „Likiery”, Mickiewicz, Negacja literatury (Valéry, Rilke, Kafka, Różewicz), Poeta i ciało (Kafka, Różewicz), Różewicz a Miłosz, Słowacki mistyczny, Zdziecinnienie, Żeromski (*Polski inteligent i szlachcic. Brzozowski*). W wyniku tych perswazji cytuje się tu Janion tyle samo razy, co zjednoczone siły trzech wieszczów (tu i tam po 11 wersów w indeksie!). I jak nie mówić o książkach zbójcech czy nawet diabelskich? A z mojej listy brak: Reymonta i Tetmajera (choć jest Julia Tetmajerowa).

Jeśli chodzi o księgę na jubileusz 75-letnia Jaworskiego, to warto wspomnieć o eseju Markiewicza o tomach pamiętkowych i rozprawie Jolanty Dudek o *Traktacie poetyckim*. Libella prof. Wilkoniowej przynosi 2 eseje o Różewiczu (Sukiennik i Tałaj) i 1 o Żeromskim (mój). Wymienia się też całą pozostałą ósemkę z 10 wytypowanej przeze mnie do tego swego konkursu, opisującego interferencje epok literackich i stylów odbioru literatury.

Wbrew pozorom szczupły tom ofiarowany Ince Brodzkiej prezentuje przygarść esejów o ważnych polskich poetach i prozaikach. Mamy szkice o *Żywych kamieniach* Berenta i *Notre-Dame* Przybosia (Czerwińskiej), o spotkaniach Miłosa z Krońskim (Janion) i Szczepańskim

(A. Wernera), o *Bakakaju* (Głowińskiego) i *Ferdynurce* (Tomkowskiego), o *Pałach błędniarskich* Iwaszkiewicza (Borkowskiej), maskach Gombrowicza (M. Wernera), o *Białym małżeństwie* Różewicza (Wiśniewskiej), o wierszach Miłosa (Zaleskiego). Czyli ta niepozorna libella bardzo zbliża się wyznaczonej przeze mnie mety! Bardziej zwarta tematycznie jest księga Adamczyka, gdzie dominuje oczywiście Żeromski (5 tekstów), ale jest i Reymont (2 eseje), a nawet Miłosz (pisze o nim Speina). W tomie *Przechadzki z Balcerzanem* królują Przyboś (eseje Balbusa i A. Kwiatkowskiej), Miłosz zaś zajął drugie miejsce wśród autorów cytowanych. W tomie Zabierowskiego najczęściej przywoływani są Miłosz, Iwaszkiewicz i Gombrowicz, a pominięto z mojej 10 tylko Przerwę-Tetmajera (jest za to Włodzimierz Tetmajer!). *Pedantaria i wyobraźnia* nie cytuje jedynie Przybosia; ważnym tekstem jest tu esej *Non omnis morieris*, dotyczący właśnie historii i struktury ksiąg jubileuszowych (autorzy: Balicki, Jarnicki, Ryż, Szczerbuk), cytowany zresztą przez Markiewicza.

W tzw. przeze mnie I księdze ofiarowanej Wilkoniowej (*Spotkanie*) interesujące szkice o Tuwimie, Iwaszkiewiczu i Gombrowiczu ogłosili Kita, Mokranowska i Olejniczak; w II księdze (*Językoznawstwo* [...]) wart uwagi jest esej Koziołka pt. „*Czerń*”, przedstawiający „walczące słowo” w dyskursie wojennym, toczącym się w Trylogii Sienkiewicza. Dla kogoś, kto chce pisać o *Ogniem i mieczem* artykuł pierwszej potrzeby (polemicznej). Warto wertować tomy zbiorowe, by odnaleźć ową perełkę! Takim samym rarytatem cytelnym jest analiza *Balu w Operze* Tuwima, przeprowadzona przez Łukasiewicza w tomie zdedykowanym Kłakowi. Tam też mamy eseje o Przybosiu (Heskiej-Kwaśniewicz), poezji Miłosa (Ligęzy) i Różewicza (Cieślaka i Krasuskiego).

Myślę sobie, że warto wiedzieć, co zawierają wszelkie polonistyczne księgi jubileuszowe, ale jak w dobie cyfryzacji odnaleźć w oceanach informacji te potrzebne nam eseje, ukryte przed okiem niezbrojonym w szkieleto i lunetę (kosmiczną?) i zalegające w tomach, mających tak minimalne nakłady, iż po niedługim czasie staną się feniksami i rarytetami (jako powiada Sienkiewicz). Trzeba pamięci Markiewicza lub wygenerowania bieżących i stale aktualnych bibliografii, które będzie można sprowadzać z chmur internetowych...

Bibliografia

Alfabet Paszka: Berent, stylistyka (i okolicie), Żeromski, pod red. J. Jakóbczyka, K. Kralkowskiej-Gątkowskiej, M. Piekary, Katowice 2010, 320 s. ♦ *Awangardowa encyklopedia, czyli słownik rozumowany nauk, sztuk i rzemiosł różnych*.

Prace ofiarowane Profesorowi Grzegorzowi Gaździe, pod red. I. Hübner, A. Izdebskiej, J. Płuciennika, D. Szajnert, Łódź 2008, 540 s. [BC] ♦ *Balaghan. Mikroświaty i nanohistorie*, pod red. M. Jochemczyka, M. Kokoszki, B. Mytych-Forajter, Katowice 2015, 486 s. ♦ *Dzieła, języki, tradycje*, pod red. W. Boleckiego i R. Nycza, Warszawa 2000, 396 s. [BC] ♦ *Godność i styl. Prace dedykowane Włodzimierzowi Wójcikowi*, pod red. M. Kisiela, przy współudziale P. Majerskiego i Z. Marcinowa, Katowice 2003, 354 s. ♦ *Janowe. Teksty i konteksty*, pod red. I. Gralewicz-Wolny, J. Kisiel, B. Mytych-Forajter, Katowice 2020, 258 s. ♦ *Językoznawstwo, stylistyka, kultura*, red. naukowa: K. Choińska, M. Pachowicz, [księga pośw. A. Wilkoniowej na jego 85-lecie], Tarnów 2020, 358 s. [BC] ♦ *Księga Janion*, oprac. Z. Majchrowski i S. Rosiek, Gdańsk [2007], 660 s., + 4 nlb. + 2 s. wkładki pt. „Drzewo Janion”. [BC] ♦ *Literatura i życie artystyczne XIX i XX wieku. Prace ofiarowane Profesorowi Zdzisławowi Adamczykowi w roku jubileuszu*, pod red. B. Utkowskiej, K. Jaworskiego, Kielce 2006, 358 s. [BC] ♦ *Maski współczesności. O literaturze i kulturze XX wieku*, pod red. L. Burskiej i M. Zaleskiego, [księga pośw. A. Brodzkiej], Warszawa 2001, 340 s. [BC] ♦ *Między książką a literaturą. Księga jubileuszowa dedykowana Profesor dr hab. Teresie Wilkoń na okazji 45-lecia pracy naukowej i dydaktycznej*, pod red. K. Tałuc, M. Nadolnej-Tłuczykont, Katowice 2020, 524 s. [BC] ♦ *Od polityki do poetyki. Prace ofiarowane Stanisławowi Jaworskiemu*, pod red. C. Zalewskiego, wstęp: A. Burzyńska, Kraków 2010, 358 s. ♦ *Od tematu do rematu. Przechadzki z Balcerzanem*, red. T. Mizerkiewicz, A. Stankowska, Poznań 2007, 628 s. [BC] ♦ *Opowiedzieć historię. Prace dedykowane Profesorowi Stefanowi Zabierowskiemu*, pod red. B. Gontarz i M. Krakowiak, Katowice 2009, 496 s. ♦ *Pergamin wspomnień. Szkice o poezji Mariana Kisiela*, pod red. E. Bartos, P. Majerskiego, K. Niesporek, Gdańsk 2019, 430 s. [BC] ♦ *Spotkanie. Księga jubileuszowa dla Profesora Aleksandra Wilkonio*, red. naukowa: M. Kita i B. Witosz, Katowice 2005, 508 s. ♦ *Wyobraźnia i pedantaria. Prace ofiarowane Profesorowi Wojciechowi Głowali w 65. rocznicę urodzin*, pod red. M. Adamskiego, M. Górczyńskiego, M. Górczyńskiej i W. Małeckiego, Wrocław 2008, 464 s. [BC] ♦ *W kręgu pamiętek. Prace ofiarowane Bogdanowi Zakrzewskiemu w osiemdziesiątą rocznicę urodzin*, pod red. J. Kolbuszewskiego, Wrocław 1996, 508 s. [BC] ♦ *Złota księga. Ścieżkami współczesnego literaturoznawstwa i językoznawstwa*, red. naukowy: S. Gajda, Opole 2001, 368 s. [BC] ♦ *Z problemów literatury i kultury XX wieku. Prace ofiarowane Tadeuszowi Kłakowi*, pod red. S. Zabierowskiego, Katowice 2000, 378 s. [BC] ■

Podwójne życie reporterki. Fallaci. Torańska Remigiusza Grzeli jest (jak sugeruje tytuł) biografią dwóch najwybitniejszych dziennikarek działających w odmiennych warunkach polityczno-ekonomicznych: Oriany Fallaci i Teresy Torańskiej. Jej głównym założeniem było przybliżenie polskiemu czytelnikowi warsztatu wybitnych dziennikarek i prześledzenie ich losów, które w kilku momentach okazały się dramatyczne. Życie Fallaci bywało zagrożone (obserwowała z bliska działania wojenne w Wietnamie, a jej uczestnictwo w proteście 2 października 1968 roku przeciwko Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej w Meksyku mogło zakończyć się kalectwem lub śmiercią; dziennikarka została trzykrotnie postrzelona) nie tylko w czasie pracy zawodowej, lecz również podczas drugiej wojny światowej (ojciec traktował ją jak chłopca dlatego otrzymywała ważne zadania i była z nich rozliczana). Poza tym Grzela wskazał na najważniejsze doświadczenia, które wpłynęły na ich charaktery (ojciec Torańskiej porzucił rodzinę, natomiast ojciec Fallaci był dla niej wzorem uczciwego człowieka, który działał w ruchu oporu). Mimo że w książce szczególny nacisk położony został na rekonstrukcję życiorysów, to jednak *Podwójne życie reporterki* jest również panoramą dwudziestego wieku wstrząsanego przez wojny i zamachy, a także krwawo tłumione strajki. Jeśli więc projekt Grzeli miał zakończyć się powodzeniem (czyli zgłębieniem życia kobiet o nieprzeciętnych osobowościach i talentach literackich), to konieczne było uwzględnienie również społeczno-politycznego tła, a także losów poszczególnych osób, z którymi dziennikarki rozmawiały (m.in. Wojciecha Jaruzelskiego, Mieczysława Rakowskiego, Edwarda Ochaba i Jakuba Bermana). Grzela nie tylko rozmawiał z bliskimi kobiet, lecz również z kilkoma rozmówcami; stworzył wymiarowy podwójny portret, który nie tylko świadczy o jego talentach i zaangażowaniu, lecz również misyjności pojętej jako odkrywanie wewnętrznego kosmosu jednostki w świecie opisanym w skali makro.

Autor *Wyboru Ireny* podąża za każdą z bohatererek od dnia narodzin do dnia ich śmierci, a obraz, jaki wyłania się z kolejnych rozdziałów książki, można nazwać monumentalnym ze względu na przywiązanie dziennikarza do szczegółów, które tak jak w tekstach Torańskiej pozwalają na wniknięcie w czas historyczny bohatererek książki (stąd wiele miejsca poświęca Grzela anegdotom o Fallaci i Torańskiej) oraz ukazanie ich poza bliskim fleszy (szczególnie przejmujące są rozdziały poświęcone umieraniu dziennikarek; Fallaci, umierając zabiegała o uwagę przyjaciół, siostrzeńca, natomiast Torańska mogła liczyć na męża).

Choć nigdy się nie spotkały, wiele je łączyło: pasja demaskowania kłamstw, dziennikarska rzetelność (Grzela wielokrotnie wspomina o cierpliwym cyzelowaniu tekstów przez Fallaci i współpracy Torańskiej z rozmówcami podczas procesu autoryzacji wywiadów), wpływ historii (nie tylko rodzinnej)

Życie trzeba dobrze wypełnić

KSIAŻKI

na dalsze losy, a także próba zrozumienia rzeczywistości zdominowanej przez przemoc, wojny, zamachy terrorystyczne, reżimy i ludzką niegodziwość. Fallaci jawi się w książce Grzeli jako nieustraszona reporterka, która przemierza kolejne państwa w poszukiwaniu interesujących tematów, a także bojowo nastawiona do swoich rozmówców dziennikarka, która nie obawia się surowo ich oceniać (nie ceniła Lecha Wałęsy, a Goldę Meir traktowała z szacunkiem, ponieważ ta przypominała jej matkę), a także wykonywać bezkompromisowych gestów (podczas rozmowy z Ruhollahem Chomeinim zagroziła, że zdejmie czador co tak go rozzłościło, że przerwał wywiad; musiał interweniować syn Chomeiniego). Obie dziennikarki były temperamentne (Fallaci definitywnie zrywała przyjaźnie i znajomości, natomiast Torańska znana była z pisania listów do ludzi, którzy zarzucali jej nieuczciwość), pracowite, skoncentrowane na dochodzeniu do prawdy i wytrwałe co przekładało się na sukcesy ich kolejnych książek.

Grzela, powołując się na współpracowników Fallaci, przywołuje też zdarzenia, które świadczyły o jej wyższości, zamiłowaniu do rządzenia, wydawania poleceń: „[DUILIO PALLOTTOLI – dop. A.J.] Przywoził z lotniska, wnosił bagaże, bywało, że czekał na nią z kwiatami. W drodze go prowokowała. Traktowała jak taksówkarza albo kamerdynera. Ten spokojny jak ślup soli człowiek któregoś razu pomyślał, że ją zaraz zabije. Zatrzymał samochód, wysiadł, otworzył drzwi po stronie pasażera, wyciągnął Fallaci na zewnątrz, wyrzucił jej walizki i odjechał. Zostawił ją tak na Piątej Alei i zanim się zorientowała, co się stało, już go nie było” (s. 89).

Daniela Di Pace charakteryzowała Fallaci w następujący sposób: „Była bardzo smutna. I zupełnie samotna. Po *Wściekłości i dumie* odwrócili się od niej wszyscy przyjaciele. Oriana była divą, to nie była zwykła kobieta. Dotąd cały świat trzymała w ramionach. Nagle znalazła się w potwor-



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

nej pustce. Było mi jej żal. Zawsze goniła za miłością ludzi, mężczyzn, rodziny. Te prezenty, którymi zarzucała swoich ukochanych, to było wołanie o miłość. Była jej głodna i zawsze dawała więcej, niż dostawała. Zaakceptowałam ją taką, jaką była. I niczego nie chciałam” (s. 399). Życie zawodowe nie było jedyną sferą, jaką Grzela poddał drobiazgowej analizie. Równie ważna była szeroko pojęta prywatność dziennikarek. Fallaci prezentuje się jako zaborcza florentynka, która miała również ambicje pisarskie (opublikowała sagę *Kapelusz cały w czereśniach*): „Zażyczyła sobie, aby na pomniku było słowo »pisarz«. Uważała, że to więcej niż zawód. To istnienie” (s. 411). *Żyć* znaczyło dla nich gorliwie spełniać zadania, jakie stawiano przedstawicielom zawodu dziennikarza, lecz również doświadczając (ból, radości, strachu, złości i miłości).

Pomysł by zestawić ikony współczesnego dziennikarstwa, które wychowały się w odmiennych warunkach i zajmowały się tematami, których wybór determinowały warunki polityczne (Fallaci mogła swobodnie podróżować po całym świecie i zbierać materiały do swoich książek w niemal każdym państwie, jakie postanowiła odwiedzić, natomiast Torańska skupiła się w swoich książkach na rozliczaniu działań komunistów, śledzeniu losów emigrantów z roku 1968, a także zagrożeń, jakie pojawiły się po katastrofie prezydenckiego samolotu 10 kwietnia 2010 roku) okazał się świetny, a samo przedsięwzięcie budzi podziw ze względu na zgromadzone przez Grzelę informacje pochodzące od bratanka Fallaci – Edoarda Perazziego i męża Torańskiej – Leszka Sankowskiego. Książka *Podwójne życie reporterki* jest więc również prezentem dla bliskich dziennikarek. ■

Remigiusz Grzela: Podwójne życie reporterki. Fallaci. Torańska. Prószyński i S-ka, Warszawa 2020, s. 488.

Rocznicowe publikacje i książki dedykowane jakiejś osobie, mające chwalić instytucje, miejsca czy organizacje sprawiają radość zazwyczaj wyłącznie obdarowanemu. Zwykle są to „książki worki”, zbierają teksty niepowiązane z sobą jednym tematem, niejednokrotnie mają charakter wspomnieniowy. Niezależnie od ich wartości i charakteru poczytność takich pozycji zamyka się zwykle w niewielkim gronie odbiorców. Ale są wyjątki. Takim wyjątkiem jest najnowsza publikacja Miejskiego Ośrodka Kultury w Czerwionce-Leszczynach, ogłoszona wspólnie z Wydawnictwem „Vectra”. *Pasje strasburskie* Wilhelma Szewczyka ukazały się z okazji XXV edycji Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego „O Złote Cygaro Wilhelma” i miały swoją premierę podczas tegorocznej edycji konkursu. Za zgodą córki poety, Grażyny Barbary Szewczyk, po raz pierwszy opublikowano pełne wydanie wszystkich dziesięciu sonetów z cyklu strasburskiego, opracowano je krytycznie i wzbogacono instruktynym wstępem.

Marian Kisiel napisał: „Do poezji Wilhelm Szewczyk przywiązywał wielką wagę. Tworzył ją przez dwie dekady – od lat trzydziestych po lata pięćdziesiąte XX wieku. Ale zainteresowanie poezją było u niego organiczne. Był jej zwolennikiem, dał temu także wyraz w swoich esejach. To, że jego niemały dorobek poetycki przesłoniły proza i esastyka, nie oznacza, że jest on mniejszej rangi. W historii polskiej poezji ważne miejsce odgrywają dwa poematy: *Hanys* i *Noc*. Ale upomnieć się trzeba także o kilka liryków wielkiej urody, jak np. *Fragment*, *Pogrzeb Korfanteego*, *Robak*, czy też [...] o *Pasje strasburskie*”.

I oto się wypełniło. Wydany w osobnym tomiku cykl sonetów, choć ma charakter jubileuszowy, skierowany został dla szerokiego grona odbiorców. „*Pasje strasburskie* – zgodnie z wolą poety – poznaliśmy [dotąd] we fragmencie. Częstokroć ukazywały się w tomie *Posągi* i tak zostały przedrukowane później w wierszach wybranych. Dzisiaj niepodobna dociec, dla czego autor nie zdecydował na pełną publikację cyklu, zwłaszcza że jest to całość nienaruszalna” – napisał w zamykającej książkę nocie Marian Kisiel. Badacz jest też autorem opracowania krytycznego zamieszczonych w zbiorze liryków. Umieszczona na końcu zbioru nota edytorska oraz zasady wydania wraz z uwagami szczegółowymi pozwalają czytelnikowi na dokładniejszą lekturę zamieszczonych w zbiorze liryków. Podstawą wydania była wersja rękopiśmienna, której czytelnik także może się przyrzec. Każdy z liryków poprzedzony jest faksymile autografu. Miłośnicy rękopisów, wydań bibliofilskich i edytorskich nie będą zawiedzeni tym wydaniem. Zamieszczenie przedruków autentycznego pisma poety wpływa nie tylko na ich lekturę. Możliwość dokładnego przyjrzenia się charakterowi pisma poety, nielicznym skreśleniom i zastanowienia się nad nimi sprawia, że autor *Kleszczy* sta-

„Pasje” człowiecze



KSIAŻKI

EWA BARTOS

je się czytelnikowi bliższy, bardziej namacalny, staje się człowiekiem z krwi i kości. To, co oddalone w czasie (sonety powstały w 1942 roku), tym samym uzyskuje „ciało”.

Stało się tak za sprawą zarówno Mariana Kisiela, który nie tylko w zwęższej formie przedstawił barwną sylwetkę poety, ale także za sprawą Katarzyny Niesporek, która poprzedziła wstępem *Pasje*... Jest to raczej dogłębna analiza i interpretacja niż tylko wstęp. Badaczka dostrzegła w sonetach elementy „topiki Wielkiej Nocy”, „potwierdzenie dziedzictwa słowiańskiego”, „rzeczywistość wojny i śmierci”, śledząc konteksty i nawiązania, przyglądając się zarówno poezji, jak też kierując swoją interpretację w stronę odczytania historycznego. Przypomniała ważne słowa poety z tomu *Posągi*: „Młodość poetycką miałem trudną. Musiałem dźwigać w wierszu obrazy i szumy, których nikt przede mną nie zauważył. Nie wchodziłem nikomu w drogę, ale nie oczekiwałem też od nikogo pomocy. Z tego okresu niewiele mi pozostało utworów; jedne przepadły w ustawicznych zawieruchach domowych, wzniesianych przez niemieckie kontrole, innych wyparła się pamięć. [...] Potem nakryło nas ponure skrzydło wojny”.

Najważniejsza w lekturze Katarzyny Niesporek jest egzystencja ludzka. Utwory łączące w sobie jednocześnie trzy gatunki – pasję, lamentację i sonet – w tej interpretacji przenoszą uniwersalny motyw męki Chrystusa na poziom ludzkiego, jednostkowego doświadczenia. Szewczyk, zdaniem badaczki, „mówi o swoich prywatnych przeżyciach”, a „Sonety [...] stają się opisem męki istoty ludzkiej”. Perspektywa zaproponowana przez interpretatorkę sprawia, że utwory dla współczesnego czytelnika zbyt odległe w czasie, tematycznie określone, stają się ciągle aktualne. Niesporek napisała: „Podczas konania boskość Chrystusa schodzi na ostatni plan, najważniejszą staje się natomiast sfera ludzka – więź łącząca matkę z synem, współcierpienie,

odczuwanie”. Czytelnik potrzebujący pomocy w zrozumieniu wielowarstwowych znaczeń poezji Wilhelma Szewczyka odnajdzie we *Wstępie* liczne podpowiedzi i uściślenia, pozwalające dokładniej rozpoznać sensy zawarte w cyklu sonetowym. Interpretacja sięgająca nie tylko do kontekstów kultury, a skupiająca się na wątkach biograficzno-historycznych stanowi zaproszenie do poszukiwania w poezji śladów rzeczywistości, okrucich życia, czyniąc ją przez to ciekawszą i aktualniejszą.

Istotne w lekturze są także uwagi szczegółowe. Składają się na nie wyjaśnienie sensu dedykacji („Minie Witkojce, ostatniej poecie łużyckiej, w podzięce za Jej dobre listy”), ale także dokładna lokalizacja rękopisu i wszystkie przedruki poszczególnych sonetów. Edytor tłumaczy łacińskie tytuły utworów, wskazuje konteksty kulturowe, a także – co szczególnie ważne – osobliwości językowe tej poezji. „Szewczyk wielokrotnie odwoływał się w swoim cyklu do form językowo już przestarzałych, literacko podniosłych (*woje*, *ucznie*, *usty*, *nosim*, *gęśla*), wzbogacając archaizmy poetyckie o słowa gwarowe (*ostrzymno*, *prasta*)” – napisał Marian Kisiel, zamieszczając słowniczek wyjaśniający dawno zapomniane słowa.

Pasje strasburskie wydane po raz pierwszy w ich integralnym kształcie, opracowane filologicznie przez Mariana Kisiela i zinterpretowane krytycznie przez Katarzynę Niesporek, pozwalają czytelnikowi podjąć decyzję, co do kształtu swojej lektury. Pozwalają czerpać przyjemność z lektury zarówno znającym twórczość Wilhelma Szewczyka, jak i tym, którzy ją dopiero poznają. ■

Wilhelm Szewczyk: *Pasje strasburskie*. Opracował M. Kisiel. Wstępem poprzedziła K. Niesporek. Miejski Ośrodek Kultury – Wydawnictwo „Vectra”, Czerwionka-Leszczyny 2021, s. 79, 1 nb.

1 listopada 2021 roku minęła pierwsza rocznica śmierci poety Janusza Szubera. Gdy w 2020 roku ukazał się jego bibliofilski tomik *Zdrój uliczny*, zapewne nikt nie przypuszczał, że licznik urodzin pisarza zatrzyma się na wspomnianej liczbie.

Wiersze schyłkowe, ostatnie, senilne mają chyba u każdego poety zwiększoną moc wyrazu. Semantyczny maksymalizm wynika najpewniej ze swoistego widzenia panoramicznego, które obejmuje całe życie. Poetyckie spojrzenie odchodzącego jest szersze, pogłębione i ubogacone ostateczną refleksją. Nie inaczej jest u Szubera, który operuje kategorią pamięci, wyraźnie chcąc objąć całość swego egzystencjalnego doświadczenia. Inicjalny wiersz pod tytułem *Czemu? No, właśnie* sięga w głęboką pamięć rodzinną, wykorzystując zasłyszane kiedyś opowieści o pradziadkach i dziadkach, które teraz zastygają w lirycznej formie. Rodzajowa pojemność umożliwia zawieszenie czasu, wspomnienie osób fizycznie już nieobecnych, z którymi podmiot mówiący na swój sposób jest „teraz i poza teraz”. Stopniowe przesuwanie się „poza teraz” charakteryzuje twórczość dojrzałą, podszytą świadomością odchodzenia. Pojawiają się obrazy z przeszłości, które zwłaszcza w tym momencie egzystencjalnym wydają się jakieś nadzwyczajne, przywołane niespodziewanie zza kotary zapomnienia, by jeszcze raz zaistnieć, by objawić swój ontologiczny ślad. Z kolei sama terażniejszość jawi się nadzwyczaj wyostrzona, widziana jakby przez pryzmat innej, wiecznej rzeczywistości. Ciężko chory Aleksander Wat pod koniec życia pisał: „Uroda rzeczy nad ziemską / Gdy pada na nie ostatnie spojrzenie [...]” (*Uroda rzeczy*).

Poeta z Sanoka, Janusz Szuber, najpewniej także odczuwał bliskość śmierci, być może nawet jej się spodziewał, co przełożyło się na osobistą, wspomnieniową nutę wypowiedzi, w której dominuje ogląd pewnych wydarzeń z biografii, które będąc długo w ukryciu, teraz przypominają się ze zdwojoną mocą. Zarys historii rodziny zawęży się w finale utworu *Czemu? No, właśnie* do sytuacji, od której wszystko się zaczęło: „[...] starsza córka Stefana, / Ewa, nie wiecieć czemu, urodziła tego właśnie, / a nie innego, mnie”. Powracamy w tym miejscu do tytułu wiersza, w którym wybija się dramatyczne pytanie. Czy kryje się w nim ból związany z nieuleczalną chorobą, czy z innym aspektem zmagania życiowych – to pozostanie tajemnicą autora. Jedno jest pewne – próby dociekań wyroków przeznaczenia zajmowały poetę do końca, a otwarcie zbioru lirykiem z biograficznym akcentem gorczy świadczy o ostatecznym niepogodzeniu z losem. Skierowany bezosobowo wyrzut bólu, żalu i sprzeciwu zamyka się w pytaniu „czemu?”, będącym krzykiem rozpaczy nad, parafrazując ostatnie wersy, „tym właśnie, a nie innym, ja”.

Co jest dalej? Liryczny kalejdoskop życia zatrzymuje się na wierszowanym slajdzie zatytułowanym *Fabryka dolarów*. Reminiscentce dotyczą tu dzieciństwa spę-

Ostatni wpis

KSIAŻKI

dzionego w Krynicy Zdroju. Miejscowe nazwy własne oraz imiona członków rodziny wplatają się w nawiązanie do obrazu Nikifora, którego tytuł został zapożyczony do wiersza, przez co wątek rodzinny staje się tłem subtelnej ekfrazy, ukazując, że wczesny kontakt ze sztuką w pewien sposób naznaczył przyszłego artystę pióra. Następny wiersz, *Zdrój uliczny*, przenosi nas do lat szkolnych w Sanoku. Tytułowe określenie, którym autor opatrzył cały zbiór, dotyczy publicznego hydrantu. Mieszkańcy bez własnej studni czerpali z niego wodę. Co takiego szczególnego było w zdroju ulicznym, że urosło niemal do rangi symbolu? Najpewniej z tamtym okresem autor wiązał najlepsze wspomnienia, a źródł urosł w pamięci do skonkretyzowanej metonimii cudownych lat. Zdrój kojarzy się ze zdrowiem, vitalnością, z życiem pełnym energii. Wspomnienie zdroju ulicznego z wczesnej młodości jest mentalną odskocznią od trudów dnia codziennego. Dla poety to miejsce jest metaforycznym czakramem, który energetycznie na niego wpływa, poprawiając emocjonalną kondycję. Stychiczny *Corvus corax – kruk* to kolejny powrót do szkolnej rzeczywistości, zwłaszcza do lekcji rysunku. Wiersz budują pozornie niezwiązane ze sobą zdania, które odbijają migocące w świadomości twórcy sceny rodzajowe. Całość mieni się idyllicznie i beztrasko.

Do przełamania dochodzi w utworze *Był wtedy jeszcze*. Zmiana liryki bezpośredniej na pośrednią jest śladem walki, próbą wyparcia tego, co wtedy się wydarzyło, a co zostało opisane w realistycznej konwencji. Jesteśmy świadkami jakiegoś uświadamiającego zwrotu w biografii bohatera lirycznego, w czym utwierdza nas ostatni dystych: „na zawsze, jakby kto ręką odjął, przestał być, / kim był dotychczas”. *Początek pory deszczowej* to utwór z kobietą w tle, a wspomnienie sięga czasów akademickich. Gatunkowa kwalifikacja wiersza jako erotyku wydaje się uzasadniona mimo za-



TOMASZ PYZIK

wowolanych, mocno maskujących metafor. Następny liryk nosi tytuł *2019*. Szybko przeskakujemy do czasów współczesnych i wczytujemy się w obserwacyjne zapiski dotyczące ptasiej rodziny kosów. Nie opuszcza nas wrażenie, że za tą ornitologiczną deskrypcją kryje się inna warstwa znaczeniowa, że jest tam dyskretnie wpisana historia, która dzieje się – jak na końcu pisze poeta – „[...] tu i poza tu, / nie dalej wszakże niż o rzut beretem”.

I tak dochodzimy do ostatniej stacji tej osobliwej mapy życia, do ósmego utworu pod tytułem *Epigram*. Otwierające wiersz przysłowie „Co było, a nie jest, / nie pisze się w rejestr”, wiele mówi o skromności poety, o dystansie do własnych dokonań twórczych, ale także o znikomości i samotności. „Ideologie, które starają się wniknąć również do naszej prywatności, trzeba poskromić własną znikomością. W drodze ku prawdzie samotność jest orężem najpewniejszym” – pisał Marian Kisiel w książce *Pożegnania*, co Janusz Szuber, w dalszej części *Epigramu*, w otoczeniu „bytów niemetafizycznych”, potwierdza konstatacją: „na próżno przestrogi, oni swoje, a ja sobie”. *Epigram* jako gatunek wywodzi się z napisów informacyjnych, które w starożytnej Grecji były umieszczane na grobach. A zatem ostatni wiersz Szubera jest czymś w rodzaju testamentu, jest pożegnaniem. Krótka forma gatunkowa połączona z przeznaczeniem epigramatów jako inskrypcji nagrobnych i pomnikowych odzwierciedla w jakimś sensie motyw wanitatywny, a patrząc na całość zbioru, na te zaledwie osiem utworów, osiem obrazów z życia, dostrzegamy ponadepokowe nawiązanie do barokowej *Krótkości żywota* Daniela Naborowskiego. Bo ostatecznie życie okazuje się zawsze krótkie, a ta prawda najmocniej dociera do odchodzących. ■

Janusz Szuber: *Zdrój uliczny*. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2020, s. 24.

Tytuł *Hotel Globo* sytuuje nas wobec toposu homo viator, a już pierwszy wiersz potwierdza tę intuicję. Utwór przywołuje doborem środków poetyckich nuty renesansowego klimatu, kojarząc się dostojnością obrazowania z *Pieśniami* Jana Kochanowskiego. Przywołuje barokowe koncepty poezji metafizycznej np. topos *vanitas*, bawi się konwencjami, symbolami np. perłą, próbując dać nam do zrozumienia z całą poetycką wrażliwością, że Śląsk jest nie tylko częścią wielkiej tradycji, która swoimi korzeniami sięga bardzo głęboko, ale że można przy pomocy wszystkich dostępnych kanonów piękna go opisać. To swaista synteza pytań postawionych o niemal sto lat wcześniej w *Nieznanym kraju, czy w eseju* ks. Emila Szramka *Śląsk jako problem socjologiczny* i zadawanych do dzisiaj. Muszalik używając wszystkich tradycyjnych elementów opisu krainy: prezentacji krajobrazu, mieszkańców, ich języka, wiary, zwyczajów z premedytacją używa wyszukanych estetycznie obrazów, by jednocześnie bawić się, grać z czytelnikiem, ale i mówić serio. Nie pomija przy tym roli poezji i poety pisząc w owym „programowym” przynajmniej dla estetyki tomiku przesłaniu: „I każde słowo jest szorstkim zakładem / które na ląd ten cierpkim miodem ścieka. / Na ostateczne sensu odsłonięcie / komuś na pewno dane jest poczekać. // Lecz póki płyną kołyski i trumny, a swej ojczyzny poszukują ptaki, / niech słońce znaczy wciąż rumieńcem dumnym/ odczytujących pośród ścieżek znaki. // Z potoków schodzą chwilowe lodowce, / kręcą się koła szybów jak wrzeczona. / / Jeszcze iść muszą bezskrzydli wędrowcy / i jest ta ziemia jeszcze niespełniona”.

Ma więc nadal poezja moc ocalania, ocalania pięknem? Tak rozpoczęta Odysusowa wędrówka rozpisaną jest co najmniej według kilku kluczy. Pierwszy wiedzie w świat od domu, rodziny, na plac ku *Klopsztandze*, dzielnicę, miasto... – miejscem i ludziom najbliższym sercu, by iść *Dalej* (tytuł podrzędzia) do Italii, Sycylii na Ruś Czerwoną, czy do *Hotelu Globo*. Od tego co bezpieczne, wsołne do nieznanego, przynależnego, innego. Mariusz Jochemczyk opisał to tak: „Trudno powiedzieć, dokąd ostatecznie ze śląskiego matecznika wyprowadza lirycznego gospodarza tomu „klop sztanga”, konstrukcja „samotna niczym japońska brama Tori” – wiodąca „w sam środek istnienia.” Drugim kluczem jest czas, wszak nie bez kozery rozdział trzeci nosi imię *Wcześniej*. Trzecim temperatura. Opozycja chłodny – ciepły, zimny – gorący wybrzmiewa przy wielu okazjach polisensorycznego obrazowania jak w wierszu *Iwaszkiewicz*, który ma w sobie coś z klimatu tęsknoty Mickiewiczowskich *Stepów Akermana* i Horacjańskiego *non omnis moriar*. Przy czym nie brak w tym względzie wyszukanej subtelności, bowiem żar życiodajnej Sycylii zestawiony jest chłodem śmierci mazowieckiej róży: „Żegnaj mi, Sycylijo. Czas żegnać się z listkiem i naj-

By nie porwały go ręce złodziei



KSIAŻKI

PIOTR SKOWRONEK

mniejszym choćby płatkim zimnej róży./ Słyszysz? Idą kluczem gęsi nad Stawiskiem – one mnie zabiorą w największą z podróży.”

Jak przystało na poetę-prawnika znającego „odpowiedzialność” za słowo (poezja polska ma w tym względzie chlubne tradycje) całość została precyzyjnie zaplanowana, z upodobaniem do klamr, spięć czy nieco złamanej symetrii. Ta gra – jak napisał Piotr Wojciechowski – to poszukiwanie piękna przez pełne inwencji destylowanie słowników opisu i precyzyjne cyzelowanie formy.” Jednym z licznych przykładów takiej obserwacji może być obraz tragicznej śmierci brata prababci w wierszu *Thomas, czyli Tomasz*, który opisuje wojenne losy śląskiego chłopca wcielonego do Wehrmachtu: „Jest rodzinne podanie, jak zakończył służbę. Otóż/ mógł mieć więcej szczęścia i podczas wielkiego szturm / wejść w skrzyżowanie linii snajperskiej lunety – / ale on utopił się w bagnie. Mam go przed oczami/ w pułapce wysokich butów wwiercających się w dno / na krótką chwilę, zanim puste krążanki płuc / zamieniają się w cystyryne gęstawej polewy, / gdy klnie albo się modli, albo jedno i drugie. // Jeśli go znaleźli lub znajdują, to właśnie tak: / w kurtce z ciężkiego sukna, zastygłego w panice”.

Estetyzacja postępuje tu w miarę rozwoju opowieści z rodzinnej mitologii. Taka droga przygotowuje odbiorcę na wejście w obszar sacrum śmierci. Sama jest towarzyszeniem. Zresztą autor nie opuszcza nas prawie nigdy zlewając się ze swoim poetyckim portretem, i często zabierając głos w konwencji ja, jak w wierszu zamykającym tom dedykowanym Pamięci Pierwszej Matematyki mojego życia, a zatytułowanym *Babcia Isia*, który rozpoczynają słowa: „Chciałem, żeby wiedziała. I myślę, że wie”.

Po licznych portretach rodzinnych z rozdziału pierwszego *Blisko*, który zamyka śląski odpowiednik japońskiej bramy Tori udajemy się *Dalej* do słonecznej Italii, by tak ją przywitać: „Podążam – ja, barbarzyńca

– z krain gościnnych dla śniegu / śladami armii, pielgrzymów w stronę Wiecznego Rzymu./ żeby znowu pokonać siedem lałyńskich wzgórz / i stanąć na Piazza Navona, ujrzeć / budzące się miasto w swój stutysięczny wieczór.” Czyż nie urocza stylizacja, nie pyszna zabawa na Piazza Navona, gdzie *fontana dei Quattro Fiumi* jest kolejnym „pępkim” świata. Uroczysty ton dopełnia nawet metryka wiersza *W drodze do Rzymu, 20 lipca 2015 roku*. Takimi smakami Muszalik będzie się dzielił z nami często. Pokosztujemy miejsc, gdzie „pęka widnokrąg od żaru” i „lato upalne aż nadto”, „pluskają lekko łódki”. Muszalik nie podróżuje, a odbywa podróże smakując świat razem z nami.

Tytułowy *Hotel Globo* zaczyna się tymi słowami: „Kanarkowa fasada w stylu kolonialnym/ ponad placykiem starej części João Pessoa. Wchodzimy po marmurowych schodkach Hotelu Globo, / po których gibki boy był zbiegał po walizki / co poważniejszych podróży w stanie Paraiba”.

Temu, kto zachwycał się okładką, obraz hotelu może wydawać się zdradą. Szarość akwareli, z której wynurza się miejski hotel nie koresponduje z kanarkowatością jego kolonialnego bliźniaka. To pozory. Kto w lekturze dotarł już aż tutaj wie, że senna, marzycielska, oniryczna atmosfera z nutą jakiejś późnoletniej nostalgii za życiem, smutkiem tropików i czasem zaprzestym jest jedną z barw tomiku. Grzegorz Chudy bardzo intuicyjnie odmalował je kolorami przemijania: sepią, umbrą paloną, ochrą, wyblakłym błękitem. I tylko uwolniony balonik, jego żywa czerwona tkanka unosi nad każdym obrazem niczym znak, jakaś swobodna, uciekająca nam iskra życia, a przecież: „Coś majaczy z daleka. Przyszłość, niezamieszka / jak Hotel Globo, przed pierwszymi gośćmi”.

Michał Muszalik: *Hotel Globo*. Biblioteka Śląska, Katowice 2021, s. 68.

Tom poetycki Edwarda Zymana otwiera motto zaczerpnięte z rozmowy Mirona Białoszewskiego ze Zbigniewem Taranienką dla „Argumentów”, skąd również pochodzi tytuł książki: „Dochodzenia, skojarzenia, sytuacje dialogowe, jakieś historie. [...] Ważne są wszystkie szczegółiki, bo inaczej to nie będzie nasycone. Czytając *Dzienniki Nałkowskiej* ze wzruszeniem znalazłem jej zwierzenie, że doszła do tej mądrości szacunku dla każdego choćby byle jakiego drobiazgu życia. Bez tego jest tylko literatura, aforyzm, brak człowieka”. Przyglądając się rozmaitym sytuacjom lirycznym, które autor poddaje refleksji w *Inaczej nie będzie nasycone...*, można bez trudu stwierdzić, że doszedł on w życiu do tej samej mądrości, do której doszła, wspomniana przez Białoszewskiego, Zofia Nałkowska. Edward Zyman tworzy dojrzałego bohatera lirycznego, zdającego sobie sprawę z biologicznych, przemijających i efemerycznych aspektów własnej podmiotowości – ze swojego wieku, kondycji, sprawności, na które nie ma wpływu i przed którymi nie może się uchronić. Podmiot ten jest pełen wdzięczności i szacunku do każdego z elementów otaczającego go życia – pełen zadumy wspomina przeszłość, spełniony snuje rozważania nad terażniejszością.

Cały tom oparty jest na pracach malarzki Joanny Dąbrowskiej, polskiej malarzki mieszkającej i tworzącej w Kandzie. Poetza Zymana i obrazy Dąbrowskiej, choć niepowiązane tematycznie, tworzą harmonijne zestawienie, w którym to docenianie detali życia usytuowane zostaje obok dbałość o malarzkie detale. Zbiór cechuje spójna kompozycja – podzielony został na cztery części: *Z dziecięcej fabryki złudzeń*, *To brzmi jak żart*, *Dialogi domowe* oraz *Zapiski z innego świata*, a w każdej z nich poeta obnaża przed czytelnikiem inny rodzaj prywatności, zapraszając do wzięcia udziału w wydarzeniach z życia podmiotu. W ten sposób, czytelnik staje się obserwatorem codziennych wydarzeń i rozterek. Zostaje zabrany w nostalgiczną podróż do miejsca dzieciństwa i młodości, w intymny świat rozmyślań nad przemijaniem, w mury domu, gdzie przyglądając się czulej, rodzinnej atmosferze, staje się jego częścią. Dom ten, stworzony na kartkach papieru, jest wypełniony bliskimi osobami, ciepłymi słowami oraz emocjonalnymi monologami. Nie zabrakło w nim miejsca również dla najbliższego, nie-ludzkiego, czworonożnego przyjaciela, który dostarcza wielu pozytywnych bodźców, ale również autorefleksyjnych przemyśleń na temat istnienia, bytu, świadomości.

Powracając do wspomnień lat dziecięcych, podmiot dokonuje rozliczenia z nieuchronnym biegiem czasu – przywołuje doświadczenia chłopca, konfrontując je z obserwacjami dojrzałego, rozumnego, racjonalizującego i osuwającego sobie starość, mężczyzny. W ten sposób zbudowana jest pierwsza część tomu zatytułowana *Z dziecięcej fabryki złudzeń*.

Zyman zabiera nas w podróż wspomnieniami do tajemniczego miasta R., które mo-

Notatki z życia

KSIAŻKI

zemy, sięgając do biografii poety, powiązać z jego rodzinnym Radomskiem. Podmiot, powracając na znajome place, posesje, ulice, podwórka, bramy, przedstawia historię i doświadczenia swoich młodzieńczych lat, jednocześnie oddając hołd miejscu i osobom, którym również jest ono bliskie – które dorastały wraz z nim. Maluje Polskę lat pięćdziesiątych jako miejsce słodko-gorzkie, oglądając krainę dzieciństwa z perspektywy osoby świadomej realiów powojennego świata. Polska ta nie jest wolna od represji, przerażających tajemnic i cenzury, wzbudających ciekawość oraz podświadomy opór w nastoletnich chłopcach. Powrót do młodości stanowi punkt wyjścia do refleksji na temat starości, będącej dla młodego podmiotu „pustym dźwiękiem który nie kojarzy się / z niczym”.

Oczami osoby starszej, doświadczonej podmiot spogląda również w drugiej części tomu zatytułowanej *To brzmi jak żart*, gdzie poddaje obserwacji uniwersalne, ale także nieuchronne zjawiska, takie jak samotność, prawdę, życie, śmierć, starość. Rozważania filozoficzne poety dobitnie ukazują prawdziwy obraz życia, które jest „coraz bardziej kruche / i złośliwie jak kapryśne / dziecko niby patrzy / w oczy lecz ciągle / kombinuje na boku”; życia pełnego złudzeń, rozczarowań, zmartwień i niespełnionych oczekiwań. Ta część tomu jest więc próbą uporządkowania swojego świata wartości oraz pogodzenia się z rzeczywistością, na którą żadna jednostka nie ma wpływu.

Dialogi domowe są istotne dla podtytułu tomiku: *Notatnik domowy z lat dawnych i nowych*. Jest to bowiem najbardziej intymny i prywatny cykl utworów, w których to odbiorca staje się świadkiem domowej codzienności, trudnych rozmów, obrazów z rodzinnego otoczenia. Poeta bierze na warsztat prawdziwie małe, prozaiczne rzeczy, których doświadcza niemalże każdy człowiek – kłótnie, wspólnie spędzane wieczory (ale również te spędzane osobno), wspólne życie u boku drugiej osoby, odar-



ALICJA WOSIK

te z fikcji i niewyidealizowane – prawdziwe, takie, jakim jest.

Zwieńczeniem tomu jest ukazanie świata z perspektywy czworonoga, który również posiada swój świat – *inny świat*. W *Zapiskach z innego świata* Edward Zyman pozwala dojść do głosu zwierzęciu, konfrontując dwie perspektywy – człowieka i psa, co staje się punktem wyjścia do odmiennego spojrzenia na tematy podjęte w poprzednich cyklach. Oddanie głosu psu jest zmianą punktu widzenia, konieczną do spojrzenia na życie z szerszej perspektywy, z większą wrażliwością i wdzięcznością. „Dziwny jest ten wasz świat dwunożnych / do którego nie mamy dostępu” – pies nie rozumie rzeczywistości człowieka, jednak stara się ją obserwować, podobnie jak człowiek obserwuje jego rzeczywistość, zastanawiając się „co ty tam widzisz / z tych niebotycznych wysokości na które / cię wzniosły twoje nieprzyzwoicie długie / kończyny”. Pies jest przyjacielem, towarzyszem i pomocnikiem, który wyczuwa napięte sytuacje, a nawet podejmuje działanie, aby ludzie nie zamilczeli się na śmierć (*I znów*).

Z utworów Edwarda Zymana wybrzmiewa ogromna wrażliwość i spokój właściwy osobie pogodzonej z rzeczywistością, wdzięcznej, czerpiącej to, co pozytywne z każdego drobiazgu. Taką osobę można nazwać nasyconą – jej wszystkie pragnienia zostały zaspokojone, nie czuje niepewności, lęku, napięcia. W tej postaci, nasyconie bijące z całego tomu jest tożsamość z zgodą oraz spełnieniem osoby dojrzałej i świadomej. Takie nasyconie stanowi wyraz dojrzałości artystycznej i życiowej, jest godnym zwieńczeniem twórczości, domyka ją i stawia jako spójną całość.

Edward Zyman: *Inaczej będzie nie-nasycone...* Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Toronto-Rzeszów 2021, s. 103.

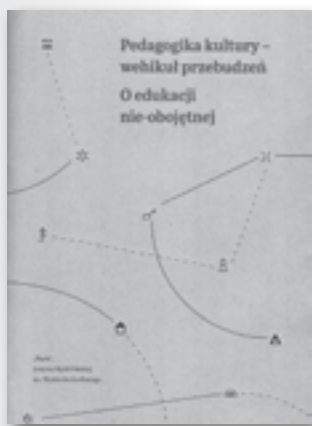
KSIAŻKI NADESŁANE



Karolina Kwaśna

Potworne czy nienazwane? Szkice o polskich przekładach opowiadań Howarda Phillipsa Lovecrafta

Wydawcy: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2021.



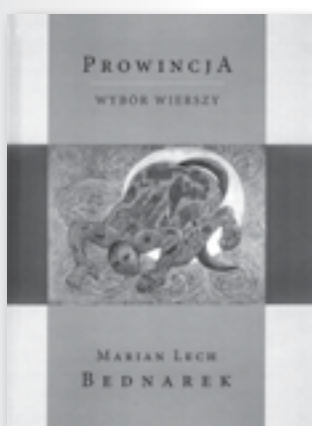
Pedagogika kultury – wehikuł przebudzeń. O edukacji nie-obojętnej

Pod redakcją Krzysztofa Maliszewskiego. Wydawcy: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego, Katowice, 2021.



Gdzie skarb twój... Myśli błogosławionego Jana Franciszka Machy prezbitera i męczennika

Wydawca: Księgarnia św. Jacka, Katowice 2021.



Marian Lech Bednarek

Prowincja. Wybór wierszy

Wydawca: Wydawnictwo Pisarze.pl. Warszawa 2021



Janusz Pasterski

Rysunki naskalne

Wydawca: Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2021.



Maja Elżbieta Cybulska

Okienko. Notatki

Wydawca: Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2021.

Miasta regionu w świątecznej odświeżeniu

ZEBRAŁ: TOMASZ BIENEK

Włodarze miast śląskiej aglomeracji dołożyli starań by na głównych placach i ulicach czuć było magię świąt. Pojawiły się bożonarodzeniowe choinki, specjalne oświetlenie, a w wielu miastach zorganizowano świąteczne jarmarki.

Jednym z miast, gdzie nastrój świąt wyjątkowo udziela się tak mieszkańcom jak i przyjezdnym, jest graniczny Cieszyn.

– Na placu Rynku ustawionych zostało 13 domków, w których przez cały okres trwania kiermaszu można znaleźć unikatowe i niepowtarzalne dekoracje świąteczne, obrusy i ręcznie robione kartki oraz bańki bożonarodzeniowe, drewniane zabawki, a o iście grudniowy klimat dbają wystawcy sprzedający niezwykle aromatyczne wino oraz miody. Oczywiście całości dopełniają świąteczne dekoracje – mówi Barbara Stelmach-Kubaszczyk z Wydziału Kultury i Promocji Miasta Urzędu Miejskiego w Cieszynie.

Świąteczną atmosferę czuć też w Gliwicach. Tutaj nad Drogową Trasą Średnicową ustawiono choinkę o wysokości 20 metrów. Z kolei dziesięciometrowej wysokości choinka pojawiła się przed Urzędem Miejskim. Świeci się na niej 15 tysięcy lampek. Spore wrażenie robi też drzewko na ul. Dworcowej, jednak to tylko część świątecznych dekoracji.

– Świetlne tunele stanęły w miejscu fontanny na placu Piłsudskiego oraz na placu Grunwaldzkim, gdzie pojawiła się też nowość – między gałęziami drzew zawisła efektowna girlanda – informuje Małgorzata Hatałska z Wydziału Promocji

i Komunikacji Społecznej Urzędu Miejskiego w Gliwicach. – Przy ul. Dworcowej poza choinką pojawiły się świetliste renifery, a na placu Krakowskim – las świetlnych drzewek. W parku Chopina przed wejściem do Palmiarni stanęła choinka, a na budynku zawisły figury aniołów, pojawiły się też sanie z reniferami. Specjalną oprawę zyskał Rynek – latarnie przyozdobiły świetlne iluminacje, na balkonie Ratusza stanęła kolejna choinka, a przed nim bożonarodzeniowa szopka. W okresie okołoswiątecznym, podczas Gliwickiego Jarmarku Bożonarodzeniowego, Rynek będą zdobić również m.in. świąteczne stoiska, karuzela wiedeńska i świąteczna piramida zamocowana na największym z jarmarcznych domków. Ciekawe ozdoby w kształcie migających choinek upiększyły gliwickie ronda, m.in. generała Andersa, Lecha Kaczyńskiego i prof. Stanisława Fryzego.

Podniosły nastrój zapanował w Rybniku. Na rybnickim rynku ustawiona została 10-metrowa choinka. W tym roku ustrojona jest w kolorach niebiesko-srebrnych. – Pracownicy rybnickiego Zarządu Zieleni Miejskiej od wielu dni sukcesywnie rozwieszali świąteczne dekoracje. A było co wieszac, bo w tym roku ustawionych i przyozdobionych jest około 40 choinek, na których zawieszono ok. 2000 bombek i 1700 innych elementów dekoracyjnych – wyjaśnia Agnieszka Skupień, rzecznik prasowy rybnickiego Urzędu Miasta. – W mieście rozblęły cztery kilometry sznurów świetlnych, 140 elementów na-



Odwiedziny św. Mikołaja w Cieszynie. (fot. UM Cieszyn)

stupowych, 12 elementów pomiędzy elewacjami. Wśród tegorocznych nowości znalazło się 40 elementów nasłupowych w kształcie choinki w różnych dzielnicach miasta, nowa dekoracja ulic Korfańskiego i Zamkowej oraz scenka świetlna z ławeczką na rynku. Przyozdobił fontanny i ustawiono dwie stajenki. Na rynku stanęły też sanie z reniferami. Do Rybnika wróciła też ubiegłoroczna atrakcja rynku – koło widokowe, czyli tzw. diabelski młyn.

W Rudzie Śląskiej na początku grudnia na ulicach miasta pojawiło się ponad 100 ozdób świątecznych, które zainstalowano na latarniach oraz w centralnych punktach miasta. Świąteczna i dekoracje zostały zamontowane m.in. na słupach oświetlenia ulicznego. Są to aniołki, gwiazdy, bombki z kokardą, bombki na gałązce oraz choinki i śnieżynki. Część z nich to dekoracje płaskie, a część ma formę przestrzenną. W kilku miejscach zainstalowano także wolnostojące ozdoby przestrzenne. Pojawiły się one na przykład na placu Jana Pawła II.

Choinka w dzielnicy Nowy Bytom w tym roku ma 10 metrów wysokości. Na jej wierzchołku można podziwiać świecąca gwiazdę 3D, a oplatają ją szarfy z kokardami, podświetlone na niebiesko. Nie zabrakło też bombek w kolorystyce srebrnej i niebieskiej. Specjalnie oświetlony został zabytkowy wagon tramwajowy na rondzie w Chebziu, który świeci trzema kolorami. Z kolei przed kopalnianymi wagonikami na rondzie w Halembie stoi ciągnący je renifer.

– Koszt świątecznego oświetlenia miasta w tym roku wyniesie blisko 160 tys. zł. Kwota ta obejmuje wynajem, montaż, utrzymanie, konserwację oraz ewentualne naprawy, a następnie demontaż oświetlenia – dodaje Wojciech Grzesiczek z Wydziału Komunikacji Społecznej i Promocji Miasta Urzędu Miasta Ruda Śląska.

W Tychach jak co roku, oświetlona została fontanna na Placu Baczyńskiego. Stała tam także dziesięciometrowa choinka oraz nowość: sanie z reniferem. Dekoracje pojawiły się także na latarniach wokół placu. Rynek został udekorowany dziesięciometrową choinką. Na latarniach pojawiły się ozdoby w kształcie śnieżynek. ■



Bożonarodzeniowy nastrój w Parku Śląskim. (fot. Rafał Zduńczyk / Park Śląski)



Cieszyński Rynek oraz Jarmark św. Mikołaja. (fot. Cieszyński Ośrodek Kultury)



Centrum Gliwic tonie w nastrojowych dekoracjach. (fot. M. Buksa / UM Gliwice)



Rybnik w bożonarodzeniowej szacie. (fot. Lucyna Tyl / Urząd Miasta Rybnika)



Ruda Śląska – choinka na placu Jana Pawła II. (fot. Wydział Komunikacji Społecznej i Promocji Miasta / Urząd Miasta Ruda Śląska)



Świąteczna panorama Parku Śląskiego i Wesołego Miasteczka (fot. Rafał Zduńczyk / Park Śląski)



To zdjęcie nie wymaga komentarza. (fot. Piotr Podsiadły / UM Tychy)



Do Rybnika wróciło koło widokowe, czyli tzw. diabelski młyn. (fot. Lucyna Tyl / Urząd Miasta Rybnika)



Rozświetlenie choinki w Bielsku-Białej. (fot. Paweł Sowa / UM Bielsko-Biala)

Wrocławianin z Łucka

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Czasami zdumiewająco łatwo zostać bohaterem. Wystarczy wysłać hordę uzbromionych po zęby siepaczy z rozkazem, aby zabijali bezbronne dzieci, bezradne kobiety, bezsilnych mężczyzn. Nawet nie trzeba strzelać, tylko używać noży, siekier, wideł, brzytw, pił. Po co amunicję marnować? Ta się przyda na grubego zwierza. Później takim bandytom, gwałcicielom, mordercom, zbrodniarzom bez krzty litości, pokory, moralności, wiary – stawia się pomniki. Mnożą się te pomniki stale, oj mnożą – wy macie swoich bohaterów, my mamy swoich. A że nasi to zwykłe rezuny? Cóż, każdy naród my takich bohaterów, na jakich zasługuje.

Ofiarami owych „bohaterów” padły dziesiątki tysięcy Polaków. Na szczęście, dzięki łasce Bożej, niektórym – jak mojej rodzinie – udało się przetrwać. Dziś ich potomkowie – potomkowie wygnańców – mieszkają w Bytomiu, Katowicach, Wrocławiu, Legnicy, Poznaniu, Szczecinie i wielu, wielu innych miastach i miejscowościach.

Jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych przeglądałem katalog wiedeńskiego wydawnictwa Ariadne, który podarował mi Bogusław Schaeffer. Pono zamierzał polecić temu wydawnictwu jedną z moich partytur. Do wydania nie doszło, bo Schaeffer zgubił rękopis i tzw. kalki potrzebne do druku, a ja musiałem je następnie odtwarzać ze śmiertelnie bladej, paskudnie zabrudzonej przez marną maszynę kopii kserograficznej. Właśnie wtedy zacząłem stopniowo odsuwać się od jego kręgu (oczywiście z wyjątkiem Barbary Buczkówny i serdecznej przyjaciółki, kompozytorki Kasi Stępniewskiej oraz kilku innych osób). Mówiąc delikatnie: gubienie rękopisów nie zbyt mi się spodobało.

Pozostał wszak katalog, w którym natknąłem się na ciekawe nazwisko: Richard Klisowski. Kto zacz? Najpierw myślałem, że to Austriak słowiańskiego pochodzenia, jakich do dziś wielu. Potem, że może osiadły w Austrii Polak (też ich tam niemała gromadka). Dopiero po intensywnym szperaniu (a chciałem wiedzieć kto to, bo kilka fragmentów jego partytur zamieszczonych w katalogu wyglądało zachęcająco, a ja lubię rzeczy nowe poznawać) dowie-

działem się, iż Ryszard Klisowski to wrocławski kompozytor rodem z Łucka, którego rodzinie udało się przetrwać czas rzezi i poniżenia. Klisowscy osiedli na zachodnich rubieżach nowej Polski – im dalej od barbarzyńców, tym lepiej. Zmylił mnie ten Richard, prawdę mówiąc nie jestem zwolennikiem takich zabiegów, ale co tam – liczy się muzyka, a nie pisownia imienia albo nazwiska.

Klisowski (rocznik 1937) nosi Łuck w sercu, jest jednym z ostatnich przedstawicieli tej unikalnej formacji kulturowej, która przez wieki wykształciła się na Kresach i którą II wojna bezpowrotnie zmioła w niebyt. Nota bene innym takim kompozytorem był, dziś zbyt rzadko obecny na naszych estradach, Andrzej Nikodemowicz (1925–2017).

Ryszard Klisowski to oryginał, twórca, który zasługuje, by pisać o nim nie z okazji jakichś rocznic, tylko z tytułu jakości całego dzieła. Zasługuje na książki, a co najmniej prace doktorskie. Maluje, rysuje, pisze *poezję sonorystyczną* (tak ją nazywa), w której na podobieństwo starych a poczciwych futurystów i dadaistów bawi się językiem, znaczeniami, pisownią i składnią. Wcale pokaźna liczba jego wierszy sonorystycznych ma, według mnie, realną wartość.

Przed wszystkim jednak jest kompozytorem o dużym, urozmaiconym i niebłahym dorobku. Absolwent wrocławskiej Akademii, studia uzupełniał w Wiedniu pod kierunkiem znakomitości takich jak Roman Haubenstock-Ramati (kompozycja), Erich Urbanner (również kompozycja) i Dieter Kaufmann (muzyka elektroakustyczna). I tu wyjaśnia się oczywiście związek Ryszarda/Richarda z Austrią i tamtejszym środowiskiem muzyczno-wydawniczym. Mnie pociąga zwłaszcza twórczość elektroakustyczna Ryszarda Klisowskiego, zarówno utwory instrumentalne z towarzyszeniem dźwięków elektronicznych, jak też te wyłączone, jak się to nadal mówi, „na taśmę”. Rzućmy np. uchem na jego *In Memory of John Cage*, dzieło z 1994, w mojej ocenie jedno z najlepszych w dotychczasowej, bardzo przecież bogatej historii polskiej muzyki reprezentującej ów ga-

tunek. Dźwiękowość *In Memory...* reprezentuje okres przejściowy między epokami analogową i cyfrową. Spotykają się w niej elementy obu technologii (oczywiście jeszcze przeważa tu język „analogowy”): ta muzyka o hieratycznej sile oddziaływania jest zadziwiająco wielowarstwowa, wysoce niepokojąca, dramatyczna, utrzymana w stylu „zorganizowanego chaosu” – trzeba jej uważnie słuchać, albo wyłączyć odbiornik! Jest to więc muzyka prawdziwa, której nie da się traktować jako dźwiękowej tapety. Podobnie mocną, bezwzględnie estetykę prezentuje *The Rays of K2* z 2006, utwór elektroakustyczny poświęcony, jak pisze kompozytor, „ofiaram terroru i zbrodni ludobójstwa dokonanych na obywatelach polskich, a głównie na Polakach, Żydach i Romach w okresie od 1939 roku”.

Przyznaję, iż w tym przypadku moja niechęć do sztuki powstającej w takich intencjach nie ma absolutnie żadnych podstaw: *The Rays of K2* to narracja poruszająca, wręcz wstrząsająca swoim bólem. W *In Memory of John Cage* porywa wielowymiarowa, „piętrowa” faktura, w przypadku *The Rays of K2* kompozytor ogranicza się do jednego typu prostej, ostrej, metalicznej faktury tożsamej z nieustającym krzykiem rozpacz i cierpienia.

Inne kompozycje Ryszarda Klisowskiego potrafią iskrzyć się ekscytującymi „barwospadami”, jak np. w *Polichronii* na zespół perkusyjny z 1974 (bez elektroniki, ale „elektronicznie” brzmiący!). Utwór do dziś zachowuje świeżość, bawi kalejdoskopowością przebiegu oraz nieskrępowaną radością podróżowania wśród różnorodnych perkusyjnych technik i zabiegów ekspresyjnych. To samo słyszymy w kompozycji *Dyptych for improvising violin and electronic media* z 2019: napisany dla wielce utalentowanej skrzypaczki-improwizatorki, Anny Zielińskiej, *Dyptyk* to pełny humoru labirynt zwodniczego, współczesnego hałasu. W tych dwu dziełach widzimy (słyszemy) innego, przekornego Klisowskiego – mądrego czarodzieja dźwięku.

Twórca wyjątkowy, lecz i skromny, Ryszard Klisowski pozostaje w cieniu – taka jest wszakże cena odmienności. ■

Zapach fajki

Marek Pytasz

9 kwietnia 1953 – 2 grudnia 2021

MARIAN KISIEL

Najpierw wspomnę tamten lipiec, jego początek, czterdzieści lat temu. Sprawdziłem w kalendarzu: 1 lipca przypadła w środę, więc musiała to być środa. Ciasny budynek na ul. Bieruta 11 w Sosnowcu był zatłoczony. Rokrocznie ponawiane święto zatłoczenia... Odbywały się egzaminy wstępne na polonistykę. Było to w czasie, kiedy wszyscy zlatywali się, niezależnie od tego, czy wchodził w skład komisji egzaminacyjnej, czy nie. Na ogół wchodził, ponieważ kadra była nieliczna, a kandydatów nadto. Więc pewnie wtedy, na pewno wtedy, przemknął mi przed oczami niewysoki, z fajką w ręce (fajka dodawała splendoru, a zapach czerwonej Amphory wyjątkowości), dwudziestoosmioletni asystent. Nazywał się Marek Pytasz.

Już wtedy był rozpoznawalny, a przynajmniej obdarzony wielką sympatią studentów. Nie wszyscy się nią cieszyli. Nudzili, kwékali, byli jak tran, a Pytasz – uśmiechnięty, zachęcający do lektur nieoczywistych, wybuchający rubasznym śmiechem, łamiący przegrody, niwelujący granice zależności, tak! – przyciągał. Dopiero po latach zrozumiałem, że zapewniał w ten sposób jakąś pustkę, o której tutaj nie ma co pisać, ani nie ma potrzeby się nad nią rozwodzić. Przyciągał, dlatego wybaczyliśmy mu jego różne grzeszki, bo – choć prawdziwe – były dla nas teatralną maską.

Był ze szkoły Ireneusza Opackiego, czym się chlubił. Była to zresztą rozpoznawalna cecha uczniów Profesora, grzejących się w blasku jego charyzmatu, choć idących w odmienne strony niż Mistrz. Opacki narzucał swoim uczennicom i uczniom własne pomysły – a to lekturę romantyków mniejszych, a to Skamandrytów. Brali pod uwagę im tematy, nie wkraczając na obszar przez Mistrza ogrodzony. Marek Pytasz idealnie potrafił się wywinąć z narzuconej roli. Ponieważ nigdy nie był zagorzałym interpretatorem liryki, czemu zresztą dawał niejednokrotnie wyraz, skierował się

w stronę socjologii literatury, czytelnictwa, a ponieważ nie rozwinęła się wtedy w pełni jeszcze ta gałąź literaturoznawstwa, którą dzisiaj nazywamy „kulturą literacką”, więc jego poszukiwania wstępne były poniekąd poboczne: literatura a film, literatura elitarna vs popularna, literatura w perspektywie czasopiśmiennictwa. To pozwalało mu zachować niezależność myślenia w kręgu zależności Mistrza.

Był w poznawaniu literatury zachłanny. Chciał swoim spojrzeniem ogarnąć całość literatury dwudziestowiecznej, a jednocześnie nie rezygnować z wnikliwej interpretacji utworów pojedynczych. Taka zachłanność jest charakterystyczna dla młodego wieku, później przychodzi opamiętanie. Albo nie przychodzi. Marek Pytasz w pewnym momencie swojego życia zrozumiał, że trzeba rozsądnie dzielić pragnienia. Historii literatury widzianej jako przebieg idei, postaw i jednostkowych rozwiązań oddał więc swoją inną, niezwykłą umiejętność: przyjacielskiego grupowania ludzi wokół zespołowego projektu. Tak zrodziły się jego (redaktorskie i współredaktorskie) słowniki i antologie, z których dzisiaj uczą się studenci i uczniowie: *Słownik literatury polskiej*, *Słownik bohaterów literackich*, *Antologia poezji polskiej*. Nie podaję dat przy wydaniach, ponieważ są one dla mnie nieznane, a wznowień było tyle, że ich nie ogarniam. Do tych edycji angażował cały literaturoznawczy zespół śląskiej polonistyki. Nikt mu nie odmawiał, ponieważ za jego zaproszeniem nie kryło się żadne kłamstwo. On naprawdę chciał, żeby studenci i młodzież mieli dostęp do porządnej wiedzy.

Tak samo było z pierwszym w Polsce – na taką skalę zakrojonym – kompendium o może zbyt zobowiązującej nazwie: *Literatura emigracyjna 1939–1989*. To była autorska – śląskiej polonistyki – wersja nowej syntezy. W pierwszej połowie lat 90. była taka, jaka była. Ale na długi czas określiła ogład kilkudziesięcioletniej obecności

polskiej literatury poza granicami kraju. To była niezwykła zasługa Marka Pytasza, rzeczywistego, a nie urojonego twórcy badań nad polską literaturą na Obczyźnie po 1939 roku.

Do tej literatury sam dochodził z pewną opieszałością. Jako student, a później młody asystent Opackiego, *nolens volens* musiał wejść w obręb zagadnień, które znał Mistrz i które pozostawały w kręgu jego zainteresowań. (Dzisiaj jest już inaczej, choć jeszcze spotkać można relikty zaprzęskiej pychy). Skamandryckie poszukiwania Pytasza zogniskowały się więc na Skamandrycie, czyli na osobie Antoniego Słonimskiego. Słonimski umarł w roku 1975, wszystkim był uprzednio znany z klasycystycznych wierszy, różnych form teatralnych i literackich, a przede wszystkim z ciętości języka i anegdoty, która go otaczała. Pytasz wziął na warsztat naukowy jego *Kroniki tygodniowe* z lat 1927–1939, drukowane na łamach „Wiadomości Literackich”. Stały się one podstawą pracy doktorskiej. W streszczeniu rozprawy napisał, że zamierzona przez niego monografia „jest rzeczą praktycznie nie do napisania, gdyż raczej byłaby ona prywatną historią dwudziestolecia. Wynika to z istoty felietonu jako gatunku. Dlatego obowiązkiem piszącego o kronikach jest dokonanie wyboru”. I ten wybór został dokonany – lepiej, gorzej, na tamten czas jednak odpowiedzialnie.

Tkwiał w nim, być może, pewien ukryty pokłon złożony prof. Alinie Kowalczykowej (była recenzentką doktoratu) i Adamowi Michnikowi, obojgu w swoim czasie sekretarzom poety. Był w nim także jakiś prywatny znak autobiograficznego przyznania, które swoją doniosłość ujawniło w tytule cytacie książki podoktorskiej (1987): *Nie mam recepty na zbawienie świata...* Podtytuł, naturalnie, wskazywał, że rzecz się koncentruje „wokół *Kronik tygodniowych* Antoniego Słonimskiego”, niemniej kto był rozsądny – wiedział. Tytułowe motto od-



syłało do światopoglądu poety, wskazywało na jego historyzoficzny optymizm, który opierał się na przywiązaniu do świata, a zwłaszcza do takich kategorii poznawczych, jak prawda, wolność, moralność, które w dążeniu do postępu nie ustają; pozostając niezmiennie, współtworzą każdorazowo odpowiedzialne podejście człowieka do tego co jednostkowe i globalne.

Każda książka ma swój wewnętrzny porządek i swoją ideę główną. Skupiam się tutaj nie na zdawaniu sprawy ze spisu treści, tylko na intencji autorskiej. I to samo chcę powiedzieć o drugiej monografii Marka Pytasza. Nosi tytuł: *Wygnanie – emigracja – diaspora*. Trzy niezwykle ważne słowa, które w drugiej połowie XX wieku stały się przyczyną literaturoznawczych debat. Pytasz umieścił je w centrum tytułu, świadomy, że bez metodologicznego rozstrzygnięcia nic się tu nie obejdzie. Podtytuł był jednak bardziej zastanawiający: *Poeta w poszukiwaniu czytelnika*. Nie dajmy się jednak zwieść strukturalistycznemu tytułowi i eseistycznej dezynwolucje podtytułu. Badacz napisał: „Nie interesuje mnie literatura jako taka, ale jej społeczne konteksty funkcjonowania w diasporze, życie literackie, postawy krytyków i poetów”.

Można by pomyśleć, że to zdanie odnosi się tylko do przywołanej monografii. Ale tak napisałby ktoś, kto nie przeczytał żadnej książki Marka Pytasza. Jego interesowała pełnia obecności pisarza: w tekście i poza nim, w świecie jego wyobraźni i świecie rzeczywistym. W tym uobecniała się postawa historycznoliteracka badacza, rozumiejącego, że historia literatury nie może się rozwijać poza idiolektami, środowiskiem i społeczną zmianą. Dlatego w monografii o Słonimskim interesował się sytuacją pisarza między wojnami, kwestią żydowską, „kronikarskimi zapisami codzienności”; a w monografii o emigracji – środkową częścią komunikacji, w mniejszym stopniu nadawcą i od-

biorcą, a w większym formami i sygnałami dystrybucji, służącymi nie tylko i wyłącznie docieraniu książki do czytelnika w diasporze, ile raczej wzmocnieniu wspólnot lokalnych (w diasporze).

Prace na stopień zawsze wywołują rumieńce na twarzy. Mówimy: e, nie, jeszcze nie osiągnęliśmy tej perfekcji, która jest naszym marzeniem. Ale Pytasz nie miał się czego wstydzić. Jego prace otwierały nowe drzwi do pokojów, zdawałoby się, już doskonale poznanych przez liczne odwiedziny. Był zwłaszcza organizatorem prac podstawowych nad badaniem literatury emigracyjnej. Był pierwszym pośród nas, niezależnie od tego, co będą twierdzić inni. Był pierwszym i niezachłannym inicjatorem takich badań. I miał może największą wiedzę na ich temat.

Nie sprzedął tej wiedzy tak, jak sprzedają inni literaturoznawcy. Dwie jego książki: *Kilka opowieści* (2000, 2001) oraz *Nowe opowieści* (2006) miały barokowe rozwinięcia: *O niektórych dolegliwościach bycia poetą emigracyjnym i inne historie*. Zawsze mnie takie dodatki mierzą, denerwują. Uważam, że uczyony literaturoznawca ma mówić prosto, a jeżeli chce być artystą, to niech mierzy się z artystami. A tu – z tej barokowej „poszetki” – niewiele wynika. Niemniej szkice w obu tomach są zdumiewająco istotne. Zwłaszcza w książce pierwszej, ponieważ druga – nie wiadomo dlaczego – nagle podryfowała w stronę felietonu. Jakkolwiek patrzeć: obie dopowiadają do naszej wiedzy o Obczyźnie wiele niezwykłych wiadomości.

Zwłaszcza o polskim Londynie. Marek Pytasz był jego głównym interpretatorem. Wierzyński, Baliński, Lechoń; Kontynenty, Pietrkiewicz, Bednarzykowie. To jego poeci. Ale także Kanadyjczycy: Śmieja, Iwaniuk. I, naturalnie, instytucje emigracyjnego życia literackiego. Kiedy czytam jego szkice z obu książek, nie mogę się pozbyć tej myśli może i nieprawdziwej, że wstęp

z *Nowych opowieści* jest wyrazem egzystencjalnej postawy badacza. „Żywioty wolności wyzwalają samotność”, tak zatytułował ten wstęp, ale wykładnią tego tytułu było przeświadczenie, że z chwilą powrotu do obiegu wspólnego, krajowego i emigracyjnego, „cena będzie narastające odczucie samotności”. Tak się stało.

Nie wydał książki, na którą czekaliśmy. Miała już świetny tytuł: *Egoizm mężczyzn*. I w zamierzeniu autorskim traktowała o powieści Jerzego Andrzejewskiego *Idzie skacząc po górach*, ostatniej części „trylogii”, którą poprzedzały *Ciemności kryją ziemię* i *Bramy raj*. Może zachował się maszynopis, może notatki? Ale tą książką żył, opowiadał o niej. Jej pomysł zrodził się wtedy, kiedy u nas studia męskie i genderowe były w powijakach, smutnie istniały na poboczach innych rozważań. Nie wiem, co Pytasz chciał powiedzieć o tej trzeciej, może najsłabszej trzeciej opowieści Andrzejewskiego. W każdym razie szkoda, że nie opublikował za życia swojego pomysłu.

To trzeba jeszcze dodać: Pytasz był zapalonym edytorem, jego pomysły zarażały innych. A umiał zarażać. Cieszył się z tego, że można przypomnieć zapomniane. Był wydawcą poetów (Bednarczyka, Śmiei), ale też i polityków (Wieniawy Długoszowskiego). Nie udało mu się doprowadzić do szczęśliwego finału dwutomowej edycji Stanisława Balińskiego. Ale starał się, inicjował, dwoił i troił, była w tej chłopięcej radości edytorskiej jakaś myśl, którą docenią może dopiero potomni. Dzisiaj my ją też doceniamy, choć słabiej, niestety. Edytorstwo w ogóle jest sztuką dla nielicznych, dla koneserów literatury. Marek Pytasz był takim koneserem, nie tylko zresztą w podejściu do książek, ale w ogóle i do kolekcjonerstwa, czego ważnym zwieńczeniem było doprowadzenie do powstania w Uniwersytecie Śląskim Archiwum Stefana Themersona. Bardzo o nie zabiegał, choć – jak zawsze – darował później swoje ważne starania innym.

Zapamiętam go w kłębach fajkowego dymu, jako miłośnika dobrej whisky, a także amatora wolno dochodzącego do doskonałości pstrąga. Lubił biesiady, był ich duszą. Nie umiem go pożegnać inaczej niż w tych rwanych zdaniach. Wraz z nim odeszła dawna atmosfera śląskiej polonistyki. A ponieważ dzisiaj zgonów jest coraz więcej, ta dawna atmosfera polonistyczna za jakiś czas będzie wydawała się niektórym legendą porównywalną z tą, jaka kiedyś otaczała bohaterów Sienkiewicza. Oczywiście, jeżeli znajdziemy jeszcze amatorów legend.

Nie dziwcie się, że trudno jest mi pisać to wspomnienie. Smutny 6 grudnia był dla mnie pozbawiony odświętności. Ze zdumieniem patrzyłem na nieliczne grono żałobników, padał śnieg z lekkim deszczem. Zmarznięci wracaliśmy do życia, pamiętając, że wszyscy, którzy byli i wszyscy, których nie było tego dnia, „czeluzście zobaczymy czarne”, jak napisał Norwid. Zawsze odchodzić łatwiej, kiedy ma kto pożegnać.

Poniższy tekst jest autentyczną relacją dokumentalną z pobytu narratora w ośrodku dla internowanych w czasie stanu wojennego w Polsce. 13 grudnia 1981 roku bohater opowieści miał 39 lat. Mieszkał w Gliwicach. Był zawodowym fotografem, zatrudnionym w tym charakterze na Politechnice Śląskiej.

PAMIĘTNA NOC

Na kilka minut przed północą z 12 na 13 grudnia rozległ się dzwonek w moim mieszkaniu. Nie spałem jeszcze, żona oglądała telewizję. Otworzyłem drzwi, na progu stało trzech panów. Dwóch z nich było w krótkich, wojskowych panterkach, a jeden – po cywilnemu. U tych pierwszych nie zauważyłem żadnych dystynkcji. Powiedzieli mi: „Proszę się ubrać, pójdzie pan z nami”. Żona się zdenerwowała, zaczęła pytać, o co chodzi, dlaczego chcą mnie zabrać. W odpowiedzi usłyszała: „Dowiecie się w swoim czasie”.

Nie przejąłem się zbyt mocno tą nocną wizytą, gdyż w przeszłości zdarzało się już nieraz, że byłem zabierany na 24 godziny, a czasami nawet na 48 godzin. Sądziłem więc, że znowu będę czasowo przetrzymywany. Ubrałem się i wziąłem ze sobą tylko 3 paczki papierosów, myśląc, że na dwa dni powinno to w zupełności wystarczyć.

Na ulicy zaprowadzono mnie do stojącego za rogami samochodu straży pożarnej i zawieziono do miejscowej siedziby Służby Bezpieczeństwa. Gmach był tym razem rześcicie oświetlony i wypełniony obficie wojskiem, czy też milicją. Trudno mi powiedzieć, jaka była formacja, gdyż wszyscy byli ubrani w panterki, a ich odcień niełatwo rozróżnić w ciemności.

Jeden z panów wziął mnie ze sobą do gabinetu, gdzie odczytał akt o internowaniu. Zachowałem go do dziś na wieczną pamiątkę, oto jego treść:

Uznając, że pozostawienie na wolności Obywatela (... ..) zagrażałoby bezpieczeństwu państwa i porządku publicznego, przez to, że jest inicjatorem i inspiratorem działań godzących w prawidłowe funkcjonowanie systemu władzy i organów administracji państwowej w kraju, na zasadzie art. 42 Dekretu z dnia 12 grudnia 1981 r. o ochronie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego – postanawia się internować Obywatela i umieścić go w ośrodku odosobnienia w Zabrzu.
Podpisano: Komendant
Wojewódzki MO, Katowice,
13 grudnia 1981 r.

Byłem internowany...

W roku 1982 wysłuchał i zanotował ZBIGNIEW LUBOWSKI

Po odczytaniu tego dokumentu poleceno mi wyjąć wszystko z kieszeni i przejść do następnego pokoju. Podobny los spotkał kilku innych. Po chwili kazano nam wszystkim wyjść na korytarz. Tam uformowano z nas więzienny transport i zapakowano do samochodów – odpowiednio przystosowanych i zakratowanych nysek.

JAZDA W NIEZNANE

Około 2, czy też 3 w nocy dojechaliśmy do Zabrza. Wylądowaliśmy w ośrodku pracy więźniów. Na miejscu zdałem sobie sprawę, że tym razem czeka mnie znacznie dłuższy pobyt w odosobnieniu, niż tylko zwyczajowe 48 godzin. Poprzedni „mieszkańcy” musieli opuszczać budynek w dużym pośpiechu. Świadczyły o tym porozrzucane pantofle, kawałki chleba, resztki smalcu. Nikt nie zdążył tego nawet posprzątać przed naszym przyjazdem.

Sądzę, że poprzednich więźniów przeniesiono po prostu do innych bloków, zwalniając w ten sposób jeden budynek. Dla nas. Przywitanie było następujące: najpierw krótkie przesłuchanie, połączone z pobraniem odcisków palców i „pamiątkową” fotografią, potem wręczenie zabranych wcześniej rzeczy osobistych (z wyjątkiem dowodu osobistego), wreszcie rozdzielenie do poszczególnych cel.

Trafiłem do tzw. kabaryny – maleńkiej celi o wymiarach ok. 2 x 2,5 metra, w której były dwa łóżka (ustawione piętrowo), stolik, dwa taborety, umywalka i miska klozetowa. Część „mieszkalną” oddzielała od drzwi specjalna krata. Ani mnie, ani mojemu sąsiadowi z celi nie zapewniono jednak żadnej pościeli. Było mi bardzo zimno, nakryłem się więc w końcu materacem. Rano zauważyłem, że mam na sobie kurtkę kolegi. Musiał zapewne spostrzec, że trząsałem się zimna i przykrył mnie w nocy. Dzięki temu było mi ciepłej.

Z CELI DO BLOKU

W tych warunkach spędziłem tylko – całe szczęście! – jedną noc. Rano skierowano mnie do właściwego „internatu”. Był on już inaczej urządzonej. Krata tkwiła tylko w głównym wejściu do budynku. Wszystkie pozostałe drzwi były cały czas otwarte. Sale mieściły od 18 do 24 osób.

Oprócz łóżek z pościelą i taboretów wyposażono je jeszcze w szafki na żywność. Umywalka i ubikacja znajdowały się w oddzielnych pomieszczeniach, do których wejście prowadziło z korytarza. Do dyspozycji internowanych oddano – o dziwo! – świetlicę. Wewnątrz bloku stworzono nam pewną swobodę działania.

W świetlicy zdołaliśmy umieścić własnoręcznie wykonane przedmioty, których obecność miała dla nas symboliczne znaczenie. Mam tu na myśli drewniany krzyż (zrobiony ze znalezionej przypadkowo deski ociosanej i wyszlifowanej kawałkiem szkła) oraz przysłonięty kartkami napis „Solidarność” (wykonany na przecieradle).

Na korytarzu wisiała tablica ogłoszeń, na której wieszaliśmy najrozmaitsze komunikaty i informacje do użytku wewnętrznego. Były one niekiedy zrywane przez funkcjonariuszy służby więziennej, ale następnego dnia sporządzaliśmy je ponownie, wieszając w tym samych miejscach.

Po jakimś czasie dało się zauważyć, że „opiekę” nad nami powierzono tylko strażnikom spokojnym, opanowanym i wyważonym. W pewnym okresie doszło nawet do tego, że dostęp do nas mieli jedynie oficerowie straży więziennej. Czy kontaktowaliśmy się ze światem zewnętrznym? Tak, ale głównie listownie, gdyż odwiedziny rodzin mogły się odbywać bardzo rzadko.

Obowiązujący regulamin przewidywał możliwość tzw. widzeń tylko raz w miesiącu, w wymiarze jednej godziny. Mojej żonie zakomunikowano, że przyznanie prawa do dwóch wizyt w miesiącu jest możliwe, ale trzeba w tym celu złożyć podanie do odpowiednich władz.

LISTY W OTWARTYCH KOPERTACH

Korespondencja podlegała cenzurze ze strony służby więziennej. Na początku niektórzy z internowanych wręczali strażnikom listy w zaklejonych kopertach. Wówczas zwracano je nadawcom, informując, że muszą być otwarte, aby umożliwić ocenzurowanie. Z czasem wszyscy zostaliśmy zmuszeni do przyjęcia tych szokujących zwyczajów.

W początkowym okresie w zabrzańskim „internacie” zaobserwowałem ciekawe praktyki. Usiłowano skłonić nas do przestrzegania pełnego regula-

minu więziennego. Strażnicy byli m.in. przyzwyczajeni do przeprowadzania porannego i wieczornego apelu. Więźniowie ustawiali się w dwusze-regu na baczność, co pozwalało „klawiszom” na szybkie przeliczenie podopiecznych. Podobne reguły gry miały obowiązywać i nas.

Nie zgodziliśmy się jednak na to; po wejściu strażnika do sali każdy stał, gdzie chciał i robił, co mu się podobało. „Opiekunowie” mieli w tej sprawie utrudnione zadanie. Próbowali też wprowadzić obyczaj punktualnego gaszenia świateł o godzinie 21.00, jak to czyniono w sąsiednim bloku dla więźniów. Przez jakiś czas godziliśmy się z tym, lecz później sytuacja uległa zmianie i to tak dalece, że widywałem światła w niektórych pomieszczeniach o godzinie 2 nad ranem.

Głównym miejscem nocnych dyskusji była jednak świetlica. Nazwaliśmy ją „Klubem NKWD im. Feliksa Dzierżanowskiego”. Wielu nas chętnie w niej przebywało, przedstawiając się na nocne życie [Feliks Dzierżanowski (1890–1975), kompozytor i dyrygent „Kapeli ludowej” – przyp. Z.L.].

Nie mało kłopotów przysparzała też naszym strażnikom sprawa posiłków. W początkowym okresie przynoszono je nam do bloku. Nie mieliśmy jednak możliwości porządnego umycia aluminiowych misek, z powodu braku ciepłej wody w umywalni. Kierownictwo „internatu” wpadło więc na pomysł dostarczania nam posiłków w miskach, które każdorazowo zmywano w więziennej kuchni. Utrudniało to jednak życie personelowi.

W końcu pozwolono nam regularnie uczęszczać do „zakładowej stołówki”. Kiedy do tego doszło? Na wiosnę, gdy liczba internowanych, przybywających do ośrodka, wzrosła tak pokaźnie, że zajmowali oni już trzy z ogólnej liczby czterech bloków.

PRZYMUSOWA PRZEPROWADZKA

W Zabrze przebywałem od 13 grudnia 1981 do 18 maja 1982 z dwiema kilkutygodniowymi przerwami. Pierwsza z nich była następstwem naszej zapowiedzi zorganizowania protestacyjnego strajku głodowego przeciwko wprowadzeniu w kraju stanu wojennego.

Z odpowiednim wyprzedzeniem ogłosiliśmy, że z dniem 24 grudnia 1981 r. (Wigilia) rozpoczniemy oficjalną głodówkę. Nie zdołaliśmy jednak zrealizować naszych zamiarów. Na dwa dni przed Wigilią przyjechały do „internatu” zmilitaryzowane oddziały specjalne. Wybrano spośród nas grupę ponad 100 osób, z zamiarem odizolowania ich od reszty.

Staraliśmy się protestować przeciwko tym poczynaniom, wykrzykując z okien: „ZOMO – bijące serce partii”, „Zdrajcy”,

itp. Oni w ogóle się tym nie przejmowali, koncentrując swoją uwagę na selekcjonowaniu internowanych. Znalazłem się grupie „wybrańców” i wraz z innymi zostałem zapakowany do więziennej „suki” i wywieziony. Nie wiedziałem, dokąd jadę, a samochód był tak szczelnie zakratowany, że uniemożliwiał orientację w terenie. Po około 2 godzinach jazdy dotarliśmy do celu. Wyszło na jaw, że jest to raciborskie więzienie.

Był to obiekt – co może zabrzmieć zaskakująco – o bardzo przyzwoitym standardzie. Rozmieszczono nas w cztero- i sześciuosobowych salach, które w odróżnieniu od pomieszczeń w Zabrze, miały sprawne centralne ogrzewanie. Działo ono tak dobrze, że czasami musieliśmy otwierać okna. W salach znajdowały się umywalki z ciepłą (!) i zimną wodą oraz ubikacje odgródzone od części sypialnej taflami szklanymi.

Obyczaje panujące w Raciborzu nie dawały jednak podobnych powodów do zadowolenia. Dość rygorystycznie przestrzegano obowiązującego regulaminu więziennego (meldowanie się, gaszenie świateł, itp.). Niektórzy z nas nie chcieli zaakceptować tych metod, ironizując wręcz ze strażników. Pewnego razu zameldowano jednemu z nich: „Obywatelu oddziałowy, stan celi – czterech, wszyscy niewinni”.

Chwilą prawdziwego wytchnienia w tych warunkach były spotkania (tzw. „widzenia”) z rodziną. Odbywały się one w salce z ok. 10 stolikami, przy których rozmawiało się swobodnie z odwiecznymi, bez obecności nadzorców. Na taką możliwość oczekiwało się jednak cały długi miesiąc. Ile trwał mój pobyt w Raciborzu? Około czterech tygodni.

Już w połowie stycznia przystąpiono do akcji przewożenia nas z powrotem do starych pieleszy. Podstawowy cel, jaki przyświecał grudniowej przeprowadzce został – jak sądziliśmy – spełniony: udaremniono podjęcie strajków głodowych. Przypuszczając więc można, że odpowiednie służby doszły do wniosku, iż bezcelowe jest dalsze przetrzymywanie nas w Raciborzu. W tej sytuacji 20 stycznia 1982 znalazłem się ponownie w Zabrze.

ZAKONSPIROWANY „GŁOS AMERYKI”

Czas przymusowego odosobnienia w „internacie” wypełnialiśmy dyskusjami oraz lekturą książek pochodzących z więziennej biblioteki. Czytelność pochłaniało niektórych kolegów. Ze zdumieniem odkryliśmy, że biblioteczny księgozbiór nie składał się jedynie z wydawnictw, zawierających elementy obowiązkowej ideologii marksistowskiej.

W Raciborzu – dla przykładu – naktąłem się na książki Anki Kowalskiej i Tadeusza Konwickiego. Trafiły one chy-

ba tam przez niedopatrzenie. Oprócz literatury mieliśmy do dyspozycji wybrane tytuły prasy codziennej. Stworzono nam też możliwość oglądania programu telewizyjnego.

Posiadaliśmy również – ale to już tylko dzięki własnemu sprytowi – miniaturowy i odpowiednio zakonspirowany odbiornik radiowy. Do rytuału należało niemal codzienne wysłuchiwanie wieczornego serwisu informacyjnego „Głosu Ameryki”. Z czasem zaczęły wśród nas krążyć nawet biuletyny informacyjne, zawierające m.in. wiadomości z innych ośrodków dla internowanych. Kolportaż tych wydawnictw był możliwy wyłącznie dzięki aktywnej pomocy osób trzecich, a okazję do ich rozpoznania stwarzały regulaminowe widzenia z rodzinami.

Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić myślami do pierwszych dni stanu wojennego. Organizowaliśmy wtedy tzw. przerzuty wiadomości. Na karteczkach umieszczaliśmy nasze personalia oraz szczegółowy opis miejsca i charakteru pobytu. Zawiniątka te przyczepialiśmy do kawałków mydła, dołączając do nich również puste i luźno powiewające kartki. Ich zadaniem było zwrócenie uwagi ewentualnych przechodniów na leżące na trawie przedmioty. Te misternie skonstruowane pakunki wystrzeliliśmy z procy poza obręb „internatu”. Chcieliśmy w ten sposób dać znać światu o warunkach, w jakich żyjemy. Nie wiedzieliśmy przecież, czy nasze rodzinny wiedzą w ogóle, co się z nami dzieje.

Czy przerzuty wiadomości przyniosły upragniony cel? W pewnym stopniu – tak. Pod bramą wejściową po pewnym czasie gromadzić zaczęli się ludzie, których zainteresował nasz los. Nie wpuszczano ich do środka. Od czasu do czasu zaczęliśmy jednak otrzymywać od nieznanym nam zupełnie osób ciepłe skarpety, czy nawet paczki żywnościowe.

W SZPITALU

W początku kwietnia przyplątało mi się dość nieprzyjemne schorzenie: wrzody na ręce i nogach. Zgłosiłem się do lekarza więziennego. Przepisał mi tzw. szarą maść. Wywołała ona odwrotny skutek od zamierzonego. Czyraków przybyło. Okazało się, że miały one podłoże uczuleniowe. Przyczyną przykrem dolegliwości był – jak przypuszczam – dotkliwy chłód, panujący w budynku. Strasznie marzłem w zabrzańskim „internacie”. Cóż było robić? Udałem się ponownie do lekarza, lecz oświadczono mi, że już go nie ma w ośrodku. Wówczas posłało mnie w towarzystwie specjalnego „opiekuna” do zwykłej przychodni dermatologicznej w Zabrze.

Efekt – natychmiastowe skierowanie na leczenie w oddziale dermatologicznym zabrzańskiego szpitala miejskiego. Doprowadzono mnie tam nie-

zwłocznie. Dyżurująca lekarka sporządziła oświadczenie o przyjęciu chorego, po czym strażnik powiedział „do widzenia” i najzwyczajniej w świecie odszedł. Zdezorientowany stałem na korytarzu szpitalnym i zastanawiałem się, czy już mam uciekać, czy też najpierw się leczyć. Zachowanie mojego „opiekuna” było zaskakujące. Pozostałem jednak w szpitalu. Leczenie trwało około 3 tygodni. Lekarze i pacjenci traktowali mnie jako swoistą ciekawostkę obyczajową. W czasie szpitalnych odwiedzin wskazywano mnie palcami.

Moim losem zainteresowała się przedstawicielka Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Była to chyba Francuzka lub Szwajcarka. Za pośrednictwem tłumacza pytała, jak się czuję, jakie mam warunki leczenia. Podobne pytania zadawała kilku innym internowanym, którzy trafili do zabrzańskiego szpitala. Wysłannicy MCK odwiedzili też w tym okresie nasz macierzysty ośrodek. Skutki ich wizyty były potem wyraźnie widoczne.

W umywalniach zainstalowano lustra, co stanowiło duże udogodnienie przy porannej toalecie. To zdarzyło się jednak dopiero później, po moim powrocie ze szpitala. Leczenie w oddziale dermatologicznym było skuteczne. Po zakończeniu kuracji poprosiłem moją panią doktor, by zadzwoniła po „mojego” strażnika. Przyjechał dość szybko i zawiózł mnie z powrotem do ośrodka odosobnienia.

ZE ŚLĄSKA W BIESZCZADY

Wkrótce przyszło mi zmienić miejsce pobytu. Odkryło się to jednak nieco inaczej, niż dotychczas. Wiedziałem wcześniej, dokąd zostaną przewieziony. Kto mnie o tym poinformował? Nikt, wpadła mi po prostu w ręce jedna z tzw. list przewozowych. Widniała na niej nazwa miejscowości docelowej: Uherce w Bieszczadach. Wgląd do tych dokumentów

był rezultatem naszych usilnych zabiegów. Nie była to więc podróż w „ciemno”. Na miejsce dotarłem 19 maja 1982 r. Warunki w bieszczadzkiem ośrodku pracy więźniów były znacznie korzystniejsze, niż w Zabrzu. Piętrowe pawilony mieściły cztero- i sześciuosobowe cele, ale przebywało w nich maksymalnie po czterech internowanych. Miski ustępowe były, co prawda, w każdej z tych cel, lecz nie korzystaliśmy z nich. Jedno z niezasiedlonych pomieszczeń przeznaczaliśmy na ubikację. Nowością była możliwość spacerowania na dworze w ściśle określonym i bacznie obserwowanym terenie. Korzystaliśmy z tego bardzo często. Do naszej dyspozycji pozostawały ponadto: książki, określone tytuły prasy oraz telewizja.

ZWOLNIENIE

Zwolnienie z ośrodka odosobnienia było dla mnie równie nagłe i niespodziewane, co samo internowanie. Rano 5 lipca 1982 przygotowano w Uhercach 5 czy 6 osób do zwolnienia. Odśpiewaliśmy im piosenkę pożegnalną, po czym grupka szczęśliwców opuściła teren ośrodka. Wtedy właśnie przyszedł strażnik z informacją, że mam się zgłosić do oczekującego mnie przedstawiciela Służby Bezpieczeństwa. Poszedłem we wskazane miejsce.

Ubrany po cywilnemu osobnik zakomunikował, że jeszcze tego dnia zostanie zwolniony. Jednocześnie zapytał, czy podtrzymuję zamiar wyjazdu za granicę, mimo, że dobrze wiedział, jakie jest moje stanowisko w tej sprawie. Konsekwentnie dążyłem do jak najszybszego opuszczenia na stałe Polski. Z takim pomysłem nosiłem się jeszcze przed 13 grudnia, kiedy zdałem sobie sprawę, że Sierpień nie doprowadził, niestety, do przełamania dławiących kraj internowanych pożegnałem ostatecznie po południu.

Do Gliwic dotarłem o drugiej w nocy nazajutrz. Żona tak dalece nie oczekiwała mojego powrotu w tym czasie, że początkowo nie chciała otworzyć mi drzwi. Kiedy jednak uzmysłowiła sobie, że to ja stoję na klatce schodowej, radości nie było końca. Naszego syna w ogóle nie budziliśmy, dopiero rano zobaczył mnie w mieszkaniu.

DLACZEGO INTERNOWANO?

Przypuszczam, że Służba Bezpieczeństwa miała mnie jeszcze przed Sierpniem na swojej specjalnej liście. Dlaczego? Przyczyną była zapewne moja luźna współpraca z Komitetem Samoobrony Społecznej KOR. W latach 1979–1980 dysponowałem pochodzącymi z tego źródła różnymi materiałami informacyjnymi.

W jaki sposób trafiono na mój ślad? Domyślam się, że stało się to za sprawą dobrze zakonspirowanego konfidenta, który w kontaktach ze mną przedstawiał się jako redaktor nielegalnego „Robotnika”. Przeprowadzono skrupulatną rewizję w miejscu mojej pracy, gdzie nie trefnego nie znaleziono. Potem przyszła kolej na rewizję mieszkania. Tu właśnie natrafiono na odezwę w sprawie Kazimierza Świtonia, książeczkę „Najlepszy sojusznik Hitlera”, wydaną przez oficynę „NOWA” oraz pojedynczy egzemplarz „Robotnika”.

Wystarczyło to do ciągłego wzywania mnie później na przesłuchania i rozmowy, w trakcie których pytano o mój stosunek do najrozmaitszych spraw. Nigdy nie usiłowalem ukrywać poglądów, stąd też szczerze i otwarcie przedstawiałem swój punkt widzenia. Przesłuchania te kontynuowano także po Sierpniu. Nie wykluczam, że zgubiła mnie szczerść okazana w czasie tych „dżentelmeńskich” rozmów.

OD REDAKCJI

13 kwietnia 1983 roku bohater opowieści opuścił Polskę i wyemigrował ze swą rodziną do Francji. Przez wiele lat mieszkał potem w Lyonie. Pracował jako zwykły robotnik fizyczny. Nie opanował należycie języka francuskiego. Zmarł we Francji.

Nieco inaczej potoczyły się natomiast zawodowe losy jego żony. Uporawszy się z nauką języka, podjęła pracę jako programistka komputerów w jednej z tamtejszych firm przemysłowych. Syn bohatera relacji nie bez przeszkód adaptował się do nowych warunków życiowych.

Prezentowany tekst stanowił w 1982 roku pracę dyplomową autora na Podyplomowym Studium Dziennikarskim przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Z uwagi na swoje walory dokumentalne relacja została uhonorowana uniwersyteckim wyróżnieniem. Powstała pod kierunkiem red. Macieja Szumowskiego (1939–2004). ■





Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2022 rok!

Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIÓŁOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy: GORNÓSLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
 nazwa odbiorcy od: UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE
 T.I.K.: 351090118600000000134873929
 nr rachunku odbiorcy: 351090118600000000134873929
 waluta: PLN
 nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata): W P L N
 nazwa zleceniodawcy:
 nazwa zleceniodawcy od:
 tytułem: PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
 tytułem od: „ŚLĄSK”

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Oplata:

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy: GORNÓSLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
 nazwa odbiorcy od: UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE
 T.I.K.: 351090118600000000134873929
 nr rachunku odbiorcy: 351090118600000000134873929
 waluta: PLN
 nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata): W P L N
 nazwa zleceniodawcy:
 nazwa zleceniodawcy od:
 tytułem: PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
 tytułem od: „ŚLĄSK”

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Oplata:



NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:
Anna Gaitoer

Rok Romantyzmu Polskiego

WARSZAWA. Sejm zdecydowaną większością głosów ustanowił rok 2022 Rokiem Romantyzmu Polskiego. Powodem jest dwusetna rocznica wydania „Ballad i romansów” Adama Mickiewicza (1822 r.), która wyznaczyła w Polsce początek epoki romantyzmu.

Była to epoka, w której „tworzyli genialni artyści, myśliciele i działacze polityczni, którzy w sytuacji narodowej niewoli stworzyli kraj duchowej wolności, rozwinęli programy niepodległościowe, a zarazem wynieśli polską literaturę, muzykę i malarstwo do rangi czołowych osiągnięć kultury europejskiej”. Wśród nich byli m.in.: Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński, Cyprian Kamil Norwid, Fryderyk Chopin, Stanisław Moniuszko, czy Jan Matejko.

KE ogłosiła rok 2022 Europejskim Rokiem Młodzieży

BRUKSELA. W ramach Europejskiego Roku Młodzieży Komisja Europejska zamierza poszerzyć współpracę z Parlamentem Europejskim, państwami członkowskimi oraz władzami lokalnymi i regionalnymi, aby móc lepiej realizować działania na rzecz młodych. Zakłada też włączenie przedstawicieli młodzieży w realizację poszczególnych projektów.

Komisja chciałaby w sposób szczególny:

- wspierać pokolenie, które najbardziej ucierpiało w czasie pandemii i dać młodym ludziom nadzieję, siłę i wiarę w przyszłość poprzez podkreślenie, w jaki sposób transformacja ekologiczna i cyfrowa może zapewnić im nowe perspektywy i możliwości;
- zachęcać młodych, zwłaszcza tych z mniejszymi szansami lub pochodzących z defaworyzowanych środowisk, do zaangażowania się w życie publiczne;
- promować możliwości oferowane młodym ludziom w ramach polityki UE oraz wspierać ich rozwój osobisty, społeczny i zawodowy.

Realizację tych postulatów ma zapewnić nowy instrument stworzony w celu ożywienia gospodarki po pandemii – Next-GenerationEU, w ramach którego mają powstać nowe miejsca pracy oraz możliwości edukacyjne dla młodych ludzi. Komisja wezwała również państwa członkowskie do powołania krajowych koordynatorów odpowiedzialnych za zorganizowanie udziału danego państwa w Europejskim Roku Młodzieży.

ONZ-IFG 2021

KATOWICE. Polska stała się forum międzynarodowej debaty o globalnej przyszłości internetu. Szczyt Cyfrowy ONZ – IGF 2021 w Katowicach to pięć dni spotkań, wykładów i seminariów na temat przyszłości internetu. Polska po raz pierwszy jest gospodarzem tego międzynarodowego wydarzenia. Uczestnicy ponad 300 paneli i rozmów dyskutowali m.in. o wpływie gospodarki cyfrowej na świat dotknięty przez pandemię COVID-19, o inteligentnych miastach oraz transformacji.

W Szczycie udział wzięli przedstawiciele Organizacji Narodów Zjednoczonych na czele z zastępcą Sekretarza General-

nego ONZ ds. gospodarczych i społecznych Liu Zhenminem. Ponadto kilkudziesięciu ministrów z całego świata odpowiedzialnych za cyfryzację, przedstawiciele Banku Światowego, Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, organizacji pozarządowych oraz biznesu. Polski rząd reprezentowali m.in. premier Mateusz Morawiecki, sekretarz stanu ds. cyfryzacji w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów – Janusz Cieszyński oraz minister Adam Andruskiewicz – sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Odbyła się m.in. debata „Jak zarządzać zdecentralizowanymi cyfrowymi dobrami publicznymi? Blockchain między innowacją a regulacją”. Była to jedna z pierwszych okazji do dyskusji na temat roli państwa w rozwoju zastosowań technologii blockchaina. Hasłem przewodnim szczytu było: Internet United.

Badania struktury społecznej

WARSZAWA. Polskie Badanie Panelowe POLPAN realizowane jest nieprzerwanie od 33 lat przez Instytut Filozofii i Socjologii PAN i koncentruje się na strukturze społecznej. Od 2003 r. do 2018 r. w tym okresie, cały czas osoby wykluczone cyfrowo, to są osoby z najniższym wykształceniem i osoby najstarsze – mniej więcej w wieku 76 plus. W tej grupie wiekowej, w roku 2003 z Internetu nie korzystało 97 proc., a w roku 2018 – 80 proc. (badanych). W 2003 r. aż 96,4 proc. rolników nie korzystało z Internetu. W roku 2018 to było nadal 60 proc. Na ten wynik nie ma wpływu różnica w dostępie do Internetu między miastem a wsią. Zamieszkanie nie wpływa już na różnicę w dostępie do Internetu, w przypadku rolników to kwestia braku chęci korzystania z sieci. Największy skok w stopniu korzystania z sieci internetowej widać w najmłodszej grupie badanych 18–24. W 2003 r. 31 proc. tej grupy nie korzystało z Internetu, a w 2018 r. było to tylko 0,4 proc.

Główny Urząd Statystyczny o księgarniach

WARSZAWA. Na koniec 2020 roku szacowana liczba sklepów w Polsce wyniosła blisko 320 tys. i była o 4 proc. (o ok. 13,4 tys.) niższa niż przed rokiem.

Wśród nich odnotowano 4434 „sklepy z artykułami piśmiennymi i księgarnie”. Ich liczba spadła o 10 proc. (o 500 placówek) w stosunku do roku 2019.

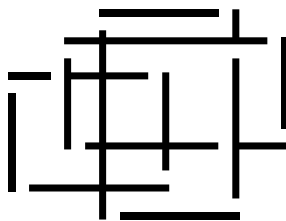
W ogólnej liczbie 320 tys. sklepów udział tej kategorii wynosi 1,3 proc.

Wskazano także, że działalność związana z kulturą, rekreacją stanowi zaledwie 1,1 proc. udziału wartości dodanej wytworzonej przez wszystkie jednostki prowadzące działalność o charakterze usługowym.

Od badania do działania GZM?

KATOWICE. 17 grudnia w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach zorganizowana została konferencja na temat: „Od badania do działania...” Górnos Śląsko-Zagłębiowska Metropolia nawiązała współpracę z Instytutem Rozwoju Miast i Regionów (IRMiR) w ramach projektu Gospo-strateg-NewUrbPact, współfinansowanego ze środków Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Kooperacja dotyczy szeroko rozumianych analiz społeczno-demograficznych. Najważniejszym celem projektu jest „Nowy model urbanizacji w Polsce – praktyczne wdrożenie zasad odpowiedzialnej urbanizacji oraz miasta zwarte (NewUrbPact)” jest wypracowanie wzorcowych rozwiązań na rzecz odpowiedzialnej urbanizacji w Polsce oraz podniesienie jakości planowania przestrzennego, w tym przeciwdziałanie zjawiskom niekontrolowanej suburbanizacji i kurczenia się miast. Jednocześnie Metropolia pracuje nad kluczowym dokumentem, jakim jest Strategia Rozwoju GZM na lata 2022–2027 z perspektywą do 2035 r. Będzie to dokument pionierski – nie tylko dlatego, że dotyczy pierwszej w Polsce ustawowo powołanej metropolii, ale również dlatego, że zostanie sporządzony według znolizowanych w listopadzie 2020 r. przepisów prawa, które zintegrowały planowanie strategiczne z przestrzennym.

Przestrzenie KATOWICE Sztuki



miasto-ogrodow.eu
FB @przestrzenieszukikatowice



Foto: A. Ławrywianiec / R. Kazmierczak

„Przestrzenie Sztuki” to program Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca, który połączył dziesięć miast w obszarach tańca (Katowice, Lublin, Kielce, Łódź, Białystok) i teatru (Olsztyn, Zielona Góra, Rzeszów, Lublin i Łódź).

Wyróżnia go poziom skonsolidowania – nie ma chyba w Polsce drugiego tak systemowego programu, który pokazuje sposób, w jaki publiczne instytucje z własną infrastrukturą mogą służyć tancerzom, aktorom i artystom niezależnym. To synergia wielu podmiotów – środowiska lokalnego, władz samorządowych i władz ministerialnych – na rzecz realizowania działalności edukacyjnej, popularyzatorskiej i artystycznej w przestrzeni tańca i teatru.

„Przestrzenie Sztuki” wypracowały know-how – wiedzę, w jaki sposób tworzyć warunki sprzyjające rozwojowi nowatorskich form tańca współczesnego oraz twórczych praktyk artystycznych w nieustannie powiększającym się świecie możliwości. W rzeczywistości VUCA (volatility – zmienność; uncertainty – niepewność; complexity – złożoność; ambiguity – niejednoznaczność) najważniejszymi imperatywami stają się: praktyka, ekspresja, różnorodność i zaufanie.

„Przestrzenie Sztuki” udowadniają, że to właśnie taniec i teatr poruszają umysł i duszę nie tylko artyści, ale całej zbiorowości. Podkreślają i twórczo kulturywują wartości lokalnych tradycji kulturowych, które dzięki maksymalnie różnorodnym sposobom ekspresji wzbogacają światową sztukę współczesną. A nade wszystko traktują sztukę jako prężną siłę ekonomicznego postępu.

